

Macocha, tom pierwszy





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Macocha

Z PODAŃ XVIII WIEKU

TOM PIERWSZY

I

W kraju puszczy i moczarów, który się z wolna, w miarę wzrostu ludności wytrzebiał i osuszał, nie dalej jak przed stu laty były jeszcze zakąty, oddzielone od gęściej zamieszkałych okolic przestrzeniami tak znacznymi lasów i błot, że przystęp do nich nie w każdej porze roku był możliwy, a często całkiem niepodobny. W tych zakątach położonych, jak mawiano na końcu świata, życie też, odcięte od społeczeństwa, wiodło się zupełnie odrębnym obyczajem. Musiano starczyć sobie, z podań i wrażeń tworzyć własną ośnowę, a w braku podbudzających z zewnątrz pobudek, usypiać nieco i wlec się tak powoli za drugimi, iż często o cały wiek zostawało się — za niemi. Był to *sen życia* spokojny, jednostajny, bez pragnień przebudzenia, zmiany i gorętszych wrażeń. Rodzili się częstokroć na tych wyspach stałego ładu, lasami jak morzem oblanych, ludzie, którzy nigdy po za ich obręb nie wyrzeli, a o kilka mil odległe osady znali za ledwie ze słuchu. Nie było potrzeb wyszukanych, ani nawykniętych do tego, czegoby sama okolica nie wydawała i sam jej mieszkańiec stworzyć nie mógł.

Z pewną obawą i nieufnością spoglądano tu na obcego człowieka, na strój i krój nowy, na ruch pośpieszniejszy, na przybysza, który wkradłszy się w to zazacisze, mógł tajemnicę jego podchwycić, wieść z nich wynieść na szerszy świat.

Miejsca podobne, wśród puszczy, zwały się nawet częstokroć *ostrowami*, niby wyspami oddzielnymi, które nie chciały się łączyć z otoczeniem i stanowiły całość odrębną.

W dzisiejszem życiu ogólnem świata, opartem na zespoleniu sił wszystkich, na podziale owoców myśli i pracy, trudno pojąć takie dobrowolne wyrzeczenie się wszystkiego, co współka ludzka przynieść mogła; lecz przed wieki ludzkość też żyła inaczej. Gromadki spoglądały na się zazdrośnie i wrogo, byt się opierał nie na przymierzu, lecz na walce i zdobyczy. Wszystko się *zdobywać* musiało nie *nabywać*; poszachowany był pstro świat i wojować musiał, bo błogosławieństwa pokoju i pracy jeszcze nie pojmował.

Takim zakątem na pograniczach Polesia, były w wieku przeszłym Borowce. Na ludniejszych wybrzeżach tego ogromnego leśnego ostrowu znano je z nazwiska tylko i opowiadań, bo mało kto się tam zapuścił i zwiedził ową zapadlinę. Szedł lub jechał do Borowiec tylko kto musiał; jedna drożyna leśna, przez moczary i gąszcze, prowadziła do nich i wyprowadzała.

W czasie gdy gromady na pół koczujące szukały bezpieczeństwa od napadów nieprzyjaciela, od klęsk wojny, zabiegła tu snadź kupka ludzi strwożonych i osiedliła się wśród puszczy, rada temu, że za sobą nie pozostawiła śladu.

Stare horodyszczce obwiedzione wałem, świadczyło, że w przedhistorycznych czasach znaczna już musiała być ta osada. Później może obyczaje najazdów tatarskich, zbiegowiska ze wsi sąsiednich stojących na szlakach, pomnożyły ludność jeszcze, stworzyło się coś nakształt miasteczka, stanęła cerkiew, kościół i zamek.

W koło ryneczku — targowicy, postawiano domy z podcieniami na słupach starym kształtem, przypominające ugalerjowane miasta włoskie, choć tem tylko, że tam od słońca, a tu od słoty były ochroną przechodniom.

Borowce za pośrednictwem kilku przekupniów izraelskiego rodu, mających cały handel w swych rękach, otrzymywały z zewnątrz to, czego potrzebowały; przez nich też wyprzedawały się z tego, co im zbywało. Niewielu mieszkańców rolników, należących do wioski, chciało się narażać na dalsze podróże we własnych interesach; wszyscy woleli doma siedzieć niż gonić za zyskiem i ocierać się o nieznanych ludzi. Kilku za ledwie, których po zewnętrznych cechach łatwo odróżnić było można, posługiwać kupczącym do wywozu tutejszych płodów; reszta za żaden zarobek nie podjęłaby się podróży po za granice lasów borowieckich. Spoglądano na tych, dotknięciem obcych pokalanych ludzi, nieomal jak na straconych i cudzych, jak na nieszczęśliwe chciwości ofiary. A prawdę rzekłszy, ci co żydom furmanili, byli też najwięksi pijacy i najrozniejści ludzie.

Żaden prawie żywioł obcy nie pomieszał się ze starodawnym plemieniem Borowiczan. Żeniono się między swymi; proboszcza zastępował jaki krewniak wcześniej tu na wychowanie wzięty i przyswojony, a do tej pustyni nawykły; parochowie na synów przelewali

swe obowiązki; we dworze też, jeśli co przybyło nowego, to tak młodego, że się łatwo i prędko dało wcielić w gromadkę. Służba spadała z ojca na syna: chaty i pola, suknie i charaktery, sprzęty i obyczaje, nawet rysy i oblicza brały pokolenia w spadku. Mało też ktoby był mógł tu wyżyć nienawykły do uroczystej ciszy, spokoju, do tego marudnego życia.... które żywszego biegu nie znało. Utrzymywali tutejsi, że i zwierzęta domowe, konie, woły, psy, owce, wszystko co hodowano, inaczej tu niż za ostrowem wyglądało.

Ku północo-wschodowi niezmiernie lasów tutejszych obszary przypierały do kilku podobnych ostrowów, od wieków także zaludnionych, pokrewnych zwyczajami i żywotem, od których w ostateczności zapożyczano się jeśli potrzeba była konieczna rzemieślnika, parobka... warsztatu. Były wprawdzie podania, iż Borowiczanie krwawe niegdyś o lasy i łągi stacali boje z tymi sąsiady, ale te od bardzo dawna ustały... Mieli ziemi do zbytku...

Kilka mogił na granicach obłożonych gałęzmi suchemi, służących razem za kopce graniczne, jedynymi były pomnikami tych bratnich zapasów. W tej atmosferze niezamąconej żadnym obcym wyziewem, rosły jak dęby i sosny podania i baśnie, które każde nowe pokolenie przerabiało, ubierało i zwiększało ich rozmiary. Czepiały się one uroczysk, gajów, strumieni, kamieni, i jak bluszcze a powoje każdą obwijały ruinę.

Wyminąwszy miasteczko, które niczem się oprócz rozmiarów, od wiosek nie różniło, ulica wyszczerbiona ze starych bardzo drzew prowadziła ku horodyszczu i tak zwanemu zamkowi, położonemu nad samym brzegiem rzeki, zielonemi otoczonej łągami.

Horodyszcz obrosłe drzewy, na którym żadnych budowli od wieków nie było, wychodziło na błota ku rzece; bliżej łądu stał późniejszy zamek, przytykający doń, z kamienia niegdyś zbudowany, zniszczony potem czy spalony, szarą ruiną, dość jeszcze rozległą, opuszczoną, wyglądający na zielonem tle drzew smutnie.

Snadź przed jego upadkiem, podania bowiem wielce były różne, wzniesiona została wspaniała piętrowa brama wjazdowa, obronna, panująca nad mostem zwodzonym. Służyła ona niegdyś na pomieszczenie zbrojnej załogi i wojennych przyborów, a potem, gdy zamek sam niszczał, dziedzice przenieśli się do niej, poprawili ją nieco i dziś ona dwór zastępowała!

Była to budowa nieforemna, dolepiana, przerabiana, popsuta zewnątrz, ale do potrzeb życia zastosowana jako tako. Okute wrota ciężkie, które ją niegdyś zamykały, żelazne brony spuszczone, z dawna bezużyteczne, do ścian i murów przyrosłe, nie ruszały się już, rdzewiały i gnily powoli. Na piętrze wsparte na belkach i kamiennych wyskokach balasy, z których na nieprzyjaciela miotano kamienie i lano wrzątek, poopadały zupełnie, tak, że z nich tylko kościotrupa sterczała szczyłek.

Grube mury, od podwórza jeszcze szkarpami popodpierane, rzadko gdzie dotąd zarysowały się szparami, nie wpuściły ani traw, ani krzewów, coby je rozsadzić mogły, trzymały się krzepko, mimo sędziwego wieku. Okna miejscami błoniaste, w ołów oprawnemi, małemi szybki świecące, inne już z szerszych tafli złożone, świadczyły, że wszystkie mieszkania w bramie pozajmowane były. O kilkanaście kroków stojąca okrągła baszta, snadź dawniej murem okólnym z zamkiem połączona i do niego należąca, teraz nową przybudówką się z bramą zrosła, i jedną z nią stanowiła całość.

W obszernym podwórzu ku ruinom zamczyska wiodącym, niedawno snadź zasadzony krzewił się ogródek kwiatowy. Nie był on ani wykwintny, ani sztucznie przybrany, ale jego pstre grzędki i uliczki piaskiem sypane, ożywiały nieco te pustki. Niektóre klombiki wybiegały aż na wał okryty rumowiskami dawnej kurtyny zburzonej, a ze starych foss oschłych dobywające się zarośla łączyły się z niemi, podnosząc się z drugiej strony.

Od wieków utrzymywały się tu podania o niezmiernie rozległych pod zamkiem i horodyszczem lochach i pieczarach podziemnych, których część dotąd była pod kluczem, a reszta służyła za schronienie kunom i nietoperzom. Otwory ich gdzie niegdzie widne przez gałęzie ożyn, ciekawym chłopcom wiejskim służyły do rzucania kamyków i różnych doświadczeń a zabawek. Kilka takich przelomów znajdowało się na zamku i w pobliżu niego, a ziemia dokoła próżnią tętniała.

Pomimo ponurego i smutnego oblicza, krajobraz otaczający nie pozbawiony był wdzięku. Wprawdzie jak sięgnęło oko, niezmiernie ściany czarnych lasów jakby żelaznym obejmowały go pasem, lecz w pośród nich szeroko też zielone rozpościerały się łągi, a wolno płynąca, szeroka rzeka srebrzysta. W dali gdzie niegdzie samotna sosna lub dąb prastary

sterczał, wystąpiwszy daleko przed gąszcze, i majestatycznie gałęzmi olbrzymiemi malował się na czarnych lasu głębiach. Po łęgach stały strugi jak strażnicy, dalej szarych łóz i wierzb pozaokrągłane kłęby, jakby wał leżały nad rzeką. Gdzie niegdzie pobożna ręka wzniosła wysoki krzyż świadczący o modlitwie i boleści, tajemniczy kurhan zielonym kobiercem obrzucony, samotny, jak zagadka przeszłych wieków nierozwiązana, świecił żółtym oberwanym bokiem.

Oko błędząc po lasu wybrzeżach, mogło w nich dojrzeć jakby zasięki poobalanych drzew ze sterczącymi konary białemi i zeszlęmi, dalej łąk, które się wcisnęły we wnętrza puszczy i strumieni osłonionych bujnemi rośliny zwieszającemi się u ich brzegów.

Lecz oprócz ogromnej osady Borowiec i kilku przysiółków z nią połączonych, a wielu chat w pobliżu rozsianych, w całej okolicy żadnego ludzkiego nie widać było mieszkania.

Po za wydartemi polami, na wzgórzach, ciągnęły się lasy, bory, puszcza całkiem bezludna. Jedna szersza droga do niej wiodła, gdzie niegdzie ścieżyny ledwie znaczne i wydeptane przez leśników dróżki.

Cały ten obszar, który małe mógłby być stanowić państwko, gdyby ludność odpowiadała ziemi, należał od lat tak wielu do jednej rodziny, iż pamięć ludzka nie sięgała czasów zdobycia czy nabycia przez nią Borowiec. Najstarsze też dokumenta wspominały o Dobkach z Borowiec.

Losy tej rodziny przykutej do pustkowiec były dosyć osobliwe, historia ciekawa i zagadkowa; nie wszystkie wypadki jej wiadome nawet miejscowym, a po za granicami dziwy z nich sobie pleciono... Dobkowie trzymali się Borowiec przez kilka wieków, ani zubożając się ani zubożawszy, nie mogąc się rozrodzić, ale też nie wygasnąwszy... gdy tyle innych rodów wymarło. Najczęściej syn tu jeden po ojcu zostawał i dziedziczył, rzadko ich dwu bywało... nigdy nie dorosli razem... Córek niewiele wyszło z domu, majątność się też nie podzieliła, i o jednym tylko Dobku herbu Cholewa wiadomo, że się był wyniósł ztąd, a osiadł na Litwie. Trafiło się to właśnie pod ten czas, gdy Dobkowie nie wiadomo zkad i jak zachwycili religijnych nowinek, z kościoła zrobili zbór, księdza wygnawszy, dawali różnym warchołom przytułek, na ostatek zabłąkali się aż do arjan i z nimi w końcu trzymali. Siedzieli tu jakiś czas, kryjąc się Przypkowscy i kilku innych braci polskiej. Gdy przyszło potem srogie arjan prześladowanie, i zmuszono ich albo kraj opuścić lub wiary się swej wyrzekać, ów Dobek co ztąd wędrował, wszedł po to, aby do kościoła wrócić, i katolikiem zostawszy, ożenił się z bogatą dziedziczką, z którą nową gałąź Dobków Cholewitów fundował; ta jednak wszelkie stosunki z pierwszym swem gniazdem zerwała.

Dobkowie borowieccy, dopóki tylko było można, trzymali jawnie z arjany, potem z dyssydentami, pozornie się arjanizmu wyrzekłszy, naostatek nawrócili się i oni do katolicyzmu, chociaż różnie o tem mówiono, i byli co utrzymywali, że stary w nich zakwas utajony pozostał.

Zbór, który był z kościoła zrobiony, napowrót zwrócono księdzu. W czasie gdy Dobkowie heretykami byli, pochowano ich tu kilku i w zborze wystawiono im przepyszne grobowce. Gdy wrócili katolicy, ponieważ sobory i bulle nie dozwalały, by z kościoła wyłączonych ciała w poświęconem miejscu spoczywały, musiano przenosić i monumenta i ciała do sąsiedniego zamkowego lochu, na co osobne sklepienie przeznaczono podziemie.. Opierali się z razu Dobkowie naruszeniu pokoju zmarłych, lecz gdy duchowieństwo surowo domagać się zaczęło usunięcia tych grobów, zabrano z kościoła do zamku nie tylko arjana, ale wszelkie jakie były trumny, i odtąd grzebali się wszyscy w tym lochu zamkowym, na dwie izby podzielonym, w którym monumenta, tablice, rzeźby i wszelkie pamiątki po nich zgromadzono.

Te odosobnione groby Dobków na samym zamku, zajmowały część ogromnych lochów, o których głosiły podania, że się aż za rzeką ciągnęły. Wnijsie do nich było osobne, zamczyste, a piecza około zachowania szczególna. Kilka okien kraciastych od dziedzińca dozwalało dojrzeć w głębi stojące trumny, począwszy od dębowych w kłodach grubych żłobionych, aż do cynowych i kamiennych.

W jednym lochu leżeli arjanie, obok poświęcony mieścił rodzinę katolicką. Z kolei po sobie następujący tu proboszczowie, wszyscy brali zdaje się w spadku po sobie pewną ku kollatorom nieufność i podejrzenie ich ortodoksji, chociaż Dobkowie nie dawali do tego żadnego powodu, spełniali zewnętrzne obowiązki gorliwie i przykładowo, ale się pono

w starych Bibliach swoich nadto rozczytywali. Więc choć ich o herezję jawną pomówić nie było można, podejrzewano o pewną do niej skłonność. Gorliwości zbytnej nie było z ich strony, braku pohamowania zarówno... a któż mógł zajrzeć w sumienie?

Z tego powodu może niełatwo im było o żony, tak, że gdy pora ślubowania przychodziła, wybierali się zwykle gdzieś daleko, kędy ich z tej strony nie znano, i ztamtąd sobie przywozili towarzyszki, albo też trafiało się, że wcześniej ubogie krewne żon swych sprowadzali dla synów, wychowując na przyszłe małżonki.

Od wieków tak bardzo odosobieni, samotni, nie żyjąc z nikim, rodziną się tylko własną i sami sobą otaczając starczyli sobie, ani z sąsiadami, ani z tymi do których wypadki ich zbliżały nie zawiązując ściślejszych stosunków. Mało co też wiedziano o nich, o życiu na zamku, o ich sprawach i myślach; a służba, która dwór otaczała, tak była dobrana i wyuczona, że się ze wsią i miasteczkem nie łączyła i stanowiła też jakby odrębną gromadę. Sług nowych przyjmować nie potrzebowano, gdyż młodzież i dzieci zawczasu wprawiano i sposobiono na wszelkie funkcje zamkowe.

Przed stu laty blisko, gdy się opowiadanie nasze zaczyna, panem na Borowcach był Salomon Dobek Cholewa Borowiecki, człowiek już niemłody, wdowiec, z wielu względów do przodków swoich niepodobny, chociaż dużo też z ich charakteru zachował. Odziedziczył on był majątność po ojcu już od lat kilkudziesięciu, w dosyć dziwny sposób: bo choć wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ojciec jego Adam Dobek nie żył od dawna, wszakże śladu co się z nim stało, i jaką śmiercią, i gdzie zginął, nie było.

Jakaś mętna historia nierozjaśniona wiązała się z tem zniknięciem ojca Salomonowego.

Adam urodzony w ostatnich latach siedemnastego wieku, ledwie doszedłszy pełnoletności, stracił najprzód ojca, a w prędcie potem i matkę. Lat potem niemal dziesiątek żył całkiem samotnie, dzicząc na zamku, nie zdając się myśleć o ożenieniu. Potem obyczajem ojców, wyruszył kędyś szukać dozgonnej życia towarzyszki. Rok go prawie w domu nie było, powrócił z żoną do Borowiec. Kobieta, którą z sobą przywiózł, nadzwyczajnej być miała piękności, lecz od pierwszej chwili smutna, płacząca, widocznie zboląła i nieszczęśliwa, zdawała się przeciw woli wydaną za nieluba męczennicą. Wkrótce po powrocie urodził się syn i matka zaraz wydawszy go na świat umarła...

W ostatniej chorobie nie dopuszczano do niej nikogo z ludzi; z izb, w których leżała dochodziły jakieś krzyki rozdzierające, przeraźliwe, straszne... a gdy skoła, sam ją mąż do grobu ubierał.

Po śmierci jej, stary Adam stał się bardziej jeszcze ponurym i odludkiem zamkniętym; mówiono, że znaczną część dnia i nocy przy grobach ojców przepędzał. Zajmował się też wychowaniem syna, co mu było ciężko, bo dziecko było złośliwe i uparte. Ojciec i syn gryźli się, kłócili, chłopiec z domu nawet uciekał i kilka razy gonić za nim, łapać go i więzić musiano.....

Gdy nareszcie dorósł lat pewnych, nieco się uśmierzywszy, z pomocą nauczyciela, którego doń sprowadzono z daleka (a ten go uchodzić przecież potrafił), zaszedł ów dziwny z ojcem wypadek, nierozjaśniony dotąd, a różnie tłómaczony.

Niewiadomo z jakiego powodu zbiegł z zamku stary sługa... za którym próżno, znaczną nagrodę wyznaczwszy, gnano, — sługa, od dzieciństwa tu wychowany i zaufanie pana posiadający. Wkrótce potem, niewiadomo czy za jego powodem, czy z innych przyczyn, zjechali sądowi ludzie do Borowiec na zamek i samego pana Adama Dobka osobę ująć chcieli. Lecz nim się to stało, przeczuwając snadź coś złego, stary wziął klucze od grobów i zniknął w lochach, tak, że potem napróżno je przetrząsano, śledzono i nigdzie nie odkryto jak i dokąd ujść potrafił. Utrzymywano później, że zagrożony bannicją i infamią (niewiadomo za jaki występki), sam sobie dobrowolnie życie odebrał, wstydu uchodząc, a rodzina całą sprawę zdusić i utaić potrafiła... To pewna, że go od dawna za umarłego miano i w głowach tablicę pamiątkową umieszczono.

Syn bez przeszkody objął majątności, i przeciw obyczajowi ojców, nie szukając daleko, pojął za żonę córkę jednego ze swych oficjalistów, dziewczynę prostą, której piękność była całym posagiem. Przywiązał się do niej wielce, a gdy wydawszy córkę na świat, i ona wprędcie życie skończyła, w rozpacz o mało sam zachorawszy nie poszedł za nią. Pozostałe dziecię przywołało go do życia.

Dziewczynię imię Laura było. Dochodziła ona lat szesnastu, a piękność jej przypominająca matkę, rozkwitała najładniej na pociechę ojcowską. Była to ostatnia imienia Dobków dziedziczka, i co się od wieków po raz pierwszy trafiło, majątki przejść miały po kądzieli w obcą rodzinę, a imię stare wygasnąć. Płakał nad tem pokryjomu Salomon. Miał on naówczas lat niespełna pięćdziesiąt... lecz życie surowe a jednostajne młodo go zachowało.

Od śmierci żony szukał pociechy i zajęcia w różnych przedmiotach: najprzód w troskliwej nad dzieckiem opiece, która była dlań pierwszym życia zadaniem, potem w czytaniu ksiąg, które mu nie smakowały, na ostatek zbudziła się w nim żądza z bogacenia, i ta go drugim węzłem przywiązała do życia. Od czasu jak począł frymarchyć, z żydami na wspólnie handlować, wyprzedawać lasy, zakupować zboża i puszczać różne towary do Gdańska, ożył jakoś Salomon, orzeźwił, w końcu zaś stał się chciwym skąpcem, codziennie prawie łakomszym mienia, w miarę jak ono wzrastało.

Nie przyszła ta namiętność od razu, ale się w nim można rzecz rozrastała powoli, chwytając go coraz uciskając mocniej, opanowywała, aż niemal do niepoznania zmieniła.

Kochał zawsze tę córkę jedyną miłością bałwochwalską, będąc raczej pierwszym jej sługą niż rodzicem; przecież starania o grosze, o zyski, o złoto, na którego widok drżał, czasem mu nawet Laurę z pamięci i serca rugowały.

Handle jego, któremi nie oddalając się prawie z Borowiec kierował, odbywały się przez kilku izraelskich faktorów, sług płatnych, wprawnych a pewnych, bo ich rodziny w rękę miał Dobek i ludzi dobierał trafnie. Zaczął najprzód od wyrobku niezmiernych lasów własnych, w których się skarby wielkie znalazły, dęby niewidzianych rozmiarów, klepka, masztowe sosny i bale. Spławna rzeka wywóz ich ułatwiała, pędzono oprócz tego smołę, palono potasze... Puszcze były tak rozległe a nietykane, że gospodarstwa tego na lata stało. Corocznie tysiącami dukatów brano za leśne produkta, a w lasach trzebieży tej znać nie było.

Na sosnowe belki zaczął potem Dobek składać zboże kupowane w żyźniejszych okolicach i prowadzić je do Gdańska. Z każdym rokiem handel ten większe przybierał rozmiary. Życie się nie zmieniało wcale, grosz przywieziony w jasnym obrączkowym złocie, tonął gdzieś w żelaznych skrzyniach, w podziemiu zamkniętych, od których klucz nosił Dobek, jak mówiono, na szyi, nikomu go nigdy nie powierzając. Jedynym szafunkiem były gościńce, które z Gdańska dla Laury przywożono co rok, bogate sprzęty, klejnociki... sreberka. Te Aron Lewi, prawa ręka Dobka, żyd bardzo już majątny, sam wybierał i kupował, a miał i smaku wiele, i wytargować się umiał...

Salomon Dobek, choć dawniejsi jego przodkowie mieli wszyscy być postawy olbrzymiej, nie dorósł ich wcale, a nawet ojca, o którym prawiono, że był rozrosły i silny. Mały, suchy, zgarbiony nieco, łysy, rumiano i świeżo jeszcze wyglądał, oczy mu się świeciły, biegał po młodemu, i ani oczu, ani uszu, ani żywości młodej nie stracił. Chodził zawsze odziany szaro, podpasany skórzanym paskiem, w butach do kolan...

Dopuszczenie faktorów do zamku i owe frymarki z nimi, choć się odbywały w izbie na dole na to przeznaczony i nigdy im dalej na zamek wchodzić i po nim się węszać nie było wolno, zmieniły po trosze życie borowieckie. Z chciwością złota wcisnęły się troski, zajęcia tysiączne i potrzeby stosunków ze światem. Laury też dorastającej nie mógł ojciec wychować o własnej sile... musiał do niej jakąś daleką krewną babki z odległych stron sprowadzić. Przybyła panna Fryderyka von Henau powiększyła szczupłe gronko mieszkańców zamku. Składało się ono: z pana Salomona, panny Laury i cici Henau, jak ją pospolicie zwano. Już za Adama dwór się był znacznie zmniejszył, dziś, stał się szczuplejszym jeszcze, wielu starych puszczo na chleb łaskawy, Salomon, który dla córki nic nie szczędził, dla siebie, domu i ludzi z każdym dniem stawał się dokuczliwszym sknerą.

Niedaleko zamku, bo tak teraz bramę z basztą nazywano, stał dawny kościół, przerebiony ze zboru i przywrócony ostatecznie nabożeństwu katolickiemu; przy nim mieściła się stara murowana plebanja, od lat kilkunastu zamieszkiwana przez proboszcza Żagla, którego stryj poprzednio był także czas długi miejscowym dusz pasterzem. Pomiędzy plebanją a zamkiem nie było otwartej wojny, stosunki na oko przyjaźne łączyły kanonika z dziedzicem, lecz z obu stron panowała nieufność i tajona niechęć. Ks. Żagiel wiedział najlepiej od stryja i z miejscowych podań co tylko o Dobkach rozpowiadano, tu się zbier-

gały wszelkie ciche, nieprzyjazne im plotki; we dworze także szukano zawsze jakichś do proboszcza przyczepek, czegoś, coby mu zarzucić było można. Widywano się tylko z konieczności, a zgoda była powierzchowna, pokrywająca ciągle wzrastającą tajoną nienawiść.

Ksiądz Żagiel nastawał szczególnie na to, że u Dobków pełno było tajemnic i rzeczy ukrytych w życiu i postępowaniu, dodając, że kto czystym jest, ten się niema z czym ukrywać. We dworze ks. Żagla za niebezpiecznego miano fanatyka i rozsiewacza potwarzy nieuzasadnionych... Nie przychodziło jednak do wybuchu i powierzchowne porozumienie dotąd nadwreżone nie zostało...

Ks. Żagiel był człowiekiem dobrym w gruncie, lecz samotnością, życiem na tej ustroni bez ludzi, podrażnionym i kwaśnym, a niekiedy niecierpliwym. A że nadzwyczaj surowo pilnował, aby się w obowiązkach religijnych ludzie nie opuszczali i najłżejszemu w tem uchybieniu nie przebaczał, niezawsze bywał ze dworu zadowolony. W otoczeniu Dobków i w nich samych gorliwości żadnej nie było, zaniedbywali się nawet często, a gniew proboszcza lekceważyli. Miał on też i to za złe że Salomon więcej z Izraelitami dla handlu przestawał, niż z kimkolwiek bądź, i zdawał się w ich towarzystwie smakować. Laury wychowanie zbyt wielką dające jej swobodę, charakter dziewczęcia śmiały, energiczny, fantastyczne jej postępowanie, mężkie niemal upodobania, proboszczowi się też nie podobaly. Od majątnego Dobka nigdy ani na naprawę kościołka, ani na restaurację plebanji, ani na ogrodzenie cmentarza ksiądz nic doprosić się nie mógł. Spotykali się też chyba w niedzielę na Summie, w uroczyste święta i dni, gdy proboszcz czuł się w obowiązku odwiedzić kollatora, a rzadko bardzo nawet na obiad bywał proszony.

Samem położeniem swem Borowce wszelkiego bliższego sąsiedztwa pozbawione były; stosunki więc ze szlachtą prawie nie istniały. Dobek wyjeżdżał rzadko, tylko gdy był zmuszony... do niego nikt nie przybywał chyba za interesem. Nie można jednak powiedzieć ażeby się tu nudzono; Salomon od rana do nocy siedział w rachunkach lub słuchał szczebiotania córki; Laura i panna Henau biegały, chodziły, czytały i zajmowały się robotkami kobiecemi. Dwie te kobiety zdawały się stworzone na przeciwieństwo sobie, i dla tego się może doskonale godziły. Nic sztywniejszego, chłodniejszego na pozór wystawić sobie nie można nad ciocię Fryderykę, od rana w czarną suknię z białym kołnierzem opiętą, wyprostowaną, nie uśmiechającą się nigdy prawie i do starego jakiegoś flamandzkiego portretu podobną. Chód jej, postawa, mierzona mowa, wzrok nigdy się nie ożywiający, usta, z których płynęły jakby siłą wyciśnięte, z wolna jeden po drugim obliczone wyrazy, były w najzupełniejszej sprzeczności z ognistą naturą, niepohamowaną szczebiotliwością rozpieszczoną samowolną Laurę, która co chwila czegoś nowego do podsylenia w sobie życia płonącego potrzebowała, a czegokolwiek zapragnęła, to osiąść musiała koniecznie. Ojciec czasem próbował ją hamować, co mu się nigdy prawie nie udawało, ustępował pieśczoitom dziecka, na którego czole obawiał się najłżejszej nawet chmurki. Właściwie piękna Laura, którą wszyscy spieszczono Lorką nazywali, panowała samowładnie na zamku i wola jej rządziła wszystkimi. Kochano ją powszechnie, gdyż dziecię szczęśliwe, dokoła siebie szczęście widzieć chciało wszędzie, przymilało się każdemu i niechęci długo nie mogło w sercu zatrzymać.

Gwałtowność uczuć wszakże kazała się domyślać, że gdyby Lorka raz kogo zniechęcić mogła, nienawiść jej jak miłość nie znalazłyby granic. Życie osamotnione dotąd, nawykłym do niego nie ciążyło; frasował się tylko zawczasu pan Dobek tem, że ono zmienić się musi, bo i tak dziewczęcia w tym kątku zamurowanego trzymać nie było podobna zawsze. Rok jeszcze lub dwa, a przewidzieć było łatwo, iż z niem wyjechać przyjdzie, by je na świat wywieźć... i dać je poznać światu.

W takim położeniu byli mieszkańcy Borowic, gdy niespodziany wypadek zamącił ten spokój, do którego od dawna nawykli.

O mil dwie (wprawdzie fantastycznie wielkich), po za wschodnią granicą lasów borowieckich, leżały dobra rozległe, do Sapiehów należące, w których się od dawna dzierżawcy różni mieniali. Klucz smołochowski wypuszczany różnym spekulatorom, przed laty sześciu dostał się niejakiemu panu Nosce, szlachcicowi mającemu własny majątek o mil dziesięć, zamożnemu a chciwie dorabiającemu się grosza. Nosko wziął Smołochów z wolnością pędzenia smoły, dziegiu i palenia potaszu, używał też jej i korzystał śpiesznie, gdy w ciągu tych zabiegów o fortunę, niedawno ożeniony, w sile wieku i zdrowia, zaziębiwszy się na polowaniu, dostał gorączki i zmarł prawie nagle.

Pozostała po nim wdowa, kobieta młoda, piękna, energiczna, sama jedna, bez rodziny, bo ta gdzieś się po świecie była rozpierzchna, zrozpaczywszy niemal o sobie, postanowiła szukać ratunku gdzie go się jak najmniej spodziewać mogła.

Jednego dnia, gdy pan Salomon Dobek najmocniej był zajęty rachunkami ze swym Aronem, dał mu znać stary sługa, iż młoda jakaś pani piechotą przyszła z miasteczka i prosiła, by się z nim widzieć i pomówić mogła.

Było w tem coś tak nadzwyczajnego, niesłychanego, niepraktykowanego w Borowicach, iż w pierwszej chwili Dobek się przeląkł i odpowiedzieć na pytanie nie mógł. Spojrzał na Arona, jakby żądając rady, co tu począć?

Kto mogła być ta kobieta młoda, obca, która się z panem Borowieckim widzieć i mówić chciała? po co i dla czego? Stary Aron pogładził brodę, rady bowiem dawać nie śmiał, a czuł zresztą, iż rozmowy nikomu odmówić nie można.

— Ale któż ona jest? zapytał Dobek... z kąd? jakim się tu sposobem dostała?

— Tego nie wiem, rzekł sługa.

— Jak wygląda? dodał pan Salomon.

— Bardzo pańsko... kobieta młoda, nie więcej lat dwudziestu kilku, piękna, śmiała... nie tutejsza... musi być kędyś... z kraju... (krajem tu nazywano co po za polesiami leżało).

Dobek spojrział powtórnie na Arona.

Aron znowu długą w dłoń zebrawszy brodę, brwi podniósł, głowę, pokręcił, westchnął i nic nie rzekł.

— No, cóż tu zrobić?

— A! jasny panie, juźci pogadać z każdym trzeba! mruknął Aron.

Pan Salomon spojrział na swój strój zaniedbany, na izdebkę tę, w której tylko żydów, oficjalistów i sługi zwykł był przyjmować, namyślił się, i po chwili rzekł słudze, aby jejność przybyła prosił do parlatorium. Tak się tu zwała izba większa na piętrze w bramie, sklepiona, do której rzadko kiedy zaglądano... ustrojona w dawne sprzęty, w obrazy, szafy i co dwór miał najlepszego. Lorka nie lubiła jej, bo była ciemna i ponura; Salomon chodził tylko czasem obejrzeć, czy tam jakiej szkody niema; jedna panna Henau lubiła ten ciasny kątek, wspomnień pełny i siadywała tu czasami przepatrując stare księgi, które w dwóch czarnych gdańskich wspaniałych szafach chroniono...

Z okien parlatorium, w jedną stronę poglądając, widać było ulicę wysadzaną i miasteczko, w drugą, dziedziniec zamkowy z ogródkiem Laury i szaremi ruinami staremi. Z dwojga drzwi w węższych ścianach jego umieszczonych, jedne wiodły na schody od wnętrza bramy, drugie w głąb domu ku mieszkaniom Laury i panny Henau; korytarzykiem i przybudowaną galeryjką szło się na schody łączące piętro z izbami na dole, które pan Dobek zajmował. Sklepienia niskie nadawały salce smutną fizjonomię... Okna w grubym murze głęboko osadzone, w olów oprawnymi szyby skąpo ją oświecały. Przyciemniał ją też sprzęt czarny, szafy szerokie przysadziste, na których wierzchach stojące delfty si- ne sięgały prawie luków sklepienia. Pomiędzy niemi w ramach czarnych przyciemniałe portrety, z których gdzie niegdzie twarz chmurna patrzyła... nie mogły jej ożywić ani rozweselić. Dębowe stoły, ławy, i stare krzesła okryte aksamitem wypłowiałym, kilka pótek, na których srebrne i gliniane stały naczynia, puhary i misy, mosiężny złożony pająk od środka sklepień wiszący, dopełniały ubrania parlatorium.

W każdym z okien, o dwa łokcie przynajmniej w mur wsuniętych, stały na podniesieniach ławeczki do siedzenia zielonem sukniem poobijane... Nadedrzwiemi głównymi stare płótno wyobrażało Chrystusa na krzyżu, z całą średniowiecznej sztuki wyrazistością odmalowanego...

Do tej to izby ponurej, jakby na obcowanie z umarłymi przeznaczonej, sługa otworzywszy drzwi wpuścił młodą panią, która się rozmowy z panem Dobkiem dopraszała... Snadź ona się go tu znaleźć spodziewała, bo wszedłszy obejrzała się ciekawie, zdumiała widząc się samą i korzystając z wolnej chwili, zaczęła się chciwie po salce puste rozglądać.

Nieznajoma pani, która tu weszła, wdowa po panu Nosce, na czarnem tle parlatorium wyglądała świeżo, krasno jak kwiat na ciemnej aksamitu szacie. Pani Sabina, gdyż takie imię nosiła, była pięknego wzrostu i ślicznej kształtnej postawy, ciemnych oczu i włosów, kobietą w kwiecie wieku i wdzięku. Oko znawcy nie znalazłoby w niej może żadnej z tych cech, któremi Bóg znaczy wybrane swoje, ale też nie wyszukałoby skazy. Piękność była regularna choć pospolita nic w niej uderzającego nadzwyczajnością, nic rażącego brakiem

harmonii... Jak z jednej sztuki bronzu ulana, zręczna, silna, z energią na czole, z oczyma pełnymi rozumu i ognia razem, przypominała piękną karytydę grecką, która dźwignąć może gmach, ale nie ma skrzydeł, by się nad ziemię podniosła. Niepospolita była to piękność, — a przecież nic nie mówiąca, twarz spokojna zdawała się zagadką marmurową, wszystko z niej mógł uczynić artysta, ale czem ona była sama z siebie, nie mówiła. Czarny ubiór wdowi Sabiny podnosił wdzięki jej postawy, cery i twarzy.

Długa suknia, czarny kwef okrywający włosy, szeroka chustka z koronkami, którą zarzuciła na ramiona, drapowały ją pięknie bardzo...

Wszedłszy do parlatorium, powstała chwilę zdumiona, rozglądając się po ścianach, sprzętach, wizerunkach... nie śmiała się ruszyć, badając drzwi jedne i drugie zaparte jakby na wieki... Na zamku cisza panowała uroczysta... przez okna, których szyby lata długie spaliły, mało co na zewnątrz widać było.

Jeszcze się tak rozpatrywała Sabina wśród izby, w której oddychać jej było ciężko, gdy usłyszała hałas i śmiech za drzwiami przeciwnymi tym, któremi weszła, potem lekki bieg w przyległym mieszkaniu, klamka żelazna zadrgała, otwarło się pół podwoi, i blondynka złotowłosa, biała, różowa, z wielkimi oczyma niebieskimi jak dwa wschodnie turkusy, wpadła uciekając do salki... Spozrzęła ją, krzyknęła przeraźliwie, zachwiała się, oparła o ścianę i przelękniona chciała uciekać jak od widma... ale nogi pod nią zdrząły, wyciągnęła ręce odpychając od siebie zjawisko i na kolana upadła.

II

Pani Sabina Noskowa, której postać była powodem takiego przerażenia biednej Laury, nie wiedziała co począć z sobą, nierozumiała z razu co się stało. Zmieszana, nie mogła rzecz słowa i mimowolnie brew jej zmarszczyła się uczuciem tłumionego gniewu... Nic mogła pojąć dla czegożby jej przytomność taką trwożę wywołać miała? Wzruszyła ramionami... postąpiła krok, lecz w tejsze chwili widząc ją poruszającą się z miejsca, dziewczę zdumione i zawstydzone razem porwało się z ziemi, uśmiechać się zaczęło, i spoglądając ciekawie, niezręcznie dosyć się skłoniło.

Laura wpadając do parlatorium, które zwykle bywało puste, gdzie od wieków gość nie postać, — nie wiedziała wcale o przybyciu sąsiadki, wzięła ją więc w pierwszej chwili za widmo jednej z prababek swych, o których tu tyle podań chodziło. Bawiła się ona z dziewczynką, córeczką jednego ze sług dworskich, i w ucieczce od niej niespodzianie dopadła drzwi salki... Teraz, gdy w mniemanem widmie poznała żywą kobietę, zdumienie Laury prawie nie mniejsze było, niż gdy ją widmem sądziła.

— Co ta nieznajoma pani robić tu może? mówiła sobie spoglądając na nią z obawą.

Jakby dla ośmielenia Laury, w tejsze chwili pani Noskowa odezwała się dźwięcznym, jasnym, do rozkazywania stworzonym, choć złagodnym na ten raz głosem:

— Czy będę mogła widzieć pana Dobka?

— Mojego ojca? spytała z obawą zawsze zbliżając się Lorka i wpatrując się z niezmierną uwagą w nieznaną istotę... mojego ojca? Ja, ja nie wiem! Lecz jakże tu pani wejść mogła?

— Prosiłam o widzenie się z nim... Kazano mi tu zaczekać.

Lorka popatrzała uważnie i instynktem gościnności wskazała uprzejmie przy stole stojące krzesło... Wdowa też dowiedziawszy się, iż była córką dziedzica, zdawała się chcieć uśmiechem słodkim nagrodzić niedawne brwi zmarszczenie. Twarz jej jednak z trudnością łagodny wyraz przybrać mogła, zbyt ciężki smutek zapewne serce gorączką zaszło uciskał.

Stały tak naprzeciw siebie obie zdumione, rozpatrując się w sobie, badając... a w tej chwili stanowczej, w której zwykle serce uderza ku nieznanomemu albo od niego odpycha, Laura uczuła jakby obawę, Sabina niewytłómaczony gniew ku zuchwale wyglądającej dziewczeczce.

Laura przypatrywała się jej w istocie z niezwykłą może na innym świecie śmiałością, któraby ledwie dziecku przystała, lecz była dziecinna jeszcze i udawać nie umiała; każda myśl, każde uczucie wytryskało przez oczy i śmiało się na ustach... nic też ukrywać dotąd nie miała potrzeby.

Powtórnie wskazała Laura krzesło wdowie, która obejrzawszy się ku niemu usiadła... Piękna dziewczeczka nie odeszła... i jak dziecię, które wyglądało przezedrzwi, tak ona uważnie, spokojnie, nielitościwie przypatrywała się pani Noskowej.

— Wiesz pani, odezwała się śmiejąc wesoło Laura: u nas tu nikt a nikt nie bywa... nie można się dziwić, żem się tak przelęknęła... dotąd mi jeszcze serce bije! Jak żyję, nie widziałam tu nikogo obcego... Można mi i strach i ciekawość przebaczyć! A pani... pewnie z daleka?

— Mniej daleko mieszkam niż się pani zdawać może, odparła harmonijnym zawsze lecz nie sympatycznym głosem Sabina, państwo i najbliższych nie znacie i nie widujecie sąsiadów. Ja jestem wdową po panu Nosce ze Smołochowa... może pani słyszała...

— A! tak... mówiono, że umarł niedawno! z politowaniem odezwała się Laura.... Do Smołochowa dwie mile... a to tak dla nas już daleko! I droga podobno okropna, ja tam nie byłam jak żyję...

Gdy Lorka mówiła, oczy wdowy od stóp do głów przebiegały z uczuciem jakiejś zazdrości tę śliczną figurkę, której zdało się skrzydeł tylko braknąć, by mogła ulecieć w powietrze.

— Jakże państwo tu tak w tej pustyni bez ludzi żyć sami możecie? spytała wdowa.

— A! proszę pani! mnie tu doskonale! zawołała Lorka, z tego co o świecie ciocia Fryderyka opowiada, ja wcale nie mam ochoty się spieszyć wyjść z mojego zakątka. Mnie tu tak dobrze! ja tu jestem sobie panią, swobodną... mam wszystko o czym zamarzę, a nie lękam się tych zdrad, podstępów... fałszu i niegodziwości a przewrotności, o których ciocia powiada!

Wdowa lekko, nieznacznie poruszyła ramionami i roześmiała się z naiwnego dziecięcia, brwi się jej nieco ściągnęły, jakby to co Lorka mówiła o świecie do siebie wzięła...

— I nie nudzisz się tu pani? spytała z pewną ironją ukrytą.

— Ja? nudzić się! klasnęła w dłonie Laura, nudzić się? Ja tego nie rozumiem co to jest się nudzić... mnie wszystko bawi, jestem ciekawa wszystkiego i tak mi z ojcem i ciotką dobrze! A! a! gdzieżbym ja nudzić się mogła!

Wdowa westchnęła, spojrzały na siebie, w tem kroki na schodach słyszeć się dały, Lorka domyśliła się nadchodzącego ojca, skłoniła się nieznajomej i oddaliła pośpiesznie, drzwi zamykając za sobą. Niemal w tej samej chwili z przeciwnej strony otworzył je pan Salomon i bojaźliwie oglądając się, wsunął wzrok ciekawy posyłając przodem. W przyciemnionej sali niedobrze było widać nawet o południu, lecz wstając z krzesła pani Noskowa, zwróciła się ku oknu i żywsze światło padło na piękną twarz jej i postać wspaniałą.

Dobek, który dawno tak pięknej kobiety z bliska nie oglądał, zdawał się uderzony wdziękiem harmonijnym postaci, o jakiej nie marzył nawet. Odmalowało się to na jego twarzy, a Sabina wyczytała w niej łatwo zdumienie i milczący zachwyt, postanawiając z tego korzystać.

Nizko skłoniła się spuszczać oczy i przybierając wyraz pokorny i łagodny; głos, którym przemówiła, słodszy był daleko od tego, jakim niedawno odzywała się do Laury... Ta jedna okoliczność dawała w niej poznać niewiastę rozumną, obytą z ludźmi i umiejącą się do okoliczności zastosować.

— Raczysz mi waćpan dobrodziej przebaczyć, że śmiem jego samotność ulubioną przerywać. Nieszczęśliwi mają pewne prawa... a ja, panie szanowny, jestem bardzo nieszczęśliwa.

Westchnęła tak przejmująco, że zimny Dobek uczył coś w piersi jakby wzruszenie mimowolne. Tak była piękną ta młoda niewiasta, a oczy starego od tak dawna nie napawały się widokiem bożego tworu... rozkwitłego do życia i promieniejącego niem...

— Pan dobrodziej nie znasz mnie, mówiła dalej, choć byliśmy i jesteśmy sąsiadami blizkimi... Muszę mu się przedstawić sama. Imię nasze znane mu jest pewnie ze słychu przynajmniej, bo nieboszczyk mąż mój...

Tu chusteczkę poniosła do oczu suchych.

— Mąż mój od lat sześciu trzymał Smołochów...

— Więc pani Noskowa! pani Noskowa, odezwał się ręce zacierając Dobek... Bardzo mi przyjemnie... Niech pani siadać raczy... Lecz czemuż mogę...?

Sabina usiadła, Dobek krzesło sobie przysunął i zasiadł także, starając się obrać takie miejsce, aby pięknej mógł przypatrywać się twarzy, która go upajała aż mu przed samym sobą wstyd było... Nie uszło to pewnie oczu wdowy, która nadzwyczaj bacznie śledziła każdą najmniejszą zmianę na licu sąsiada... Głos jej stawał się coraz słodszy i pełniejszym zwodniczego uroku.

— A! panie, poczęła, poprzedzając mowę westchnieniem, a panie! Wdowa, sierota, sama jedna, bez krewnych, bez opieki... w rozpacz, przychodzę do ciebie błagać o radę i pomoc... Lękam się, ażeby Sapieżyńscy nie korzystali z położenia mojego i nie spędzili mnie z dzierżawy zapewnionej kontraktem na następne sześć lat... Nie mam nic oprócz tego co mi zostało w dzierżawie po mężu, nie wiem jeszcze jak się zemną obejdzie jego rodzina... Oni także zechcą pewnie z sieroctwa mego korzystać. Do kogoż ja się tu udam wśród tego pustynnego kraju?... Jeśli mi pan odmówisz...

Mówiąc to powoli, trąc oczy ciągle chusteczką, wzdychając, poglądała na starego Dobka takimi oczyma, takim wzrokiem wyiskrzonym, jakby go oczarować chciała... Stary prawie przełęczniony odwracał oczy, mieszał się, co też nie uszło uwagi Sabiny. Na ostatek sięgnęła białą dłonią po jego rękę, jakby ją ucałować chciała... Dobek z krzesła się porwał i odsunął.

— Moja mościa dobrodziejko, zawołał gorąco: nie potrzeba tu prośb... obowiązkiem jest wdowy i sieroty bez opieki zostające ratować... Lecz ja... domator jestem... prosty człek, nie prawnik, pustelnik, odzwyczailem się od ludzi, odwykłem od świata... Mam przytem własną sierotę swoją... i — nie radbym być zmuszonym wychylać się z tego zakątka...

— A! ja też zbyt wielkich ofiar od niego wymagałbym nie śmiała, przerwała wdowa mrużąc oczy, z którymi dziwy wyrabiała; ja o nic więcej acana dobrodzieja nie proszę prócz żebyś raczył opiekę przyjąć nademną... a gdy na grunt zjadą czy Sapieżyńscy, czy bracia pana Noski, byś mi swej rady i protekcji nie odmawiał. Do Smołochowa dwie milki małe... kilka godzin... Bóg to panu wynagrodzi...

Pan Dobek namyślać się zdawał, spuścił głowę. Człek to był rozumny, nietyle mu szło o stratę czasu, o kłopot, jaki nań mógł spaść z tego powodu, jak raczej o pewne niebezpieczeństwo, którego groźbę czuł nad sobą... Po wrażeniu, które na nim czyniła wdowa, poznał stary Salomon, iż gdyby się, uchowaj Boże uwzięła na niego, łącznoby go — przydeptać mogła i zrobić zeń coby jeno chciała. Prędzusieńko obrachował skutki możliwej słabości swojej, a nuż zażąda tych najukochańszych dukatów? a nuż wymagać będzie podróży, prowadzenia procesu, oddalenia od Lorki?

Lecz mogłoby to znowu być, aby ta śliczna młoda kobiecina poznała się na tem, iż od pierwszego wejrzenia taką zyskała siłę nad pustelnikiem z Borowiec?

Od śmierci żony pan Salomon żył jak mnich, nie widując nikogo prócz wyschłej ciotki Fryderyki, swego rumianego aniołka i tych istot rodzaju żeńskiego, na które nigdy oczu nawet nie podnosił i które na niego przesuwał się przez dziedziniec spoglądać nie śmiały... Nagłe zjawienie się tej wdowy przypadło snadź w jakiejś klimakterycznej chwili, nieszczęśliwy Salomon po kwadransie rozmowy czuł się wzruszonym nad miarę. Postanowił więc obiecać coby ją zażądała, a potem się tak jakoś wywijać od bliższych stosunków, aby w starym piecu djabeł temi piwnymi oczyma, ocienionymi rzęsy długimi, palić nie mógł.

— Moja mościa dobrodziejko, rzekł kłaniając się: o ile ja nieumiejętny i niezdolny do spraw potrafię jej służyć, nie wiem, a wiele sobie nie przypisuję... wszelako chrześcijański obowiązek spełnić muszę i od niego wcale wyłamywać się nie będę...

Na te słowa, pani Noskowa porwała się jakby znowu chciała rękę jego chwycić i ucałować... od czego jednak przestraszony Dobek wyratował się prędkim cofnięciem, chociaż dotknięcie białych paluszków na suchej swej dłoni (uniknąć go nie mógł) poczuł jak gorące żelazo i piekło go ono potem... nie dzień cały, lecz bodaj lata długie...

Niespokojnemi oczyma piękna wdowa każdy ruch Dobka śledziła i decyfrowała, a snadź wprawna była w tem czytaniu, bo się nie myliła w tonie odpowiedzi i korzystała z usposobień z trafnością nad młode swe lata.

Im Dobek śpieszniej chciał obietnicą ogólnikową zamknąć rozmowę, aby się pozbyć wielce niebezpiecznej niewiasty, tem ona na przekór jemu widoczniej pobyt swój i posiedzenie na cztery oczy z jegomością przedłużyć się starała.

Usiadła znowu, siadł gospodarz ze spuszczonei oczyma... nie patrzył już na nią, ale przez uszy wpadał mu aż do serca słodki, drżący głosik kobiety, która nim wyśpiewywać umiała, snadź jak wirtouz, cokolwiek jej było potrzeba. Grała na tym bożym organku z niesłychaną wprawą...

— A! gdybyś pan znał, mówiła, smutne losy moje, ulitowałbyś się pewnie nad nie-szczęśliwą wdową... Któż to mógł przewidzieć, gdy mnie nieboszczyk pan Szczepan brał u matki w Warszawie, gdzie się tylu o mnie dystygowanych ludzi starało... że tak rychło po zamążpójściu wpadnę w taką otchłań interesów, kłopotów i nieszczęść! Matkę straciłam, nie mam nikogo! nikogo!

Chusteczką zakryła znów oczy i choć wcale nie płakała, jęknęła ślicznie, niby gwałtownie lży wstrzymując, czem pan Salomon uczuł się do głębi przejętym.

— Moja mościa dobrodziejko, przerwał cicho, oczy dla ostrożności ciągle trzymając spuszczone: niech się pani ukoi, Pan Bóg łaskaw...

— A! chyba mi on w panu zeszeł anioła opiekuna! dodała wdowa...

Oczy trochę potarte i zarumienione zwróciła na starego, usiłując wzrok jego spotkać; trzymał się wszakże na ostrożności... co ją nieco zniecierpliwiło.

— Już wielką z siebie dla nieboszczyka Szczepana uczyniłam ofiarę, mówiła dalej: opuszczając miasto, do którego od dzieciństwa nawykłam, a przenosząc się z nim na tę pustynię... lecz to niczem jeszcze w obec mojego dzisiejszego położenia... Wśród ludzi nieprzyjaznych... niechętnych... ja sama, nieudolna, kobieta słaba... Od śmierci mojego męża, ani wiem co się nawet u mnie dzieje... Gospodarstwo... fabryki: wszystko na łasce bożej...

— Przecież oficjalistów pani masz? rzekł Dobek nieśmiało podnosząc oczy, które napotkawszy wzrok pani Noskowej, natychmiast wlepił w ziemię.

— Czyż pan dobrodziej nie wiesz czem są oficjaliści, gdy nad nimi pańskiego oka niema? zawołała tęskno kobieta...

— Więc i gospodarstwo?... począł Salomon... ale siły nie miał dokończyć.

— Gdybyś pan dobrodziej znalazł jaki wolny dzionek, a jako mój opiekun, przybył chociaż spojrzeć na tę wdowę mizerję, jakżebyś mi wdzięczną była! A! panie...

— Moja mościa dobrodziejko... będę się starał... jeśli pani każesz...

Słowa te wymruczał Dobek niewyraźnie, przyszło mu bowiem na myśl, że jechać tam do wdowy, być zmuszonym przez dłuższy czas z nią pozostać, było rzeczą nader ryzykowną... lecz stało się — stało, cofnąć mógł chyba później... a zresztą?

Myśli swej już nie dokończył... Sam sobie zaczął tchórzowstwo wyrzucać i śmiać się z niego. Cóż znowu? stary człek, dochodzący pięćdziesięciu lat, miałby się lękać niebywałego o tym wieku niebezpieczeństwa? Podniósł oczy śmieje... A grzechem przecie — pomyślał, nie jest — w piękne spojrzeć źrenice...

Pani Noskowa patrzyła nań właśnie tą parą przymrużonych oczu słodkich i pociągających... Snadź uczuła potrzebę z kondolencyjnych tonów zejść na nieco spokojniejszą rozmowę.

— Więc — rzekła wyciągając dłoń jakby go kusiła, żeby ją wziął i pocałował, na co się wszakże Dobek ważyć nie chciał: więc rachuję na mojego drogiego opiekuna, a Bogu dziękuję, że mnie do tej podróży natchnął... A! bo to nie uwierzysz pan, jak mi odradzano, napróżno jak się zdawało do serca pańskiego kołatać! A jam sobie przeczuciem jakimś mówiła, że pan Dobek nie odepchnie sieroty nieszczęśliwej! I nie omyliłam się... Wiem ja, mówiła ciągle szczebiocząc, że panu, coś tu tak spokojnie wiele przeżył, przyjdzie to zapewne nie bez ofiary poświęcić swój spokój... dla obcej zupełnie... osoby... lecz chciej wierzyć, że dozgonną dlań, gorącą zachowam wdzięczność. A! panie...

Dobkowi tym głosem grała tak po sercu, że się aż czuł zmieszany, nigdy w swem życiu na taką nie był wystawiony pokusę... Choć niepobożny, mimowoli z *Ojciec nasz*, przypomniał sobie prośbę: *I nie wódź nas na pokuszenie...* Oprócz tego przychodziło mu na myśl, iż musiało być we zwyczaju gościa, a zwłaszcza pupilkę, czemś przyjąć i ugościć? Zrobiła mil okrutnych dwie ze Smolochowa do Borowiec, miała przed sobą powrót ku wieczorowi po tych samych groblach i wybojach, godziło się coś na stół postawić.. Myśl ta upiekła go, wstał z krzesła.

— Niechże pani dobrodziejka spocznie, rzekł: ja w tej chwili powracam... Skłonił się i wyszedł drepzcząc pośpiesznie w lewo ku mieszkaniu cioci Henau...

Wdowa za wychodzącym popatrzała wzrokiem badającym i rozjaśnionym; potrzebowała nawet chód jego poznać, bo i ten ją czegoś o charakterze mógł nauczyć. Czyniła to instynktem, a instynkt miała szczęśliwy...

Dodajmy dla objaśnienia, iż ta nieszczęśliwa wdowa, nim się ośmieliła przybyć do Borowiec, dowiedziała się jak najdokładniej wprzód od księdza Żagła, który ze mszą do smołochowskiej kaplicy przyjeżdżał: o położeniu, charakterze, niezmiernych bogactwach, sposobie życia, o wszystkim o czemkolwiek tylko można się było poinformować od niego, o panu Salomonie Dobku... Widzenie i rozmowa dopełniały dla niej skreślonego wizerunku. Nie miała zapewne innych zamiarów nad zyskanie sobie pomocy i opieki; dopiero tu przypatrzywszy się staremu i czytając jego pomieszenie, odkryła, iż mogłaby o coś się więcej pokusić. Myśl ta zarysowała się z razu mgliście i niewyraźnie, lecz wkrótce wystąpiła jaśniej, i Sabina powiedziała, uśmiechając się do siebie: Któż wie? trzeba próbować...

Miała czas do rozmyśłów zostawszy sama, pan Dobek bowiem poszedł na radę do cici Henau: coby tu podać sąsiadce? Pora była poobiednia, więc owoce i kawę.

Laura przytomna była tej naradzie.

— Niechże i Lorka wyjdzie! rzekł Salomon.

— O! nie, tatku! nie! ja nie pójdę! odpowiedziało dziewczę potrząsając głową: niech sobie ciocia Fryderyka gospodaruje, ja nie pójdę...

— A to dla czego? dziczku ty jakiś! zaśmiał się ojciec.

— Takem się tej pani nastraszyła! Tatko nic nie wie. Bawiłyśmy się z małą Julką... wpadam do salki... którą od urodzenia nawykłam widzieć pustą... i widzę... czarne widmo stojące przed sobą. Myślałam, że upiór! o mało nie zemdlałam.

Dobek ręce aż załamał.

— Czy ci to nie zaszkodzi, moje dziecko?

— Nie, już mi odeszło, chociaż długo, długo potem biło mi serce... mówiła Laura... Jednak spojrzeć na nią nie mogłabym bez strachu... Zdaje mi się, że widzę upióra, który przyszedł po duszę moją...

Dobek pobladł...

— Co ty pleciesz! tak piękna, młoda pani!

— A! młoda! ale straszna! Co za oczy przenikające do głębi! O! nie kaźcie mi tam iść, nie mogę, nie mogę. Dostyc miałam i widzenia i rozmowy! aż nadto!

Ojciec się zafrasował, bo niegrzecznie było, żeby Laura się nie ukazała; lecz uległ dziecku i nie wymagał więcej, by zeszła do parlatorjum.

Uściskał ją, pocałował, a wrazenie, z jakiego mu się wypowiadała Lorka, zwiększyło własną jego obawę co do pani Noskowej.

Pospieszył wrócić do salki...

Tu zastał panią Sabinę przechadzającą się wzdłuż i przyglądającą ciekawie starożytnym pamiątkom.

— Jak to już dawno rodzina państwa tu musi zamieszkiwać! Co tu ślicznych dawnych rzeczy! Wszak to być muszą portrety dziadów i naddziadów...

Mówiła to miłszym jeszcze, dźwięcznym głosem, który wkuł Dobka w miejscu. Bał się szelestem swych kroków zagłuszyć śpiewu tak ślicznego.

— Tak jest, pani, odparł cicho: wieki już jak żyjemy tutaj... i nie zamienilibyśmy tych naszych ruin na najwspanialsze pałace... Żyjemy otoczeni wspomnieniami pokoleń ubiegłych, jakby w pośród nich i z niemi... Mamy tutaj to, o co się gdzieindziej ludzie ubiegają napróżno: jesteśmy panami czynności naszych i całego życia. Nikt nam nie broni urządzić go sobie, tak jak nam najmilej i najdogodniej... obce a zazdrosne oko nie śledzi każdego kroku...

Piękna wdowa słuchała z zajęciem pana Salomona, który wreszcie powstrzymany w tem wynurzeniu się myślą jakąś... nagle zamilkł, jakby się za język ukąsił.

— Jest to zapewne bardzo nieszczęśliwe położenie, odparła Noskowa oglądając się ciągle; ale jednak — wyznam, nawyknąć do niego potrzeba. Ja moją młodość spędziłam w mieście, i przybywszy z mężem pierwszy raz do Smołochowa, choć u nas daleko więcej się ludzi widzi i czasem ktoś z sąsiedztwa przyjeżdża, płakałam, tak mi się pusto i smutnie wydało na Polesiu. Teraz już znacznie do tego życia nawykłam...

— I myślisz tu pani tak sama jedna pozostać przy tem gospodarstwie? spytał Dobek.

— A cóż mam począć! westchnęła Sabina; ja sama jeszcze dobrze nie wiem jak się złożyć! Uczynię pana sędzią, a jego łaskawej rady usłucham z wdzięcznością. Matki nie mam, rodzina moja po świecie się rozpiezchła, dokądżebym się udała?

To co mówiła piękna wdowa, było jakby tylko mało znaczącem i podrzędnem towarzyszeniem mowie niemej jej oczu, które wciąż na nieszczęśliwym Dobku się znęcały. Stary nie mogąc znieść jej wejrzenia, spuszczał źrenice i zakłopotany był jak panienka. Tłómaczył sobie to natręctwo wdowy tylko chęcią zyskania go sobie jako opiekuna, bo zresztą, na cóżby się miał zdać ten niedobitek człowieka?

Rozmawiali tak, gdy stary Eliaz, najpierwszy ze sług Dobka, ubrany odświętnie w długą popielatą kapotę z ogromnemi guzami, wniósł na ciężkiej tacy srebrnej kawę w imbryku ogromnym, filiżanki i cały przybór do podwieczorku, po którym poznać było można zamożny dom stary, niegdy na pańską urządzony stopę.

Za nim weszła, jak zawsze czarno całkiem ubrana, wyprostowana i sztywna ciocia Henau, którą gospodarz domu zaprezentował pani Noskowej. Spodziewała się ona snadź przyścia Laury, lecz nie widząc jej, nie śmiała się o to upomnieć. Panna Fryderyka i ona zmierzyły się oczyma i powitały chłodno jak nieprzyjaciele przed bitwą. Nie wiedzieć dla czego, ciocia Henau szła już naprzeciw tej natrętnej sąsiadki z tem uczuciem niechęci niewytłómaczonej, które czasem samo nieznanie obudza nazwisko... Świeża i krasna piękność pani Noskowej, nie mogła miłego na żółtej i wyschłej cioci uczynić wrażenia, a wzajemnie panna Fryderyka nie podobała się wdowie... Jednakże z uśmiechem obie zwróciły się ku sobie, którego ani jedna ani druga za dobrą monetę nie brały. Noskowa nie wiedząc spełnia jaką rolę i wpływ w domu mogła mieć Fryderyka, musiała być grzeczna i nadskakująca... tamta pozostała zimną.

Dobek tymczasem mógł nieco odetchnąć, zebrać myśli i obrachować się z tem co uczynił. W ogóle postępowanie własne nie podobało mu się: czuł, że popełnił nierozwagę, że winien był się wytłómaczyć, bronić i od opieki wymówić... Któż wie jak daleko przyjęcie na siebie tych obowiązków zaprowadzić go mogło? Niewiasta była śmiała, narzucająca się... a gdy taką się okazywała przy pierwszym spotkaniu, cóż mogło być potem? Przerazały go owe spojrzenia, urok głosu... piękność, sieroctwo... wszystko... Ogarnęła go trwoga dziwna... Lecz jakże się było cofnąć? Rozmyślał tak stojąc w oknie, a panna Fryderyka rozmawiała o czemś obojętnem z Noskową, gdy usłyszał jakby ku sobie wymierzony głos.

— Łaskawy mój opiekunie, odezwała się wdowa zwracając w istocie ku niemu, bo ja już tak pana mego nazywam od chwili, gdyś mi protekcję swą przyrzec raczył: kiedyż będę miała szczęście widzieć go u mnie w Smołochowie.

Dobek oniemiał na chwilę...

— Moja mościa dobrodziejko, rzekł po namyśle: sądzę, że dopiero gdy Sapieżyńscy zjadą, lub ktoś z rodziny pani... a potrzeba się okaże... mojej rady... i pani mnie zechcesz wezwać...

— A! tak, tak z uśmiechem przerwała wdowa; lecz nim to nastąpi! gdybyś pan raczył przejrzeć papiery, rozpatrzeć się w stanie majątku wejść cokolwiek w szczegóły... nieskończeniemy mu była wdzięczna...

Obawiając się jeszcze natarczywszego zaproszenia, pan Salomon się skłonił tylko, czując potrzebę namyślenia i uspokojenia, przygotowania na tę straszną wyprawę.. Wdowa też tą obietnicą ogólnikową zdawała się zaspokojoną i dokończywszy kawy... wstała, by odejść do miasteczka, gdzie konie pozostawiła. Nie mógł się pan Salomon uwolnić od przeprowadzenia jej na dół po schodach... co dopełnił dosyć niezręcznie... Wdowa stanąwszy w bramie, gdzie na nią służący oczekiwał, odwróciła się jeszcze ku Dobkowi, uśmiechnęła się nader wdzięcznie, dygnęła i głosem drżącym poleciła się jego pamięci.

— Wszak to chrześcijański uczynek, rzekła, dopomóżdź wdowie i sierocie, a ja i wdową jestem i sierotą razem... Mam nadzieję, że na łaskawą bytność pańską w Smołochowie długo oczekiwać nie będę...

To mówiąc, schylała się jakby go w ramię pocałować chciała, i nie wiedzieć jak się to stało, że Dobek zapomniawszy się, pochwycił białą jej piękną rączkę i do ust przycisnął. Sam potem podnosząc głowę zarumieniony, zawstydził się tego uczynku, który rumieniec

radości na twarz pięknej wdowy wywołał... i gdy ona już szła drogą do miasteczka, zwolna upokorzony wrócił wprost do swej kancelarii na dole.

Wdowa tymczasem zamiast iść do zajazdu, gdzie jej stały konie, udała się za wskazaniem służącego drożyną ku plebanji księdza Żagła... Miało się już ku wieczorowi, dzień był letni... bardzo piękny... w ganku probostwa pod cieniem lip i kasztanów, siedział właśnie z brewiarzem w ręku kanonik. Był to siwiejący już słusznego wzrostu mężczyzna, twarzy raczej posępnej i surowego wyrazu niż miłej i sympatycznej, znać w nim było człowieka nawykłego do panowania nad ludźmi i przejętego wielkim posłannictwem swoim... Zaczytany w księdze, zadumany nad nią, jeszcze się nie domyślał nawet nadchodzącego gościa, gdy pani Noskowa w ganku stanęła... Zdziwiony nieco podniósł głowę i powoli opuszczając brewiarz, zawołał:

— Pani dobrodziejka? tu? a cóż za cud? W Borowcach obcy człowiek? Cóż się stało?

— Pozwól mi się i odetchnąć księżę kanoniku, poczęła Noskowa, której głos, postawa, ruchy zupełnie się teraz zmieniły... We dworze widocznie była wymuszona i baczna na wrażenie jakie uczyni, teraz w obec starego znajomego twarz jej śmielszą się stała, wejście poufalsze... mowa mniej wyszukana. Czuć było, że jej tu lżej i swobodniej, oglądała się do koła, uśmiechała, poprawiała ubranie, ocierała oczy...

— A! rzekła — na koniec, odbyłam straszną pańszczyznę...

— Droga okropna być musi! zawołał kanonik.

— Droga! fraszka! ale bytność na zamku...

— Na zamku! na zamku! wykrzyknął kanonik kładąc brewiarz na ławce i z rękami załamanymi postępując ku wdowie: jakto? pani byłaś na zamku? u Dobków?

— A no, byłam, byłam i miałam przecie szczęście, rzekła uśmiechając się wdowa, rozmawiać z panem Salomonem... nastraszyłam jego córkę, znudziłam, jak się zdaje, jego kuzynkę... i zmęczyłam starego... ale koniec końców, przyrzekł mi być opiekunem i obrońcą.

To mówiąc, wdowa uśmiechnęła się tryumfalnie, zamyślona, a toby był umiał czytać w jej twarzy, wyczytałby może w niej nadzieję, że te zdobycze na tem się jeszcze nie skończą...

— Jejmość dobrodziejka widzę, rzekł kanonik wpatrując się w nią, lekce to sobie ważyć się zdajesz coś dokazała. Ale to rzecz wielka! to prawie cud kto zna tych Dobków, przeszłych i terażniejszego. Są to ludzie, jest to rodzina unikająca wszelkich styczności ze światem, niedająca ani się dotknąć do siebie obcym, ani wejrzeć w swe życie... Nasz pan Salomon nie wiem czy od śmierci żony rozmawiał z obcą niewiastą! Nigdy żaden z nich nikomu ręki i rady nie podał! I on, on pani przyrzekł opiekę!

— Ale tak jest, najuroczyściej! śmiejąc się rzekła wdowa... No! dziki jest, to prawda... ale ja go powoli przyswoję... Musi przyjechać do mnie, do Smołochowa...

Kanonik popatrzał uważnie na twarz wdowy, jakby w niej myśli jej czytał, i głową poważnie trząść zaczął, brwi ściągając...

— Cóżby to było! coby to było! gdybyś ich waćpani mogła z tego zgubnego osamotnienia wyprowadzić! zawołał. Niewyrachowane a bardzo szczęśliwe owoce przyniosłaby ta bytność jej na zamku... Winszowałbym pani tej zdobyczy... i wpływu, jakibyś na ojca, na córkę, na cały ten dom wyrzucić mogła.

Ja tu z dawna żyję, jak pani dobrze wiadomo, patrzę na nich, niejednokrotnie zbliżyć się starałem... nie mogą mi nic zarzucić, a mam za sobą powagę sukni duchownej i stanu kapłańskiego... przecież zimną mnie zawsze oblewali wodą i zasieki stroili przedemną, abym się nadto nie zbliżał...

Dobek, człek zdziwiony, o groszu tylko myślący! Laura puste i popsute dziewczę, której woli nikt i nic pohamować nie może, a co się tycze panny Henau, tej nikt nie zrozumie... Nie wiem czym trzy słowa z ust jej słyszał, od czasu jak tu jest.

Ruszył ramionami kanonik, i mówił dalej:

— Bardzobym jejmości dobrodziejce winszował, gdybyś do tego domu wnijsć mogła, a użyła wpływu swojego na dobre... co jest jej obowiązkiem.

Wdowa milczała, i oczy wlepiwszy w kanonika, słuchała go z wielką uwagą.

— Katolicy są, mówił ciągle proboszcz, a mimo to... ani do kościoła, ani dla sług jego nic nigdy na zawinięcie palca dać nie chcą, nic ich nie obchodzi, czy dach na kościele pada,

czy bydło na grobach cmentarnych się pasie... prawda, że oni swoje groby zabezpieczone pod kluczem trzymają. Stary Salomon obrzydły skąpiec i jak żyd chciwy na pieniądze.

— Czy myślisz księżu kanoniku, że w istocie tak bogaty jak ludzie głoszą? spytała cicho Noskowa.

Kanonik się uśmiechnął.

— Moja mościa dobrodziejko, rzekł, to co ludzie głoszą, jest zaledwie częścią tego co on ma... Mogę obrachować co od czasu mojego tu pobytu wzięli za same towary leśne przez ręce Arona... Ogromne summy wpłynęły, grosz nie wyszedł nigdzie... Ten człowiek musi mieć skrzynie złota! A z tego, co mu po dziadach i ojcu zostało... bo wszyscy byli oszczędni — wszak także nie wydano złamanego szeląga.

Pani Noskowa z zajęciem wciąż słuchała opowiadania, oczy się jej paliły widocznie... marzenie jakieś chodziło po czole, które się ściągało i wyglądało... po ustach uśmiech błędził dziwny, zagadkowy.

— I wszystko to, dokończył ksiądz Żagiel, wszystko to spadnie na tę dziewczynę, którą tak wychowali, że tego nikt w świecie na żadnym nie utrzyma wędzidle...

— Czy tak swawolna? spytała wdowa.

— Swawola dziecinna byłaby niczem, odparł ksiądz, tę samą wiek wystudza; lecz umysł niespokojny, nie kobieca śmiałość w niej, ciekawość do wszelkiego zakazanego owocu, do ksiąg, do wiadomości kobiecie niepotrzebnych; chwili nie usiedzi, choć ją ta panna ciocia o ile może na uwięzi trzyma... Jeśli nie przewraca ksiąg w starej biblioteczce, gdzie więcej herezji niż czego zdrowego, to koło stajni ją znajdziesz... to w ogrodzie, to na drabinie w starym zamku, to w czóźnie na rzece... A dla ojca ze wszystkiego uciecha... z tego nawet coby dlań troską i smutkiem być powinno.

Ciocie Henau, gdy ją od czego chce powstrzymać, jeśli jawnym nieposłuszeństwem nie może zmódl, to ją zdradliwymi pieśczętami i pochlebstwami na swą stronę przeciągnie. Toż z ojcem, toż z innymi.

— Ale zkądże ją ksiądz kanonik tak zna, spytała wdowa.

Ksiądz Żagiel westchnął i wskazał zamek...

— Wszak-ci to moja troska powszednia, to zdziczałe dziecko! rzekł cicho. Ja się patrzę cały dzień na te wybryki, słucham o nich i boleję nad duszą zgubioną... której uratować nie mogę... Powiem asindzce tylko jedno, dodał w końcu, a poznasz ją lepiej.

W kościele, gdy przyjdą, nie mogę powiedzieć, żeby mi się nieprzystojnie znajdowała, pada na kolana, zdaje się przejęta, lecz... ust nie otworzy do modlitwy. Raz tedy, gdyśmy litanje odmawiali publicznie, dostrzegłszy, że nie odpowiada... będąc na zamku po nabożeństwie, jak to zwykła w dni krzyżowe, spytałem jej łagodnie o przyczynę.

Spojrzała na mnie zdziwiona, a pamiętaj pani, że to szesnastoletnie dziecko i wiesz pani, jaką otrzymałem odpowiedź? „Ja się nie mogę modlić na rozkaz, ale gdy czuję, że dusza moja podnosi się ku Stwórcy... nie modlę się usty, — modlę duszą!”

Nie było co mówić więcej... to już pachnie herezją ta samowola w modlitwie... a jeszcze w takim dziecku!

Pani Noskowa ruszyła ramionami.

— Przynoszą z sobą książki do kościoła, mówił kanonik... trudno tam zaglądać jakie... Raz przecież roztargniona panienska zapomniała swojej... zajrzałem odsyłając... Cóż pani myślisz było w książce? Psalmi... nic, tylko psalmy... i strasznie mi podejrane czy nie jaki Luter je tłómaczył... To rzecz wiadoma, rzekł ciszej ksiądz Żagiel, iż kalwinami, potem arjanami byli, i nawrócili się jeno z musu... aby dóbr nie stracić i nie uchodzić z kraju... a no! podejrzewam ja to nawrócenie, podejrzewam je mocno...

Kanonik począł głową trząść.

— Trudno, rzekł, być inkwizytorem sumienia, niech tam Bóg sądzi...

Otóż w tem, osoba pobożna, katoliczka, gorliwa jak pani, dokończył ksiądz Żagiel, mogłaby mieć zasługę, gdyby zbliżając się do nich, innymi sentymentami natchnęła...

Pani Noskowa skromnie oczy spuściła.

— Ja jestem prosta kobieta, mój ojciec... a zresztą, wpływu na nich trudno mi się spodziewać... Bóg wie, jak mi to się uda.

— Przecież najtrudniejsze już się udało, odparł ksiądz Żagiel, bo się tem nikt nie pochłubi, żeby do nich docisnąć, a pani nawet przyrzekł, że się zajmie interesami! Widoczny cud!

Westchnął proboszcz i dodał:

— Różnemi Bóg posługuje się narzędziami, różnych dróg i środków używa, gdy ma dzieła dokonać... w Jego rękach co słabe staje się potęgą, a co silne kruszy się i rozpada... W każdym razie, winszuję...

Jakże się księdzu kanonikowi zdaje: dotrzyma mi on obietnicy? spytała wdowa, bawiąc się z chusteczką; ma przybyć do Smołochowa?

— Słowa on dotrzymuje zawsze, odparł proboszcz, ale rzadko je komu da.

— A nie możnażby wiedzieć naprzód, kiedy przyjedzie? dodała Noskowa.

— Przynajmniej nie przezemnie, śmiejąc się dodał ksiądz Żagiel, bo ja wcale nie wiem co się we dworze dzieje i chyba wypadkiem ktoś mi co ztamąd nierychło przyniesie. Najprędzejby Aron mógł dać znać dla niego Dobek nie ma pono tajemnic.

— Aron? Aron? powtórzyła ciekawie Noskowa wiążąc węzełek na chustce — Aron...

— Przez Arona tam robi się wszystko...

— A ten Aron jest zapewne ubogim faktorem? spytała wdowa.

Ksiądz się rozśmiał.

— Aron Levi? ha! ha! Aron Levi ma pewnie więcej od nas obojga... a mało mniej od swojego pryncypała... handlują razem na spółkę...

— Z żydem? on?

— Ja sędzę, że on by z tatarzem handlował, gdyby zarobku był pewien...

— Aron ma pewnie dom w miasteczku? wtrąciła pani Noskowa.

— Ma murowaną kamieniczkę w rynku, a inne domy większe w kilku miastach...

Po kilku jeszcze pytaniach i odpowiedziach, zamyślona jejmość zerwała się żywo z siedzenia jakby przebudzona, uśmiechnęła się weselej, i pocałowałwszy kanonika w rękę, wyszła do koni swoich w miasteczku...

Wkrótce potem powóz jej toczył się ku lasom w stronę Smołochowa...

III

Nie ma smutniejszego widoku nad walkę z sobą człowieka, który czuje, że z niej nie wyjdzie zwycięzcą. Są wypadki, w których ucieczka jedynym w istocie ratunkiem: ani się wstydzić może ten, co z placu uchodzi przed przewyższającą siłą, jeśli żyć jeszcze chce a ofiarą paść nie potrzebuje. W takim położeniu był pan Salomon Dobek, rozmyślając o pięknej wdowie, której niespodzianie został opiekunem. Jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że ta kobieta opanuje go gdy zechce... i że chce go opanować! Widział jasno nieszczęśliwy, że bogactwa nagromadzone, o których ludzie nie mogli coś nie wiedzieć, ściągnąć nań gotowe chciwością wiedzioną kobietę, panią swej woli i nie zależną od nikogo, oprócz własnej fantazji i rachuby. Piękność tej niewiasty przerażała go i pociągała razem, czuł się w obec niej słabym... Kilkanaście lat osamotnienia czyniło go młodzieńczo wrażliwym, — pierwsze spotkanie z wdową dowodziło, że chciała go ku sobie przyciągnąć...

Przywiązany do dziecka... trwożąc się o los jego... zarazem już w duszy tłómaczył się sam przed sobą, iż Laurze krzywdy nie uczyni, ani da wyrządzić, że ona zawsze zostanie dlań najmiłszą, najdroższą, jedyną... Lecz same te przypuszczenia już dowodziły poczucia słabości i trwogi...

Wszakże widział ją ledwie raz w życiu, a wszystko co mu na myśl przychodziło, mogło być urojeniem. Po cóż miał się dać spętać i zaprzedać wolność swoją, a może przyszłość dziecięcia?

Odpędzał te mary — wracały... W kilka dni niepokój jakiś w duszy począł go pędzić do spełnienia obietnicy. Należało jechać do Smołochowa... zbyć co najprędzej ten obowiązek, a potem.. uwolnić się... oswobodzić na wieki i wrócić do pracy.

Panna Henau słyszała przy kawie przyrzeczenie dane wdowie, nie wspomniała jednak o niem Laurze, gdyż wiedziała, że to na niej przykre zrobi wrażenie. Sposób w jaki się jej po raz pierwszy okazała pani Noskowa, był powodem, iż Lorka wstręt jakiś powzięła do niej... mogła więc i musiała być przeciwną podróży ojcowskiej, zwłaszcza, że ta była całkiem niezwykłym krokiem... i wyłomem w życiu spokojnym, którego porządku nic dotąd nie naruszyło.

Dobek bił się jeszcze z sobą, gdy jednego dnia Aron Lewi, gładząc brodę i uśmiechając się, przystąpił doń z cichym szeptem:

— Jasny panie, cóż to? Aron nic nie wie o tem, że się jegomość wybiera do Smołochowa?

Pan Salomon aż cofnął się od żyda z pewnym przestraczem.

— Ja? do Smołochowa? a tyż zkąd wiesz o tem?

— Przecie ja powinienem wszystko wiedzieć, spokojnie odparł Aron; jaśnie pan znasz mnie dawno i lepszego pewnie sługi, a mogę powiedzieć przyjaciela, nie masz nademnie. Już to źle, że jegomość się mnie dawno sam nie spytał o to... A gdybyś jaśnie pan zapytał mnie, jabym potrzęsnał głową i powiedziałbym po cichu: „Niech jasny pan nie jedzie do Smołochowa.

Dobek popatrzał nań trwożliwie.

— Zmiłuj się, kochany Aronie! zawołał pośpiesznie głosem stłumionym, oglądając się w koło. Zkądże wiesz i dla czego mi to mówisz?

Stary wciąż siwą brodę w dół ciągnął i gładził... Podniósł brwi czarne (bo mu z ciemnych włosów tylko one zostały jak były), i cedzonym głosem począł też cicho:

— Ja to wiem tylko, że ona tam, ta jejmość wielką wagę na to kładzie, żeby pan do niej przyjechał. A jeśli ona tego chce, ja się boję i pan się lękać powinien. Ona wie, że ja u jegomości mam łaskę, to zabiegała już aż do mnie, do żyda, żebym ja pana do tego namawiał. To źle, to bardzo źle, dodał Aron...

— Ależ mój Aronie, przerwał Dobek: tego nie wiesz, że ona wdowa, sierota, i potrzebuje rady i opieki.

Aron się uśmiechnął, ramionami rzucając.

— Aj! aj! szepnął, to bardzo mądra kobieta, ona potrafi sobie dostać czegokolwiek jej potrzeba.. Ja krótko powiem jegomości: albo ona na pańskie pieniądze się łakomi... albo jegomości chce złapać razem, żeby się do nich dobrać...

Pan Salomon zbladł.

— Mnie złapać! zawołał; ale patrzajże na mnie, mam blisko pięćdziesięciu lat... a ona...

— To najgorzej, że jegomość masz pięćdziesiąt lat... rzekł Aron... Pan jesteś stary a żyłeś jak pustelnik, nad panem ona będzie miała panowanie łatwe, jak tylko zechce... a że ona zechce...

Nie kończąc machnął ręką.

— A co się stanie z panną Lorką? z tem kochanem dzieckiem, z tym ślicznym kwiatkiem? a co się stanie z temi skarbami, które jegomość w pocie czoła zbierał? Czy to ma pójść w obce ręce?

— Aronie! co gadasz! co gadasz! wybuchnął Salomon: gdzież do tego podobieństwo! za kogoż mnie masz?

Żyd powoli poważnie odparł:

— Za człowieka... Mój jegomość — dodał, ja i sam trochę, i przez swoich znam tę panią ze Smołochowa... ja tam bywałem za życia jej męża, wiem zkąd on ją wziął, a patrzałem się na nią często... To jest niebezpieczna kobieta...

Dobek nie odpowiadał, zmieszany stał jak na sądzie przed starym Aronem, który mówił cicho i z wolna:

— Jej matka służyła na królewskim dworze... a ojciec? ojciec się gdzieś podział, że o nim dawno nie było słyhu. Jejmość miała sklep z czepkami przy Senatorskiej ulicy... Pan Nosko był impetyczny człek, zobaczył, że piękna... a nie można było tylko się ożenić, wziął i ożenił się. Dziewczyna z miasta... a gdy za męża szła... rozumniejsza była od tego co ją brał... Od tego czasu... jeszcze jej rozumu przybyło.... Ona za nieboszczyka wszystkim tam rządziła.... robiła co chciała...

Sierota i wdowa! aj! aj! rzekł Aron: na co jej mąż? na co opiekun? ona więcej rozumie niż jegomość i ja... Ja u niej tylko raz drzewo kupowałem i oszukałem się.

Wrażenie, jakie opowiadanie Arona czyniło na Dobku, było widoczne: stary był wylękły, to co słyżał potwierdzało jego przecucia. A jakże się było od bytności w Smołochowie uwolnić?

Po chwilce namysłu... Dobek rzekł chłodno do Arona, który bacznie się w niego wpatrywał:

— Dziękuję ci bardzo za twoją troskliwość i dobre serce, mój Aronie; lecz masz mnie widzieć za człowieka tak słabego, tak łatwego do wzięcia... jak niedorosłe dziecko? Cóż ci się śni, żeby ona myślała na mnie czynić zasadzki, a ja wiedząc o nich, miał w nie wpaść?

Dałem jej słowo, to prawda, że do Smołochowa przyjadę, no to cóż? Pojadę, posiedzę, powrócę i tyle tego.

— Pan się nie boisz? spytał Aron.

— Ja? nie!

— To źle! szepnął Lewi, to bardzo źle... Ale cóż mnie do tego? rzekł po chwili: ja swoje zrobiłem... Niech pan na pannę Lorkę pamięta... więcej nie powiem.

Dobek zaczął frasobliwie przechadzać się po pokoju i wkrótce rozmowę odwrócił na wańczosy i bale, które płynęły do Gdańska. Aron już nie wznowił przedmiotu drażliwego, lecz z pewnym niepokojem śledził wyraz twarzy Dobka.

Pan Salomon pożegnał go jak gdyby zawstydzony.

Postanowił co najprędzej zbyć się ciężaru wiszącego mu nad głową: tegoż dnia wieczorem poszedł do córki.

Mieszkanie jedynaczki było złotą klatką ukochanego ptaszęcia... Składały je dwa pokoje, obok których miała swoją sypialnię ciocia Henau... Okna ich zwrócone na ogródek, zamek, rzekę i widok ku dalekim lasom, błyszcząły nowymi szyby sprowadzonymi z zagranicy. Sprzęt wszystek powoli przyplął z tego Gdańska, gdzie przepych kupców ściągnął z całego świata co najwytworniejszego się gdzie znalazło... Rzeźbione szafy, weselszej tylko barwy niż stojące w parlatorium, półki robotą tokarską, ozdobne bronzami złoceniem, misterne krośna, kołowrotki z różnego drzewa wysadzone kością słoniową i perłową macicą, bursztynem wykładane sepeciki, szkатуły z mozaik florenckich... porcelany chińskie i japońskie, ogromne wazony z Delftu... czegoż tam nie było! Jedna klatka złocista dla kanarków, cudo misterstwa i gustu, kosztowało może sztukę zboża... Znać było miłość ojcowską, która nagromadziła dziecku zabawek, by mu ozłocić życie samotne.

Wśród tych świecideł i błyskotek... tu i owdzie leżały książki porzucane, pozakładane, rozpoczęte i niedoczytane... książki różnych formatów i wieków, począwszy od foliantu aż do elzewira w pergaminowej sukience... Fantazja Laury nie dopuściła tu wielkiego zaprowadzić porządku, ręka jej stawiała i odstawiała snadź co się jej sprzykrzyło, czego zażądała bliżej... Pęczek kwiatów leżał na książce, książka na rozpoczętym dywanie, dywan na zmiętym płaszczyku... Dziesięć różnych robótek w wielkich i małych stało krosienkach... Maleńki klawicymbalik z nutami i cytrę na nim rzuconą widać było w kątku. Mimo tego pozornego nieładu, pokój Laury stanowił obrazek śliczny samą rozmaitością przyborów i sprzętów, którymi był zarzucony... Dziwnie miła woń ledwie pochwycona szła z tych różnych drzew, laków, szufladek i pudełeczek... pachnących jeszcze lasami, z których je ręka ludzka dobyła. Laura siedziała w ogromnym fotelu, z wielką książką na kolanach... głowę miała wspartą na poręczy i włosy w nieładzie... Biała jej sukienka potargana bieganiami, szeroka, spadała do koła na ziemię w bogatych fałdach połamana.

Zobaczywszy ojca w progu, rzuciła książkę bez ceremonii na ziemię, z wielkim trzaskiem starych jej drewnianych okładek; zeskoczyła z fotelu, podbiegła ku niemu i uczepliła mu się na szyi. Dobek pocałował ją w czoło, pogłaskał ręką drżącą i coś zamruczał niewyraźnego...

— Otóż widzisz, rzekł spoglądając na foliant leżący na ziemi: nie masz jeszcze pulpitu do tych ogromnych utrapionych tomów... które ci kolana pokaleczą... Niechże Aron postara się, żeby z Gdańska piękny przywiezli... jak należy dla Lorki...

— Ale niech będzie na kółkach! dodało dziewczę, bo ja mu nie dam stać na miejscu...

To mówiąc pobiegła do kwiatków leżących na stole, i piękny holenderski gwoździł wpięła ojcu w pętlę od szarej kapoty...

— Jak to mnie staremu przy kwiatku! rozśmiał się Dobek: tobie to z nim do twarzy, bo ty sama jesteś kwiatem... a ja grzybem...

Potrząsał głową.

— A wiesz ojcze... przerwała nagle: gdybym ci pokazała śliczny jak najpiękniejszy kwiat grzybek ponsowy, aksamitny, który przyniosłam z lasu... tobyś dopiero się przekonał, że i grzyby piękne być umieją... wykwił tak jakby z gałązki...

Dobek usiadł na krześle, obejrzawszy się czy na niem co nie leży.

— No, moja Lorko, rzekł: przyszedłem ci jedną osobliwszą zwiastować nowinę. Wszak to ja, jutro na cały dzień jadę.

— Ojciec? dokąd?

— Do Smołochowa.

— Ojciec do Smołochowa? po co?
— A! to widzisz... dla tej nieszczęśliwej wdowy, którą niegodziwi ludzie chcą porzywdzić; prosiła mnie ze łzami, przyrzekłem.

Lorka zmarszczyła brwi i skrzywiła usteczka.

— Przyrzekłeś? przyrzekłeś? odezwała się. Mnie to przykro! Taka straszna... takim się jej przelękla... Ciągłe mi upiorem stoi przed oczyma... O! gdybyś mógł nie jechać!

— Ależ dla czego?

— Dla czego?.. powoli poczęła Laura: ja sama nie umiem powiedzieć dla czego... a boję się o ciebie — i dałabym wiele, gdybyś nie jechał... Wiesz ojcze... Dobkowie nie jeździli nigdy nigdzie... tylko... żeby się żenić... Mnie serce przeszywa śmieszna myśl... A!..

Rzuciła się ojcu na szyję, potem przyklękła przed nim, złożyła ręce, zapatrzyła się w oczy. Nie pojedziesz ojczuniu... drogi tatku! nie pojedziesz? Chcesz ratować ją? A! dobrze! Daj jej pieniędzy, wszak ludzi zwykle ratuje się tylko pieniędzmi... wszak dla nich wszystkim pieniądze, i ona nie może żądać niczego innego tylko jałmużny... Daj jej królewską jałmużnę... ale — nie jedź ty do niej.

Na te wyrazy wymówione z trwogą i ogniem, stary pan Salomon oniemiał prawie. Własna jego obawa, rada Arona, prośba córki, wszystko się składało na jakies przecucie nieszczęścia; nie chciał jednak okazać po sobie że się zawahał... i że w nim ciekawość uparta walczyła zajadle przeciw tym głosom proroczym.

Uśmiechnął się z przymusem.

— Moja Lorciu! zawołał... jakżeby to było śmiesznie złąknąć się kobiety bezbronnej! Dla czego? Cóż mi się stać może?

— A dla czegoż ja się boję i drżę? zapytała Laura... dla czego jej głos wpadał mi aż do serca i krajał je boleśnie? dla czego ta piękna twarz zdała mi się obliczem kata?

— Boś ty, moje dziecko, marzycielka i dziwaczka... Wszakże czasem ci się zdaje, że kwiatek ma wyraz złośliwy, że ptacy cię łają świergocząc...

— To prawda! tatk, odparła Laura, ale ja... ja jestem przekonana, że są kwiaty, co nas nie lubią, jak my ich... że są zwierzęta, co nas kochają, i że miłość jest zawsze wzajemna... A że ja tej kobiety... nienawidzę, więc i ona musi mieć wstręt do mnie... Po cóż ci szukać ludzi, co twego dziecka kochać nie mogą?

Dobek udawał, że się śmieje.

— A! dziecko! porzuć te dziwactwa! pojedę, pokłonię się, papiery przepatrzę i powrócę...

Lorka opadła klękając na ziemię i rzekła:

— A to tak ty mnie kochasz? tak? kiedy ja proszę... kiedy ja się lękam?.. Mój ty drogi! mój ty miły... po cóż ci ruszać się z domu?.. czy ci w twym gniazdku nie lubo? na co obcych szukać ludzi? Żyliśmy sami tak długo... trwoga mnie jakaś ogarnia...

— Dziecko jesteś, rzekł Dobek poważnie: i tobież przecie z tego gniazda wylecieć przyjdzie?

Lorka potrząsała głową.

— A! nie! nie! mnie tu dobrze! nie polecę...

I dodała błagając:

— Poszlej jej pieniędzy... poszlej co zechce... mamy ich dosyć...

— Nie tak wiele jak ci się zdaje! zawołał żywo skąpiec.

Lorka pogroziła mu palcem.

— E! ja wiem! ja wszystko wiem! ale niech to będzie tajemnicą...

— Wszystko co jest to dla ciebie.

— A ja wszystkiego wyrzekłabym się, tylko żebyś ty mi został, żeby mi ciebie nie chcieli odbierać ludzie, żeby nikt obcy... nikt obcy nie wcisnął się między nas dwoje...

Smutnie zwiesiła główkę.

— Mam okropne przecucia... od tego dnia, gdy to widmo tu cicho weszło i stanęło w domu... czarne widmo...

— Moja Lorko!.. ty przerażająco jesteś temi bajkami z ksiązek obalamucona... Śni ci się co czytasz... lepiej biegaj, graj... śpiewaj...

— Ale jam nie przeczytała o niej, ona mi stanęła tam... (wskazała ręką drzwi)... jak groźba jakiejś strasznej żaloby...

Wzdrygnęło się dziewczę...

— Wiesz co Lorku, poważnie i sucho rzekł ojciec: na ten raz muszę ci się sprzeciwić, bom słowo dał; lecz bądźże spokojną! to będzie raz pierwszy i...

Miał domówić: ostatni, gdy weszła ciocia Henau, która z drugiego pokoju całą słyszała rozmowę.

— Lorka ma główkę przewróconą!.. po co to ojca straszyc i zniechęcać!. moja Loro!.. cóż ci znowu?

— A! a! was dwoje na mnie jedną! szepnęła onieśmielona dziewczyna: więc milczę... więc nie powiem nic — nic — ale ciociu Fryderyko...

Wstała, wyprostowała się, oczy jej błysły.

— Ciociu Fryderyko, pamiętaj tę chwilę... proszę... i tę moją trwożę... Serce człowieka ma czasem natchnienia z nieba... ojciec gdy o dziecko chodzi, dziecko, gdy idzie o rodzica...

Odstąpiła powoli ku oknom... Dobek spojrział na pannę Henau, ona na niego, oczyma wskazali sobie Laurę... i Fryderyka szepnęła:

— Mówcie o czym innym...

Zaczęto w istocie o ogródku... o kwiatach, lecz Laura się nie rozchmurzyła, w oczach miała łzy, chodziła ponura... prawie gniewna...

Nazajutrz unikając nowej jakiej sceny przy wyjeździe, Dobek się musiał wymknąć potajemnie ze dworu... Stary wóz węgierski czekał na niego w miasteczku. A że osobliwością było widzieć pana wyjeżdżającego po za granicę Borowiec, ludzie stawali przed domami i Aron wyszedł w ganek. Pan Salomon nie oglądając się na nikogo, wsiadł do wozu i kazał ruszać do Smołochowa... Po drogach jakie przebywać musiano, było trzy godziny dobre do dworu...

Dobra te Sapieżyńskie, w których od wieków nikt z dziedziców nie bywał, chodziły odwiecznie też dzierżawami i zastawą... Dwór zbudowany przez jednego z poprzedników pana Noski, drewniany, obszerny, dosyć okazały, stał w pośrodku wsi ogromnej na lewo i prawo się rozciągającej długimi chat sznurami. Już po za wzgórzem, na którym był wzniesiony, płynęła rzeka, a za nią rozłożone były łągi zielone... a za niemi lasy wypalone i przecięte... Wiekuiście też sama Polesia fizjonomia. Tu tylko rodzaj portu czyli bindiugi ożywiał nieco wybrzeże... Po za dworem czyjaś ręka zasadziła była kilka świerków, które wyrosły na olbrzymy i czarnymi słupy jakby żalobnym okryte kirem otaczały szarą budowę... Z między nich gontowy daszek kapliczki z krzyżykiem wyglądał. Gdy wóz pana Dobka wjechał w dziedziniec, widać było jakąś bieraninę około domu... przy folwarku... coś zabielało w ganku i znikło... a wysiadającemu drzwi otworzył chłopak do izby w lewo, zapowiadając, że pani natychmiast służyć będzie.

Nim to nastąpiło, miał czas pan Salomon rozpatrzeć się w mieszkaniu, które mu się dość osobliwie urządzeniem zdało, po jego staroświeckich komnatach. Tu wszystko było świeże, nowe, wytworne na oko a niewiele warte. Sprzęty snadź sprowadzane z Warszawy, połyskiwały blaskami brązowymi niewielkiego smaku... kanapki i sofy okrywały pstre materijki kwieciste, pełno fraszek zapyłonych stało na gierydonikach wyglądających słabo i krucho; był i klawicymbalik, były i krosienka, ale to wszystko w ogóle, jak i kwiatki na oknach, wielce zaniedbane, dosyć zbrukane i prochem okryte.

Niedobrze się też ta, jakby pożyczana, elegancja świeża godziła z samym domem po prostu skleconym, z pułapem, którego belki świeżo płótnem podbitem okryto, z niezgrabnym kominem i podłogą z tarcic sosnowych, którą próbowano powoskować i zaniedbano. Pokój był obszerny, a że się w nim tego dnia może nie spodziewano gościa, wśród eleganckiego sprzętu dość było rupieci porozrzucanych, które teraz dopiero służący na prędcę chwycił i zabierał. Z wczorajszego dnia pozostały tu ślady jakby dosyć ożywionej zabawy... szklanki i butelki, taca z resztkami ciasta... gitara na sofie...

W ogóle mieszkanie mówiło o nieładzie domu i nierozwadze gospodyni. Godzina była spóźniona, służba powinna była mieć czas do uporządkowania. Uderzyło Dobka i to, że owa smutna wdowa i sierota musiała tu przecież nie dawniej niż wczora przyjmować jakieś ożywione towarzystwo. Krzesła nawet stały w ten sposób jeszcze, że zdało się widzieć na nich kilka osób, które żywą musiały być zajęte rozmową. Co najwięcej wszakże zdziwiło pana Dobka, to szabelka nową fożą z eleganckimi rapcami i czapeczka modna z piórkiem przy rękawiczkach na stół rzucona...

Dość nierychło wbiegła najprzód młoda panienka w pośpiesznie widać narzuconym stroju bardzo wykwintnym i jaskrawym, z kilku niepotrzebnymi muszkami na twarzyczce jeszcze prawie dziecięcej a już uwiędłej, która się żwawo zaprezentowała jako kuzynka gospodyni, przepaszając gościa, iż sama pani dotąd nie była ubrana, lecz że natychmiast służyć będzie... Oznajmiła ona też o niespodzianem przybyciu krewnego pani Noskowej rotmistrza kawalerji pana Poręby... z którego powodu, ponieważ właśnie był nadjechał wczora wieczorem, taki nieporządek panował w domu. Panienka owa ciekawemi bardzo oczkami prześwidrowawszy na wylot milczącego i zmieszanego pana Dobka, zaczęła podrygując na trzewiczkach z wysokimi korkami układać nieco rozrzucone rzeczy i ścierać fartuszkami... pyły. Ale zarazem nie zapomniała o gościu, ku któremu zwracała się sznurując usteczka, wdzięcząc się osobliwszym sposobem i łyskając oczkami. Manewra te byłyby może niebezpieczne, gdyby jejmościanka sama wdzięczniejsza była... Lecz twarzyczka bardzo młodziuchna, osobliwszym sposobem, jakby w atmosferze niezdrowej pielęgowana, była żółta, blada i chorobliwej cery; oczka oprawne w powiekach zaczerwienionych, nie miały blasku, a figurka zręczna dosyć, wychudłą i zboląłą jakąś zdradzała istotę... Rzuciła ona słówkami ku gościowi, obracając się do niego, i odbierając w zamian chłodno-grzeczne tylko uśmiechy, gdy drzwi od sieni otwarły się z pośpiechem i trzaskiem, i wszedł nimi... ów wczoraj jakoby przybyły kuzyn jejmości pan rotmistrz Poręba...

Po tym też poznać było łatwo, iż niedawno ze snu przedłużonego się przebudził, bo twarz miał jakby jeszcze zaspaną i obrzękłą nieco, oczy czerwone, a świeże umywanie, mokra czupryna zdradzała i na przedce wyczesane wąsy. Rotmistrz wojskową miał postawę, wzrost prawie nadzwyczajny, tak, że wchodząc drzwiami nieco głowę uchylić musiał, barczysty był, silny, snadź zbudowany na żołnierza... Twarz wcale nie była piękna, rozlana, czerwono-popstrzona, z oczyma małemi, a zbyt szerokimi usty i galkowatym nosem, lecz podgolona głowa, wyczupurzone ostro wąsy, ubiór bardzo złocistemi sznury oszywany i z widoczną pretensją włożony, wreszcie ruchy wyuczone, oznajmowały człowieka, który się miał za pięknego, choć wcale takim nie był. Wyras też oblicza pana rotmistrza nie pociągał ku niemu; było w nim coś szorstkiego, rubasznego i dzikiego prawie, a głos, gdy się odezwał, schryply, fałszywy, niemiły, jeszcze bardziej od niego odstręczał.

Poręba zaprezentował się jako kuzyn bliski jejmości, o której nieszczęściu zasłyszawszy, pośpieszył przybyć na ratunek.

— Alem ja tu niepotrzebny, dodał, jak skoro acan dobrodziej raczyłeś się zająć losem Sabiny, będziemy o nią spokojni. Tem większą winniśmy mu za to wdzięczność, iż wiemy, jak to trudno nawykłemu do domu, wyrwać się z niego.

Onieśmielony rozgłosnem warczeniem i ruchami zamaszystemi rotmistrza, pan Dobek ledwie kilka słów mógł wycedzić. Poręba siadł przy nim bawić rozmową, tymczasem panienka posprzątawszy i filuterne wejrzenie rzuciwszy na pana rotmistrza, znikła, zostawiając ich samych. Gospodyni domu przybiecanej jak nie było tak nie było. Dawało się to jednak i tem tłómaczyć, że niespodzianego gościa obiadem przyjmować musiano, więc wszystko należało wydysponować.

Rotmistrz był gadatywus, lecz to co mówił, nie odznaczało się ani dowcipem, ani zręcznością.. Paplał co mu ślina do ust przyniosła. Udział w tej rozmowie pana Dobka był nader mały, mrucał, czasem słówkiem się odezwał, potakiwał, i widocznie mocno był zakłopotany.

Służący wbiegł z tacą drewnianą, na której parę flaszek wódki, trochę piernika było i śliwek suszonych, kawałek masła i ser z kminkiem...

Na tę przekąskę, biorąc się skwapliwie do kieliszka, zaprosił rotmistrz; lecz Dobek od wódki, której nie pijał, wymówił się. Poręba więc otworzywszy drzwi do sieni, jakby u siebie w domu był, huknął na służę, aby wina podano... Od jedzenia po trzęskiej drodze nie wymawiał się pan Salomon, lecz co wziął w usta, znalazł tak suchem, gorzkim, popsutem i niesmacznem, iż się chlebem w końcu (a i ten był czerstwy nieosobliwy) zadowolić musiał. Już to z pięknej Sabiny, gospodyni widać była nie tęga. Rotmistrz wszakże, nie przebierając, po wódce zmiatał co napadł, racząc się skwapliwie i na gościa niewiele zważając...

Pani domu jak nie było tak nie było... Zegar z kukulką chrapliwym głosem, z wielkim sykiem i brzękiem wybijał już południe, *bora canonica*, gdy drzwi się nareszcie otworzyły, pan Dobek i rotmistrz wstali. Sabina z Purstłów Noskowa weszła.

Teraz odgadnąć było można, dla czego się tak opóźniła, uznała bowiem za obowiązek do znakomitego a rzadkiego gościa wystroić się prawdziwie zbytecznie... szczególniej pomnąc, że była w żałobie.

Ubrana była wprawdzie czarno z liliowemi tylko wstążkami i kokardami, lecz suknia podpinana, robion, stanik do gorsu wycięty bardzo i oszyty suto koronkami, rączki po łokcie odkryte, z których jedną tylko długa okrywała rękawiczka, przepyszna na głowie konstrukcja fryzury — wszystko jak najtroskliwsze zajęcie tualetą i chęć podobania się oznajmowało. Na pięknym świeżem licu wdówki, niepotrzebnie może odcień różu się okazywał, i parę czarnych muszek białej płci dodawało blasku.

Wyszła z przymrużonemi, pełnemi omdlenia jakiegoś i zamyślenia oczyma, z uśmiechem wdzięcznym, rzeczywiście uroczą i na podziw jaśniejącą. W blasku dnia może twarzyczka nie tak się młodziuchną wydawała Dobkowi, lecz postawę miała królewską i kształty wytoczone, a mimo rozwiniętych bujnie form, w pasie szczupła była jak osa... Stukając koreczkami, podbiegła do pana Salomona, obie ręce mu podając...

— A! jakże ja pana dobrodzieja przepraszam nieskończenie za moje guzdraństwo! zawołała wdzięcząc się i sznurując pyszyczek różowy. Co pan dobrodzieju pomyślisz o mnie? Ale gospodyni jestem i trzeba było o wszystkim pomyśleć. A najprzód, panie rotmistrzu, koniki do stajni! Niechże nie stoją! Ja na to nie pozwolę!

Dobek począł się wymawiać, że co rychlej wracać musi; lecz pani zakłęła się, że od gospodarskiego obiadku nie puści, a przytem tyle było do pomówienia...

Rotmistrz poszedł konie odprawić, gospościa szczerze przysiadła się do nieszczęśliwego Dobka... Wprawdzie nie czyniła dziś na nim tego wrażenia, jakiego doznał po raz pierwszy, otoczenie wiele jej odejmowało; parę razy spojrzawszy jednak na nią i spotkawszy jej wzrok zbrojny w cały urok, jaki tylko nadać mu umiała... poczuł znowu jego siłę. Rotmistrz wyszedłszy do koni, przystał gdzieś na podwórzu, kuzynka się wymknęła jakby umyślnie, gospościa została sam na sam z panem Dobkiem, i chociaż stary usiłował trzymać się od niej w pewnem oddaleniu, niby przypadkowemi ruchy umiała się tak przysuwać, iż sam nie wiedział jak znajdował się po chwili w niebezpiecznej odległości... z której zapach jej sukienek i pudru, niemal wonny oddech mógł uczuć. Upajało to nienawykłego do takich pokus pana Dobka w sposób wielce miły i odurzający... Z kolei to czarnych oczu blask, to białych zębów perły, to rączek kształty toczone... to figurkę swą zręczną umiała mu pokazać, niby bez myśli i zamiaru, tak naturalnie, iż prostoduszny pan Salomon nawet o zalotność jej nie posądził. Wszystko to przychodziło samo z siebie... przy ożywionem opowiadaniu... Dobek słuchał, a być może, iż harmonia głosu więcej go zajmowała, niż sam przedmiot opowiadania.

Wdowa opisywała mu nieszczęśliwe położenie swoje. Uznała też za właściwe wytłomaczyć mu przybycie rotmistrza, który był krewnym i jedynym przyjacielem jej matki. Dodała, że ten pan Poręba zacny był, nieoszacowany i bardzo do rodziny całej przywiązany człowiek...

Wysłuchawszy dosyć długiego szczebiotania, z którego o właściwym interesie nic się dowiedzieć nie mógł, pan Salomon cichym głosem począł się nareszcie domagać papierów i przedstawienia stanu interesów...

Wdowa spojrzała nań słodko bardzo, pochwyciła za rękę...

— Mój mości dobrodzieju, zawołała z przejęciem wielkiem: ileż ja winnam mu wdzięczności za tę nieskończoną dobroć jego! A! do śmierci ona nie wygaśnie! Lecz dziś nie byłam przygotowana... nie pozierałam jeszcze papierów... A! jak mnie to zawstydza!.. Wnijdź pan dobrodzieju w położenie biednej wdowy... nieład od śmierci nieboszczyka we wszystkim, zaledwie przychodzi do siebie...

Będę musiała błagać pana, abys raczył mnie jeszcze odwiedzić. Znam jego zajęcia... wiem co to za ofiara, lecz pan masz tak anielskie serce...

Dobek zmieszany, ciągle się już tylko kłaniał, podawaną nieustannie rękę całował, a ile razy niósł ją do ust, czuł ściskanie swej dłoni, które mu aż do serca dochodziło... W kwadrans go znowu oczarowała, a że śmielsza była daleko... uczyniła postępy nadzwyczajne. Staremu wino francuzkie, którem go poczęstowano, nietyłe szło do głowy,

ile urok tej niewiasty... Spojrzenie i uśmiech, których z razu unikał, teraz go tak ciągnęły i tak mu się stały miłe, iż oczu od czarodziejki oderwać nie mógł. Jak na złość rozmowa sam na sam przeciągała się ciągle, gdyż rotmistrz w ganku z kuzynką na ławce usiadł... i do pokoju wracać nie śpieszył. Słysząc tylko było przez otwarte okno śmiech jego rubaszny a przykry... prawie do rżenia jakiegoś zwierzęcia podobny, i świszczące śmieszki bladej panienki.

Rozmowa ciągle się niby obracała około interesów wdowy, bolejącej nad swą niedolą. Dobek pocieszał i upewniał... Dano wreszcie do stołu i poszli na przeciwek do jadalni.

Wdowa podała mu rączkę, ową wytoczoną a białą, która jego drzącą a chudą... cisnęła mocno do siebie... Nie on ją, ale ona jego wiodła do stołu pomaleńku... korzystając ze zbliżenia... szepcząc doń coś, aby twarz niemal przysunąć do twarzy, schylając się... słowem obchodząc się w sposób najokropniejszy ze swoją ofiarą.

Panu Salomonowi serce biło wściekle i w oczach się mąciło... nie poznawał sam siebie... Pani Sabina coraz była weselsza... Posadziła go tuż przy sobie i zajęła się nim wyłącznie. Do stołu przybył naturalnie rotmistrz, który siadł z drugiej strony pięknej wdowy, panienka blada, która się przysunęła do Dobka, i oficjalista, człek młody, bardzo piękny, postawy męskiej z blond wąsikami... skromnie lecz starannie ubrany... Przy nim niemłoda już druga kuzynka jejmości, osoba lat czterdziestu kilku, okrutnie brzydka, wystrojona w żółte wstęgi, zajęła miejsce nierychło, brząkając kluczykami, które jej funkcji w domu były godłem.

Pan Salomon u siebie w domu nie był do wykwintnej kuchni przywykły, owszem, jadano co Bóg dał i zgotowane po prostu... tu trafił na coś wcale innego: półmiski były wyszukane, a mięso twarde, sosy obrzydliwe, węgla w potrawach pełno... słowem ani przelknąć.. Podano wino, które tak bardzo złe nie było, a rotmistrz począł dolewać i zmuszać do picia, namawiała i gosposia... Dobek był mocno roztargniony, począł wnosić zdrowia: najprzód łaskawego sąsiada, potem milej jego konsolacji... potem gospodyni... rotmistrza... Wszystkie wypić trzeba było do dna, gdyż pilnowano troskliwie, aby się komu na zdrowiu jego krzywda nie stała... Pan Salomon nawykły do swoich wytrawnych dwóch małych kieliszczków maślaczku... uczuł po frankońskim starem paleniu policzków, w głowie myśli nader wesołe i humor cale dobry... Jadł nawet lepiej, nie zważając na węgle... a co większa, z wolna się rozgadał i parę razy rozśmiał. Był widocznie podchmielony...

Oczy całego stołu, nie ujmując nikogo, ciągle na niego były zwrócone... zdawali się wszyscy z niezmierną ciekawością każdy ruch jego śledzić i słowo. Rotmistrz śmiał się i dolewał kieliszka nieustannie, gosposia z drugiej butelki...

Gdy przyszło wstawać i prowadzić nazad jejmość do bawialni, nogi panu Dobkowi z początku się poplątały, wprędce jednak potrafił je przywieść do posłuszeństwa... Całe towarzystwo pozostało nieco w tyle, a pani Noskowa miała zręczność oprzeć się na ramieniu opiekuna i znowu przytulić do niego, zapewne przez roztargnienie...

W chwilę potem, gdy zasiedli w pokoju, zażądała jejmość ukazać opiekunowi ogródek, który urządziła sama między świerkami za domem, na wysokim brzegu nad rzeką... Niepodobna się było na tę przechadzkę nie zgodzić, w której nikt im nie towarzyszył.

Zręczna kobieta czując, iż każda chwila jest drogą, korzystała też z najmniejszej, posuwając się dalej, ośmielając, nękać na pół już podbitego i obalamuczonego pana Salomona...

Dobek, który przyrzekł był sobie jak najrychlej się ztąd wynosić, zasiadł z jejmością na ławce pod świerkami i zupełnie się zapomniał.

— Mój Boże! mówiła doń wdowa, której oczu wcale nie unikał, pojąc się słodką trucizną: że też waćpan dobrodziej możesz w życiu tak samotnem smakować? Boć nie przeczę, dziecię, a zwłaszcza tak śliczna i miła córeczka, może ożywić i uprzyjemnić godzin wiele, lecz zawsze to — dziecko...

Miłość dla dziecka nie może serca zapełnić całego, czuć się pan musisz osieroconym... Panu należałoby... przy jego wieku jeszcze tak czerstwym...

Nie kończąc, rozśmiała się pani Noskowa, Dobek zarumienił.

— Gdzie mnie tam staremu o tem myśleć, rzekł mocno skonfundowany...

— Ale, bo waćpan dobrodziej wcale starym nie jesteś, a ślicznie wcale wyglądasz, i niejedna kobieta czułaby się szczęśliwą, pozyskując jego przywiązanie.

Panu Salomonowi tak zagadnionemu gwałtownie, aż mdło się zrobiło...

— Sfikсовать przyjdzie! rzekł w duchu... zaniepokojony mocno... i odpowiedzieć już nawet nie umiał. Wdowa patrzyła nań swemi najczulszemi i najrzewniejszymi oczyma...

— Toby było prawdziwie szaleństwo z mej strony... wykrzyknął po chwili wstając, lecz pani Sabina nie ruszyła się z ławy i zmusiła go usiąść napowrót.

— Pan mi przebacysz, że ja go tak poufale zagaduję, rzekła. Wielki szacunek, jaki powzięłam dla jego osoby, i prawdziwie szczególna dlań sympatja... w pierwszej chwili, tłómaczą mnie z tak zuchwałego postępowania... O tem też pan pomyślećbyś powinien, że córeczka za mąż wyjdzie... dom jeszcze bardziej opustoszeje... a toć i imię starożytnego Dobków, w niedostatku płci męskiej dziedzica... wygaśnie.

Westchnął mocno pan Salomon, odgadła bowiem myśl tajemną, którą się nieraz trapił.

— A! to prawda! to prawda! moja mocia dobrodziejko, zawołał ręce zaciskając, lecz zapóźno o tem myśleć, a wyroki Opatrzności snadź tak chciały...

Noskowa się rozśmiała...

— Już to chyba dobrowolnie asindziej dasz wygasnąć imieniowi, boć daleko starsi od niego codziennie się żenią... a cóżby to panu trudnego było! Poszłaby za niego każda z ochotą...

Dobek głowę spuścił, czuł, że dłużej już zabawić był nie powinien, nie odpowiedział nic i zegnać się począł. Jejmość nie wstrzymywała... podała mu znowu tylko rękę... i zbliżywszy się z powodu, że i ścieżka była ciasna, i gałęzie bardzo zawieszono, szepnęła:

— Niechże też pan mnie odwiedza... bardzo proszę... Bardzo mu w mojej samotności wdzięczna będę. Rotmistrz pewnie długo nie zabawi... znowu zostaną... bez nikogo... Kochany mój sąsiad i opiekun nie powinien opuszczać swej wdzięcznej pupilli!

Ścisnęła mu rękę... Dobek pocałował ją znowu... i weszli tak do domu, gdzie brzęk gitary i śpiew rotmistrza słyseć się dawał. Oprócz niego piękny oficjalista czekał snadź na panię dla dyspozycji i rozmawiał z bladą kuzynką... Dobek pożegnawszy całe zgromadzenie, przeprowadzony do ganku, upojony i rozmarzony siadł na brykę i ruszył...

Nie opamiętał się, aż gdy z lasów wyjrzały mu Borowce, a z niemi przypomnienie córki... domu, spokojnego życia i postrachów nienadaremnych, jakimi go na wyjeździe karmiono... Czuł dobrze, iż mu groziło niebezpieczeństwo, że zamach był wymierzony na jego spokój i swobodę; a jednak widząc nawet jasno następstwa, nie mógł się oprzeć nadziei zdobycia jeszcze w życiu, już skazanem na martwe wspomnienia, chwil kilku jaśniejszych, rozkosznych... odrodzonej młodości... Wdowa była dlań cudownie piękna... Lubował się rozpamiętywaniem jej wdzięków, które ona tak umiejętnie podnieść ubiorem i oczom jego ukazać umiała.

— Ale coby to ludzie, coby to Lorka... coby to Aron powiedział! mówił w duszy... Jakim to uporem kupić trzeba to szczęście, które wszyscy poczytują za głupstwo!

Po długim rozbijaniu się z myślami, w końcu zbliżając się do zamku, pan Salomon powiedział sobie:

— Czy się ożenię, czy nie?... a któż mi zabroni popatrzeć się na tę czarownicę? Taka gratka drugi raz w życiu mi się nie trafi... a drugi też raz żyć nie będę! Będzie co będzie!

Cieszyłaby się była pani Noskowa, gdyby w tej chwili wgląd jego duszy zajrzeć mogła...

Zsiadał z wozu pan Dobek, gdy uczuł ręce córki na szyi, pocałunek dziecka na twarzy, i usłyszał głos jej srebrny:

— Przecież wróciłeś, niedobry! niedobry tatkule! Ale to — pamiętaj, raz pierwszy i ostatni!

IV

Z Borowiec do Smołochowa, było drogą urzędową, szkaradną i zapuszczoną, lecz opatrzoną w wizerunki jakichś mostków i podobieństwa grobelek, mil dwie drogi, które wymagały trzech godzin czasu... bo pośpieszać po wybojach i dziurach nie było sposobu. Droga ta przed wieki jeszcze wyłożona, okrążała ogromne błota i ługi, a po lesie kręciła się fantastycznie; w istocie zaś Smołochów nie leżał tak daleko, i pani Noskowa utrzymywała, iż gdy na nabożeństwo dzwoniło w Borowcach, a czas był spokojny, doskonale

słyszała dzwony z ogrodu za dworem. Mappa też, którą rozpatrywał pan Dobek, dowodziła, że na prost przez rzekę się przewioźlszy, lasem, w godzinę dostaćby się można do sąsiadki.

Wabiła go ta sąsiadka! Wróciwszy do domu, pokoju nie miał, a choć się przed córką i cicią z odwiedzin spowiadać nie chciał, choć przed Arona badawczym okiem krył się, zupełną udając obojętność, pan Dobek zajął się mocno panią Noskową.

Pierwszym skutkiem tego była ślepotą. Nie widział jej zalotności, nie z serca, ale z rachuby płynącej, niezręcznej, pośpiesznej, nie mogącej złudzić nikogo... kłamał sam przed sobą... Dom bezładny, niemiły, w którym na każdym kroku malowała się gospodyni płochość i zaniedbanie, nie wydawał mu się ani tak opuszczonym, ani tak niesmacznym jak w pierwszej chwili. Tłómaczył wszystko gwałtownie na dobre, a dobre były w istocie tylko oczy pięknej wdowy, tylko jej twarzyczka i figurka, będąca całym wyposażeniem. Nie spytał siebie, co tam tak poufale porabiał kuzynek rotmistrz, czemu w domu rządzą się niesforne oficjaliści, i więcej było elegancji niż porządku, a wytworności zbytkownej niż spokoju i ładu.

Po za temi oczyma czarnemi, omdlałemi nic widać, po za tym głosikiem dźwięcznym nic słyhać nie było. Czuł, że szalał, a jak człowiek lecący z góry w pędzie, już się powstrzymać nie mógł. I to wszystko stało się tak prędko, nagle, w mgnieniu oka, jakby istotnie spadł z urwiska.

Przychodziły z razu godziny chłodnego opamiętania, głos Lorki obudzał go i wytrzeźwiał, przyrzekał sobie otrząsnąć się i oswobodzić, lecz w chwilę potem głowa mu się zapalała i rwało go ku temu nieszczęśliwemu Smołochowu... do którego wybierał się ciągle nie śmiejąc jechać... boby musiał przed Lorką kłamać, a ludziom milczeć kazać, co go upokarzało...

Ten nieszczęśliwy stan niepokoju i niepewności trwał więcej tygodnia i odbił się na twarzy pana Dobka, w jego humorze, oddziałal na zajęcia, gdyż nawet sprawy pieniężne, które go najmocniej obchodziły, teraz mu się stały znacznie obojętniejszemi.

Jednego dnia Aron przyszedłszy, zastał go przeciw zwyczajowi siedzącym w krześle z głową podpartą na rękę, wpatzonego w okno i zadumanego dziwnie. Nigdy jako żywo nie widział go Aron inaczej tylko w rejestrach, w książkach rachunkowych lub nad handlowymi listami, a co mu zostawało czasu wolnego, z córką.

Teraz i Lorka zaniedbana była.

Żyd, który przeżył z nim na stopie poufalej lat tyle, a widywał go w najrozmaitszych okolicznościach, patrzył nań z uwagą wielką. Nie trudno mu było w nim odkryć symptomata zatrucia.

Ruszył ramionami, gładząc jak zwykle brodę.

— No, co jasny pan powiada, odezwał się, że ta jejmość, ta ze Smołochowa... to jegomości — wszystko jedno! No! jakto można tego mówić! Wszak pan od tego czasu jak tam był i zmizerniał i — z pozwoleniem, zkiepsciał ze wszystkim. Toby i ślepy namacał... No! co z tego będzie? co z tego będzie?

— Cóż ma być i z czego? odparł posępnie, wstając z krzesła Dobek. Nie ma nic i przywiduje ci się — po wszystkim... To prawda, że dałem słowo, pojechać muszę... a biedzę się z tem, że Lorco to zrobi przykrość. To cała rzecz.. cały kłopot mój...

— A po co pan tam musi jechać? po co musi? spytał Aron.

— Dla jej interesów!

— To jest kłamstwo te jej interesy! ona żadnych nie ma, rzekł Aron stanowczo: ja wszystko wiem... Ona tam ma swojego kochanka pana rotmistrza... a to nie głupi człowiek, a ma jeszcze na zapas i więcej.

— Jakto! kochanka? zrywając się zawołał Dobek: co ty pleciesz?

— A! niech się jegomości nie gniewa, że ja jego po imieniu nazywam. To wszyscy przecie wiedzą.

— To jej krewny! odparł pan Salomon.

— Może być krewny, ale oni się z sobą znają, proszę jegomości! At! co tu gadać długo... Niech pan napisze, że chory, że nie pojedzie, i raz temu koniec zrobić... rzekł Aron z pewnem rozdrażnieniem. Na co tu w bawelnę obwijać? Ona na jegomości poluje, chce się wydać... jegomości jest słaby... da się złapać, a potem co? czy panu spokój nie miły? A! co za los dla panny Lorki! a! panie!

— Ale mnie się o tem nie śni! oburzył się Salomon. Coś się ty uwziął mnie męczyć, żydzie niedobry... daj mi pokój! daj mi pokój...

Aron się skłonił, jarmułkę podniósł, głowę pogładził, palcami strząsnął.

— Aj! aj! co mnie do tego...

Zacząto mówić o Gdańsku, o drzewie, o smole, o fasach na potasz, i na pozór skończyło się wszystko, gdy pod koniec rozmowy, Dobek obejrzawszy się w koło przystąpił do Arona.

— Mój Aronie, ty jesteś moim przyjacielem... ja wiem to i ufam ci... Słuchaj, nie bądź dziecinny... Ja do Smołochowa parę razy dojechać muszę... a nie chcę, żeby Lorka wiedziała o tem i martwiła się, ty mnie do tego dopomożesz... dasz mi swój wózek.

Aron aż się cofnął.

— Żebym ja to zrobił! żebym ja do rozboju dopomagał! a! za żadne w świecie pieniądze, zawołał oburzony. Jaśnie panie, dodał gwałtownie: jeśli już do tego przyszło... pan jesteś zgubiony, ja panu mówię, pan zgubiony jesteś!

Zmieszał się pan Salomon, zaciął usta, snadź mu strasznie było przykro, że się niepotrzebnie wydał, lecz udał spokojnego.

— No, to dajmyż pokój temu... dajmy pokój, począł dumnie; ja nic już od was nie potrzebuję, kłaniam uniżenie.

Aron potrząsnął jarmułką, i z pochmurnem czołem wyniósł się powoli.

W Borowcach słudzy nawykli byli do milczenia i zastosowywania się do woli pana z niewolniczym posłuszeństwem... Żaden z nich badać nie śmiał nigdy, dla czego pan co czynił, ani nawet rozmawiać o tem co się działo. Najmniejszy szczebiot niepotrzebny lub ciekawość bywały powodem odprawienia łagodnego i usunięcia od obowiązków. W całym domu jednak znanem to było, iż pan czasem się w swoim pokoju na klucz zamykał razy dwa i trzy na dzień, a gdy drzwi znajdowano zamknięte wewnątrz, pukać nikt nie śmiał dopóki on sam ich nie otworzył. W różnych porach dnia i nocy się to trafiało. Ludzie w największej tajemnicy mówili sobie, że stary pieniądze liczy. Wiadomo też było, że z mieszkania pana Salomona, z izby jego sypialnej, w której murze były wielkie zamczone drzwi żelazne, prowadziły schodki do lochów, a w nich owe skarby złożone być miały zebrane przez dziadów Salomona i przez niego. Nikogo tam nigdy nie wpuszczano... Co dziwniejsza, od lat niepamiętnych, zawsze Salomon miał w swej izbie przywożone rozmaite zapasy jadalne, a te, chociaż ich używać nie miał potrzeby, ginęły... Ludzie domyślali się, że je może ubogim rozdawano...

Tego dnia też po odejściu Arona, pan Salomon spojrzawszy na zegarek... drzwi swoje zarygłował. Dobył potem na sznurze jedwabnym wiszący błyszczący klucz z za nadrza i poszedł do sypialni, której drzwi napuszczane oliwą, cicho otworzył... Przy nich wisiała latareczka mała ze stoczkiem wewnątrz; te zapalił i zwolna po szerokich dosyć schodach kamiennych spuszczać się zaczął ku dołowi...

Szyja w grubym murze wykuta schodziła do podziemnego lochu, do którego wiodły jeszcze jedne drzwi otwierające się bez klucza, za pociśnięciem gwoźdźcia... W tym skarbczyku dosyć szcuplemy stały kufty żelazne pozamykane... i para okutych szkatuł. Jedną z nich otworzywszy pan Dobek dobył worek, który do kieszeni schował... obejrzał sklepienia, spojrzął ku wysokiemu ciasnemu okienku przez które jak przez szparę wpadała światła odrobina i podszedł w prawo kędy było ciasne w murze wgłębienie... Kryło ono jeszcze jedne drzwi otwierające się kluczem umieszczonym we framudze... Za nimi następowały ciasne schodki... a w dole widać było jakby izbę, prawie jasną w stosunku do tych co je poprzedziły... Była sklepiona... z oknami w górze tak umieszczonemi, iż chociaż przez nie wpadało światło i powietrze, z zewnątrz nic oprócz sklepień widzieć nie było można. Podziemie to wyłożone flizami gładkiemi, wązkie, puste... nie zawierało nic, oprócz złamanych krzeseł kilku i zbutwiałych drzewa kawałków... Naprzeciw drzwi wchodowych w ścianie widać było drzwi jeszcze, na podwyższeniu, do których po kilku się schodkach wchodziło... Dobek zwolna, ze spuszczoną głową, wdrapał się na nie i do drzwi zapukał przykładając do nich ucho... Nie było słycać nic... zapukał jeszcze raz... zaszeleściło coś... nie czekał już i drzwi z wolna otworzył...

Izba znowu, lecz znacznie większa ukazała się przez nie... sklepiona... lecz jakby na mieszkaniu urządzona. W lewym jej rogu był mały piecyk i kominek niezgrabny... w środku stół dębowy na krzyżowych prostych nogach... jedno przy nim wysiedziane skó-

rzane krzesło... Z boku stała szafa prosta... zczerniała i opylona.. w kącie od drzwi ogromna trumna z kłód drewnianych wyciosana, spojona żelaznymi klamrami, obok niej wieko podobne oparte o ścianę. W niej widać było wysłane łożo, poduszkę... pokrycie... Na półce w ścianie stały różne ubogie sprzęty, potrzebne człowiekowi niezbędnie do życia; garczki, miski... lichtarz... dzban z wodą i szklanka... W trumnie ze zwieszonymi z niej nogami wychudłymi, nagiemi, okrytymi bujnym włosiem siwym, siedział starzec z niezmiernie długą rozpuszczoną białą brodą, która mu kolana okrywała... Na nich trzymał wsparte ręce kościste, których sustawy nabrzmiały jak węzły, żyły wydęte, skóra pomarszczona... zgrzybiałości nosił piętno... Z pod odzieży grubej sukiennej, wyglądało ciało wyschłe bez koszuli... kości i skóra tylko... Z pośrodku ramion przygarbionych... wystawała głowa z wierzchu łysa, po bokach długimi srebrnymi osłonięta włosami, z twarzą ascety lub derwisza... żółtym pergaminem ociążnięta.

Długie zamknięcie w tem podziemiu na wpół strawiło tego człowieka... był to żyjący trup tylko... Na czaszce i licu wszystkie kości rysowały się wyraźnie, oczy głęboko były wpadłe, a dwoje brwi rozrosłych, nasuniętych, osłaniało je niemal całkowicie... Dolna warga ust sina wisiała drżąca... Na obliczu nie było innego wyrazu oprócz ponurego, dzikiego, obojętnego zamyślenia.

Słyszac wchodzącego starzec, siedzący w trumnie z wolna podźwignął głowę z trudnością... rękę jedną poruszył... opadła zaraz bezsilna...

Dobek zbliżył się na palcach, ostrożnie, nic nie mówiąc.

Ponury, słaby głos dobył się z piersi siedzącego...

— Salomon?..

— Tak, ojcie...

— Dawno nie byłeś?

— Wczoraj...

Stary zamilkł... rękę podniósł...

— Daj mi kroplę... kroplę wina z wodą, siły nie mam... Koniec blizki...

Dobek w murze znalazł z łatwością butelkę... wlał do kieliszka nieco wina, trochę wody i podał je starcowi, który chwycił z trudnością szkło i poniósł do ust z widocznym wysiłkiem... Wychyliwszy napój, oddał kieliszek Dobkowi... Jakiś czas siedział jeszcze z głową spuszczoną, chwycił się za piersi, potarł jakby się z odrętwienia chciał rozbudzić i czoło podniósł rzeźwiej nieco. Naówczas z pod brwi nawisłych ukazało się dwoje oczu siwych, jakby zeszkłonych... które starzec wlepił w Salomona...

— Co tobie Salomonie?

— Nic, ojcie...

— Ty inny jakiś jesteś!

Dobek lekko się wstrząsnął.

— Nie wiem.

— Ty przychodzisz mi coś powiedzieć, rzekł stary, — ja wiem... wiedziałem, że przyjdiesz i że mnie będziesz pytał... ja wszystko widzę, gdy oczy zamknę...

Salomon snadź był nawykł do takich pytań, milczał.

— Ja czasem widzę was chodzących po zamku... ciebie — Lorkę... Słyszę jej głos i śpiew... i latanie.

Mówiąc starzec się coraz rozgrzewał... głowę podnosił wyżej.

— Mów Salomon... ty chcesz coś powiedzieć...

— Tak jest, odezwał się w końcu Dobek, zdobywszy się na męstwo: tak jest, przyszedłem po radę...

— Do trumny! do umarłego, przerwał starzec... A co mnie do żywych choćby oni dziećmi byli mojemu? Albo ja wiem co się ze świata zrobiło teraz?.. Ja umarły!... jam skazany, jam bannita i infamis... któremu katby głowę ściął... Po co ścinać? sama lada chwila spadnie... jak owoc dojrzały... Co mi powiesz Salomonie?

— Ojcie... drżącym głosem począł Dobek: czy rodowi i imieniowi naszemu gasnąć na mnie?

— Gasnąć? a córka twoja? rzekł stary...

— A imię?

— Imię? Cóż znaczy imię? co znaczy ród? prochu garść! a ile ich rozniosły wiatry po gościńcach? Wszyscy ludzie jeden ród... jeden człowiek, jedna nęcza i jedno robactwo...

Podniósł głowę jeszcze wyżej, aż szyję opasaną sznurami żył zczerniałych widać było... i zaśmiał się śmiechem zapomnianym, nieumiejętnym, podobniejszym do płaczu niż do ironicznego pośmiewiska.

— Co ci jest? zapytał po chwili — popatrząwszy na syna... Ażali ci mało było kobiety jednej w życiu, która ci przyniosła wiele łez, żalu i troski... a chcesz drugiej, która ci przyniesie może hańbę, srom, rozpacz...?

To mówiąc starzec otulając się sukiennym płaszczem, który mu z bark spływał, wstał na nogi drżący i rozprostował się, chudą rękę wyciągnął ku Salomonowi... Z zagasłych oczu iskry strzelały.

— Pamiętaj na mnie! rzekł stłumionym głosem... pamiętaj na mnie! a nie powiem ci więcej nic... Jam musiał być zbójcą, aby plamy na tarczy białej nie było... i muszę nosić na rękach krew i położyć się z nią w trumnie, aby cała spadła na mnie jednego... Ja także chciałem szczęścia i rodowi potomków... a ta, którą ja zabił, była matka twoja, a ten, którego ty więzić musisz, aby go nie kaźnili ludzie, to jest ojciec twój! Pamiętaj na mnie! pamiętaj na mnie...

Kończąc starzec się zsunął z wolna i siadł znowu w swej trumnie.

— Czego ty chcesz? mówił spoczawszy zdyszonym głosem — żony? Tyś stary — ty masz dziecię — ty chcesz macochy w domu? ty chcesz tu wprowadzić obcą niewiastę, szpiega, którego oko podpatrzy wszystkie tajemnice i kąty... wywlecze ci twoje złoto i zrobi z ciebie podściółkę pod nogi? Ja codzień bałem się tego i myślałem, że nie dożyję — a dożyłem...

Salomon stał w myślach pogrążony i milczał... Nie odbierając odpowiedzi, starzec kościstą dłonią uderzył po kolanach:

— Mów!

— Nie mam nic do powiedzenia, cicho odparł syn. Ojciec z trumny patrzysz na świat... a jam żywy... ja chcę żyć...

— Czemużeś nie opamiętał się wprzód, gdyś młodszym był?

— Bom bolał po tamtej...

— Bolał! zawołał ojciec śmiejąc się... a tyś Bogu powinien był dziękować, że ci ją wziął, gdyś jeszcze kochał... gdy z tego miodu serdecznego nie wyrodził się ocet! Głupi człowiecze! głupi! Pamiętaj na mnie! mówię ci raz jeszcze, pamiętaj na mnie... Patrz na pokutę moją. Za co? Za to, że ja pan i głowa domu i najwyższy sędzia w rodzinie mej, osądził i ukarał... Ty słaby, ani sędzią, ani mścicielem być nie potrafisz... będziesz ofiarą, a za sobą powleciesz dziecko, i ród, i mnie.

Salomon ręce załamał, stał i drżał.

— Z trumny mówicie, powtórzył głosem dzikim prawie od namiętności, która w nim kipiała. Dla tego, że wam życie odjęto, wy mnie je odebrać chcecie? Dla czego ja mam być najniezwyklejszy... i trafić na zło, i za miłość być zapłacony zdradą?..

— Coć rzec więcej? szepnął jakby do siebie mówiąc starzec... tyś oszalał! do szalonego jak do ściany mowy nie ma... Idź, a kręć kark... jać zemrę lada dzień, po co się oglądać na mnie? Czyni co chcesz! Rodowi naszemu może za tę krew przelaną napisano jest zginąć... niech ginie... Ja ci nie rozkazuję nic i nie radzę nic, bo przeciw wyrokom bożym niema rady, ani rozkazu... Łamią sklepienia i druzgoczą skały... a cóż człowieka?.. Mówisz, że mówię z trumny i patrzę z trumny. A wiesz ty, jak jasno, jak daleko widzi człowiek z takiego grobu... z takiej pustki i milczenia?... Wszystko w nim gaśnie, wzrok, słuch... siła umiera, otwierają się oczy duszy i promień ich strzela, sięga przez mury i serca, w głąb pieczar, w przepaści dusz...

Mnie oczu nie potrzeba cielesnych, tamtemi widzę wskroś ciebie, a nawet los twój przyszedł... Zgaśnięcie wszyscy... Nie pomoże nic... a tamtą zabitą pomści żywa...

Tchu starcowi zabrakło. Głowę zwiesił, milczał i oddychał ciężko, piersi mu całe z kóśmi poruszały się jak miech kowalski... na policzki wystąpił pomarańczowy, ceglany rumieniec... Dobek jak skazany stał i słuchał nie słysząc... Pomiędzy owym starcem co żywego dawno nie widział świata, a nim, nie było nici, coby łączyła myśli i zbliżała pojęcia... Mówili jakby dwoma odmiennymi językami... Zrozumieć się nie mogli.

— Mów zawołał z wysiłkiem ojciec.

— Cóż powiem?... odparł Salomon: niech będzie jak Bóg zrządzi... ja już nie wiem sam gdzie i jak się obrócić mam. Życie mi zbrzydło...

— I dziecko, dziecko, którego głos mnie tu, w tym grobie, gdy je posłyszę, poi i koi... zawołał stary, i to dziecko ci zbrzydło, Salomonie? Grzeszny jesteś. To jedyna miłość na świecie prawdziwa, ze krwi i wnętrzości płynąca... to jedyna pociecha życia... a ty, odpychasz co karmi i chcesz tego co truje? Tyś oszalał, Salomonie.

— Uleczże mnie z mojego szaleństwa? zawołał Dobek, ulecz, wyrwij mi to z serca co się w nie wpiło jak kleszcz...

— Kleszcza gdy się wpił nie wyrwiesz... czas był dawno! rzekł stary. Uleczyć? jak ciebie leczyć? gorzkim lekiem!.. Patrz... tam, na stole to lekarstwo, którym ja się lecę od żywota — choroby... Weźmiej tę Biblię... i czytaj ją... a czytaj nieustannie... a nędzę człowieka i marność rzeczy ludzkich pojmiesz, i nie będzie ci żal rodu, ani imienia, ani pożądasz niewiasty... ani ślubów powtórných... Wnijdź cały w księgę i osłoń się nią, a przyoblecz... nie tkną cię pociski...

— Ja ją czytam... codzien! odparł Dobek. Przecieżem nie stał się niewiernym wierze moich dziadów, anim odstępca się stał od prawdziwego wiernych kościoła... od kościoła braci mej żywej a umarłej...

— Cóż potem? czytasz usty! rzekł starzec. Rękę mi daj! chodź! toć będzie lekarstwem... pójdz do tych, z którymi ja żyję i obcuje codzien... oni ci powiedzą za mnie co czynić masz... Chodź zemną!

Posłuszny staremu, acz z widocznym wstrętem, Salomon rękę podał ojcu... który się zwiesił na jego ramię... za framugą w głębi było lekkimi drzwiami ledwie przemkniętymi zakryte wnijście... Po za niem ciemniej było... Okna mniejsze wpuszczały od góry tylko trochę słabego światła... Daleko w mrok ciągnęły się sklepienia oparte na grubych niskich słupach...

Tu nie było posadzki, tylko gruba warstwa piasku, w której nogi tonęły głęboko. W lewo i w prawo przy ścianach stały trumny, sarkofagi i monumeuta rzeźbione z marmuru i porfiru, tablice z napisami... urny z popiołami... od małej trumienki dziecięcia aż do olbrzymiej rycerza pierwszych wieków, stały rzędami coraz inne, na pół rozsypane... całe... rozbite i kośćmi sterczące... Niektórych otwartymi boki sypały się kostki i reszty zbutwiałych sukien... Nad jednym z grobowców wykuty z białego marmuru kościotrup z kosą i klepsydrą zdawał się panować górując po nad cmentarzem...

Szli w milczeniu... Starzec oglądał się i mruczał imiona i pozdrawiał śpiących towarzyszków a praocjów; czasem uśmiech prześliznął mu się po wargach... Doprowadził tak powoli syna aż do drugiej izby oddzielnej, gdzie trumny nowe były... Przy jednej z nich na ziemi wyklęczane dwa doły, wytarte dwóch dłoni na aksamicie znaki wskazywały miejsce rozmyślań i pokuty...

Starzec doszedłszy do trumny, padł na kolana, dłonie oparł na niej, głowę przyłożył do desek i po chwili cicho rzekł synowi:

— Idź! idź... dosyć dla ciebie... idź z Bogiem!

Głos, którym to wymówił, był tak słaby, że tylko w pośród ciszy grobowej Dobek mógł go pochwycić... przystąpił do ojca, aby mu dłoń pocałować... stary nie drgnął, nie powiedział już słowa, zatopił się we wspomnieniach...

Poczekawszy chwilę, Salomon cofnął się przez groby i drogą którą przyszedł do izby ojcowskiej. Tu opatrzył pułki czy mu czego nie brakło, odemknął szafę, wsunął do niej co przyniósł w kieszeniach, i począł wracać zamykając drzwi za sobą.

Wszedł znowu do skarbczyka... po którym wzdłuż i wszerz odbył małą przechadzkę, spróbował wiek swoich kuftrów i zamknąwszy przedostatnie drzwi, po schodach dostał się do swej sypialni... Zgaszoną latarkę powiesił na miejscu, wzięty worek złota wsunął do szuflady i zamykając za sobą, powrócił wreszcie do jasnej swej izdebki, której drzwi odryglował.

Pomimo oswojenia z temi widokami, z mową ojca, którą słyszał codziennie, dzisiaj z nim widzenie uczyniło na Dobku wrażenie silne. Siadł zadumany w krześle. Jeszcze przed oczyma jego suwały się mary trumien i szkieletów, gdy już promienny dzień przynosił mu inne obrazy... w mrokach wyobraźni nikły grobowe, wstawały jakby we mgłach poranka wykwitłe obrazy życia i szczęścia... Piersią oddychał wolniej...

Zapukano do drzwi... po chwilce otworzyły się one i Lorka na pół po mężku ubrana, w stosownym kapelusiku z galonem na główce... wbiegła wesół, aby się ojcu pokazać i uściskać go! Na białej kazimirkowej spódniczce miała fraczek także galonami oszywany,

na piersiach żaboty mężkie, kamizeleczkę, na szyi chustkę koronkową; a było jej w tym zresztą dosyć naówczas praktykowanym stroju tak pięknie... iż się ojcu aż ponure lice uśmiechnęło.

W jej osobie występowało doń to życie, którego wołał i pragnął, pod postacią młodością kwitnącą, a zdającą się na wieki panią życia i młodości... Któżby patrząc na to zjawisko mógł przypuścić istnienie starości, konieczność śmierci? Wyglądała jak nieśmiertelność żywota na ziemi... odradzającego się wiecznie w tysiącach postaci... W oku, w ustach, na czole brylantowa świeciła dziewicza wesołość.

— Patrzcie ojczulu, zawołała, jak mi to ładnie w tym mężkim stroju! patrzałam w zwierciadło, i poznać się i nacieszyć sobą nie mogłam! Jaki zemnie tęgi mężczyzna!

— To prawda! ależ ty jeszcze jesteś piękniejsza jako kobieta! rzekł uradowany ojciec.

— A — nie! o! wcale nie! ojczulu, wołała potrząsając główką, na której umocowała kapelusik, aby nie spadł co nie to nie! Jako kobieta jestem sobie pospolita dziewczyna... i — jak tatka kocham, najmłodsza córka Arona daleko odemnie piękniejsza... wygląda jak Rebeka na obrazku, który mi darowałeś... a po mężku... nikt mi nie dorówna. Ja bardzo mężki strój lubię.

— I — dosyć niepotrzebne a niewłaściwe masz gusta mężkie, odparł ojciec: te dziewczęciu nie przystoją!

— O! o! gderz sobie, gderz... rozśmiała się: ja nawet wiedziałam z góry, że ty musisz pogderać... A co to pomoże? Konie lubię... a tak mi się chce na którego sięść...

Figlarną zrobiła minkę.

— Ale ty tatku, nie pozwolisz? rzekła.

— Niech Bóg uchowa! a! toby było ślicznie.

Lorka przechadzała się po pokoju nucąc, a z miny poznać było można, że tego pozwolenia nie czekając pono, musiała już cichaczem konia próbować... Ojciec prawie to przeczuł czy odgadł, zafrasował się jakoś.

— Coś ty mi masz minę jakbyś... jakbyś nieposłuszne dziecko... rzekł, pozwoliła sama sobie? he?

— E! co tam! przerwała Lora: nie mówmy o tem... Ale co prawda to prawda, że na konika sięść i z chartami polecieć w pole... z wiatrem w przegony... ha! ha! ach! aż się serce raduje... Czemu ja nie urodziłam się mężczyzną!

— Lorko! na miłość Boga! co ci jest? do rozpaczy mnie przyprowadzasz! zawołał ojciec... dość tego.

— Zatem — czy mam tatka pożegnać? spytała stając przed nim podparwszy się w boki i naśladując mężką postawę... podała mu do uścisku rękę...

Ojciec ją czule pocałował...

— Już cię korci wylecieć? westchnął.

— Kiedy mi mówić nie dajesz co ja bym chciała? zasmucona niby zawołała Lorka.

— Pleć już sobie, dziecko moje...

Dziewczyna ośmielona przysunęła mu się do ucha i zaczęła pół głosem:

— Prawda, że ja za męża pójsć muszę? widzisz! wybiorę sobie pięknego mężczyznę, rycerza, myśliwca... a jak będę miała ślub z nim brać, powiem mu: inaczej nie, tylko musimy razem jeździć na polowanie! Chłopiec będzie bardzo rozkochany, bo rozkochać go wprzódy muszę, padnie na kolana i na wszystko się zgodzi... Nazajutrz po ślubie... na koń i w pole... to będę hasała!

Ojciec patrzył i zasępił się.

— Skaranie Boże, rzekł, co za myśli! Gdzie się to one tam w tej ślicznej główce rodzic mogą?

Lorka się śmiała; poszła do małego zwierciadła w drugim pokoju, w którym były drzwi żelazne, aby się przejrzeć...

— Tatkuniu! zawołała, a kiedyż mnie poprowadzisz do skarbcza? Zawsze obiecujesz... przyrzekasz... a nigdy dotrzymać nie chcesz... Ja jestem strasznie ciekawa... lochy... groby... skarby... Często przez zamurowane okienko zaglądam, nic nie widać! nic a nic... Chodzę, szukam... gdzieby co zobaczyć! Już ciż mnie tam zaprowadzisz kiedyś? obiecałeś...

— Po co ci to? — chmurno mruknął ojciec. Wiesz dobrze, że tam nie ma nic, tylko groby... i mój tam skarbczyk... na... papiery...

— Papiery! a to dobre! papiery! przecież tam masz kupami jak w stodole pszenica i żyto leżące złoto... osobno holenderskie... osobno portugaly... i... chodzisz szuflować, żeby to nie zatęchło. Widzisz, ja wszystko wiem!

Stary już się śmiał...

— Kiedyś mi musisz to pokazać! Przecież jabym i te groby nasze raz chciała zobaczyć... Jakie to musi być straszne! Ha!

Zamyślony już siedział pan Dobek, nie odpowiadając nic. Lorka pomiarkowała, że go tem zasmucić może, i zamilkła.

— Jeszczebym tatkowi powiedziała, odezwała się; ale boję się mu zrobić przykrość... mówiąc o tych lochach...

— Cóż takiego?

— Bo to może przewidzenie, ale raz w nocy, gdym poleciała na ogródek słuchać słowika, który w bieże przesłicznie śpiewał... jak tatkę Kocham... w jednym okienku od grobów świeciło się...

Trochę wylękły obejrzał się Dobek...

— Cóż? co? nic szczególnego, mogłem ja chodzić w nocy do skarbczyka, bo to się często zdarza, po papiery...

— O! to dobrze! niby ja nie wiem, które okno od skarbczyka, przerwała Lorka... a świeciło się dopiero w trzecim... Ja się nic a nic nie boję umarłych, dodała dziewczę, nic a nic, i nawetbym była ciekawa z którym z nich pomówić... Więc — przykradłam się do samego okna. Najwyraźniej ze środka się świeciło... jakby od świecy... przyłożyłam ucho... nic, tylko głuchy szelest jakiś...

Dobek pobladł, lecz wprędce zebrał myśli, i przybierając minę spokojną, rzekł:

— I nie ma nic szczególnego, że tak było... Za skarbczykiem są jeszcze dwie izby pod moim kluczem, gdzie trzymam różne papiery, klejnoty stare... rupiecie. Musiałem tego dnia pójść czegoś szukać.

— Jak drugi raz zobaczę światło, to przez okienko huknę: Tatku! dobra noc... a ty mi, proszę cię, odpowiedz: Dobra noc... Zgoda?

Pan Salomon ruszył ramionami...

— At, o tych tam lochach nie paplałabyś, z tego się niedorzeczne tylko rodzą baśni... proszę cię...

Lorka natychmiast umilkła, pocałowała ojca i wesołym kroczkiem podparta w boki poczęła znowu się przechadzać po pokoju...

Cała ta z nią rozmowa poruszyła Dobka i odjęła mu tę odrobinę wesołości, którą był z razu przy niej odzyskał... Spoglądała na niego córka napróżno, badając czy się nie rozchmurzy; wreszcie coś zobaczywszy z okna, zawinęła się nagle i pobiegła jak strzała...

Pozostawszy sam, rozmyślał stary. Ojcowskie wyrazy wracały mu na pamięć ciągle, a obok nich śmieszek wesołej wdówki i figlarne jej spojrzenia...

— Nie koniecznież dla tego się mam zaraz żenić, że tam dwa razy będę? rzekł w sobie. Albo to mi świeżego powietrza przy niej zaczerpnąć nie wolno?.. Mój Boże! Życie spędziłem jak pustelnik... trochę weselszej myśli ma mi być wzbudzone!

Ruszył ramionami.

— Aron powiada, że rotmistrz... ale Żyd bredzi! Przyjacieli jej matki, sama mi to mówiła — krewny... zaraz ludzkie języki oszczerstwo uplotą... Stare, nudne Żydzisko...

Pan Dobek począł myśleć a myśleć, i w końcu wpadł na postanowienie utworzenia sobie drogi na prost przez rzekę do Smołochowa. Do uczynienia tego tak, aby nikt w dworze o tem nie wiedział, posługiwała ta okoliczność, że ludzie do milczenia i ślepego spełniania rozkazów byli nawykli. Któżby go miał szpiegować lub czynności jego sobie tłómaczyć? Bywało bardzo często, że się na znaczną część dnia oddalał, dla widzenia potaszarni, liczenia sążni łuczywa, na biudugę i t. p. Mógł więc i teraz pojechać sobie do Smołochowa... bo wprost miał godzinę drogi... dwie tam i napowrót, a parę jeszcze na miłą konwersację z wdową pozostawiało...

Starego Eljasza zawołał.

— Słuchaj mój stary, rzekł: trzeba, żeby mi było naprzeciw... krzyża, około mogiły tatarskiej, zawsze dobre czółno lub obijanik do przewozu... dzień w dzień, bo niewiadomo kiedy go będę potrzebował. Przewoźnikowi policzy się za każdy dzień dwa dni... Za rzeką mieszka Fedor leśniczy zaraz od skraj, ma on konie?

— Dwa, dwa i dobre... rzekł Eljasz potakując sobie starą głową, którą muskał gdy mówił.

— Fedorowi nakazać, żeby konie miał zawsze gotowe do wózka... Rozumiesz... to mu się zapłaci... Mnie tam po lasach kradną, trzeba się pilnować. A Fedor milczeć umie?

— A jakżeby nie umiał? odparł Eljasz; u nas to przecie zaprowadzenie takie.

— I powinno być, język trzymać za zębami, rzekł Dobek gorączkowo jakoś. Eljasz mi to urządzi tak, aby we dworze żywa dusza nie wiedziała... Żywa dusza! aby się nikt nie domyślił! ani Aron, ani panienka, ani panna Henau... nikt.

— A jak nikt, to już nikt! powtórzył Eljasz.

— Kiedy to może być? zapytał Dobek.

— Od jutra, jaśnie panie...

— Pewno?

— Niezawodnie, tylko ja dziś w wieczór służyć nie będę, a proszę powiedzieć, że poszedłem do zięcia na siolo...

Eljasz wysuwał się już.

— Słuchaj stary, cicho zapytał Dobek: czy przewożąc się czółnem naprzeciw mogiły tatarskiej, widać będzie z zamku?

Stary podumał i głową pokręcił, i głowę pogładził.

— Ot — nie wiem, rzekł; a no, popróbuję rano...

— Gdyby z zamku widać było, potrzeba, rzekł Salomon, dobrać na obijanik miejsce takie, żeby go z zamku nie widziano. A że panna czasem po brzegu biega... i daleko... niechże schowają czółno w łozy... żeby widać nie było... bo ona zaraz dostrzeże i pochwycić gotowa... Czółno musi mi zawsze być... A no, bez koni czółen nic nie wart, a konie bez czółna na nic się też nie zdały...

To się rozumie! wtórował Eljasz, to już się rozumie.

— Gdy pewien będziesz, iż wszystko gotowo jak się należy, to mi nic nie mówiąc jutro rano dasz nowy kontusz i buty, a powiesz, że się stary popról i że go do krawca odesłałeś.

Eljasz zrozumiał, lecz zarazem posmutniał, głowę schylił, zamiast ją pogładzić, po-drapał się nieboraczysko i sapnął ciężko.

— No, co ci to?

— No — nic.

— Cóż ci tam znowu?

— Et! co ma być?

— A no, mów!

— Hm! panisku mój! wpół go ściskając rzekł Eljasz: jeśli to do Smołochowa... będę miał na sumieniu! Dobrodziej! ojcie! mnie ten kontusz naprowadza... Po co ci tam? biedy szukać...

Mówił cichusieńko... Dobek oczy trzymał spuszczone...

— No, już tam troskę o to zostaw mnie... a nie lękaj się.

Poklepał po ramieniu kłaniającego się nisko sługę...

— Zrób jak mówiłem, reszta moja rzecz... nie ma się czego obawiać... Ja wiem co robię...

Eljasz wyszedł milczący, lecz w duszy sobie mówił: — Żebyżeś ty wiedział, co robisz!

V

Na oko nic się przez długi czas nie zmieniło w Borowcach; jedna tylko okoliczność zwracała uwagę Lorki, panny Henau, a może i służby, że Dobek często bardzo wychodził do oglądania jakichś robót w lesie, wracał późno, czasem nadzwyczaj wesół, dobry i jakby podchmielony, niekiedy przeraźliwe chmurny i przybity. Naówczas zamykał się w swej izbie i przez dni kilka nie wychodził z domu. Potem porywał go niepokój i znowu znikał.

Nikt go nie śmiał śledzić nawet, oprócz starego Arona, wiedzącego wszystko, cudownym jakimś sposobem, bo przed nim nic się ukryć nie mogło. Lecz i Aron nic nie mówił już panu Dobkowi; pośepny był, robił z nim rachunki, rozpytywał się o interesach, a potem zwawo odchodził. Łatwo było w nim dostrzedz, że się na jegomości gniewał. Dobek

też po jakimś czasie sam to zrozumiał, zarazem domyślając się powodu, i dla tego nie badał Arona.

Wycieczki te trapiły też bardzo Lorkę, bo jej ojca kradły; kilka razy mu wymawiała, że więcej handlu niż jej pilnuje, i prosiła Pana Boga, żeby co prędzej przyszła zima i żeby się tatko tak włóczyć nie mógł.

Pan Salomon i na chmurną twarz Arona, i na córki kaprysy nie zważał... Wreszcie nadeszła i ta pożądana zima, kry płynąć zaczęły, potem rzeka choć stanęła, lecz brzegi oparzeliste z trudnością ją przejść dozwalały, zamiecie były straszne, śnieg pozawiewał ścieżki i drogi... wycieczki pana Dobka ustały... Co większa, sam Salomon osmutniał jakoś i nie szukał środków dostawania się potajemnie do Smołochowa, jakby stosunki te chciał gwałtownie przerwać. Co tam zaszło? nie wiadomo, lecz coś pewnie zajść musiało, gdyż pan Salomon wziął się na nowo do pracy z przymusową gorliwością... częściej począł do córki chodzić, dłużej u niej przesiadywać i wracać do dawnego życia trybu...

Kilka razy Eljasz mu z miasteczka przynosił listy jakieś i oddawał potajemnie, na które Dobek mówił gniewnie: „Powiedz, że nie ma żadnej odpowiedzi.”

Jednego dnia, gdy to już kilka tygodni tak trwało, przyszedł Aron Lewi weselszy niż od dawna bywał. Zaczęli mówić o interesach, o tem i owem, jakoś poufniej, po staremu...

— Otóż to tak, rzekł Żyd: to ja jegomości lubię... at! trzeba było dawno porzucić.

— Co? co porzucić?

— Ach! niby pan tego nie wiesz!... a no dość, że my się rozumiemy... to był kiepski interes...

Zmilczał pan Dobek...

— Jeszcze to nie koniec, szepnął Aron: oni będą szturmowali, a niech się jegomość tylko dobrze trzyma...

— Gadasz zagadkami! zawołał Salomon. Kto, co, po co ma szturmować?

Aron więcej mówić nie chciał...

Dni zimowe krótkie; ledwie wstali od stołu... Eljasz przybiegł oznajmić, że jakiś jegomość przyjechał, i że domaga się widzieć na osobności z panem Salomonem.

Dobek się spytał jak wygląda? i trochę niespokojny na dół do izby przy swojej kancelarii kazał prosić. Rzadko tam kogo przyjmował. Zszedł ze schodów chmurny bardzo... posępny... chwiejąc się na nogach... zatrzymując w pochodzie, zdając namyślać, rozmyślać... lecz zwłoki te na nic się nie przydały... trzeba było stawić czoło natrętowi. Dobek wszedł.

Naprzeciwko drzwi stał niezmiernie wyszamerowany i cały przybrany w kutasy i sznury pan rotmistrz Poręba, oparty na pałaszu, z miną uśmiechniętą i złośliwą...

— Pan dobrodziej pewnie się mnie tu nie spodziewał, rzekł kłaniając się, i nie byłbym go inkomodował w tem ustroniu, gdyby nie familijny obowiązek...

Pan Salomon nic mówiąc nic, prosił siedzieć; błąd był bardzo i widocznie pomieszany.

— Oto tak, kochane panisko moje, kończył Poręba; trzeba, żebyś się raz zdecydował... dłużej tak trwać nie może... Rozumiesz mnie pan... Bywało się sobie, bywało ukradkiem u młodej wdówki... bardzo to miła rzecz, ale na kobiercu się skończyć musi. Na to nie ma rady! Ludzie będą o tem... kobieta na sławie i reputacji zgubiona! Ja jako najbliższy krewny, wzywam acana dobrodzieja... albo mi się żeń... i to zaraz a nie, to się bij... bo w łeb strzelę!

Porwał się z siedzenia przy ostatnich słowach rotmistrza i furję okrutną udał, jak się zdaje... bystrzejsze oko byłoby dostrzegło, że komedję grał, i to jeszcze dosyć niezgrabnie. Widocznie przybył z lekcją wyuczoną, pewien skutku...

Pan Salomon podniósł głowę, dosyć strwożony.

— Panie rotmistrzu, rzekł; ciszej proszę, i powoli... rozmówimy się... tylko... spokojnie.

Poręba siadł, obie ręce na kolanach położył.

— Słucham jegomości, rzekł, słucham.

Dobek namyślał się czas jakiś.

— Właściwie, zagadnął, o cóż to chodzi? ja dobrze nie rozumiem...

— Jakto! asindziej nie rozumiesz? nie rozumiesz? a to coś paradnego! krzyknął rotmistrz. Bywasz waćpan w Smołochowie u Sabinki, bywasz, jeździsz... w tem nagle, ani z tego, ani z owego, przestajesz.

— Za pozwoleniem, rzekł Dobek: są pewne okoliczności...

— Rozumiem, nagadano waćpanu trzy po trzy...

— Z nikim o tem nie gadam...

— Dla czegożeś asindziej bywać przestał? zagadnął rotmistrz.

— Lecz czyżem się terminalnie do bywania zobowiązał?

Poręba oczy wytrzeszczył.

— Aleś się waćpan widocznie rozpoczął starać o Sabinkę?

— Za pozwoleniem, rzekł Dobek: o tem staraniu oficjalnie mowy nie było!

— E! to ty mi tak, po jurystowsku myślisz się wykręcać! fiu! fiu! przerwał rotmistrz... Siedziałeś godzinami przy kobiecie, prawileś jej słodycze na ucho, ścisakaś za rączki... niewiasta nieszczęśliwa przyłgnęła sercem do jegomości, a ty chcesz młynka wywinąć?

— Za stary ja jestem, mruknął Salomon, żebym wywijał młynki. Jejmość pani Noskowej formalniem się nie oświadczał, żadnego zobowiązania nie ma, po cóż się asindziej między nas mieszasz?..

— Z obowiązku najbliższego krewnego, zawołał Poręba; a daję szyję, że mi się tu asindziej nie wywiniesz tak sianem.

Dobek ramionami ruszył.

— A któż się tu myśli wywijać? rzekł... i po co asindziej nie proszony grasz rolę pośrednika?

Odetchnął nieco...

— Waćpaństwo mnie nie rozumiecie... mówił ciszej: ja mam wiele domowych okoliczności, na które względ mieć muszę... Wszystko się wyjaśni... ale ja potrzebuję czasu... potrzebuję czasu... Mam dziecię w domu... interesa... okoliczności.

Rotmistrz słuchał i coś mu to snadź nie było jasne.

— Ale my, mości dobrodzieju, zawołał, my znowu tak w niepewności na łaskę i zmiłowanie wasze czekać nie możemy. Sabinka sobie innego przecie wynaleźćby potrafiła... znalazłby się niejeden... Ja się temi obietnicami jakimiś, ogólnikami kontentować nie mogę... Ja tu po to przyjechałem, abym ostatecznie z waszmością skończył. Żenisz się? to gadajmy kiedy i jak? Nie, to się bij. Nie chcesz? w łep palę, jak mi Bóg miły...

Dobek ścisnął plecami i potarł łysinę niecierpliwie...

— A to skaranie Boże! taka gorączka! zawołał. Dla czegoż mi nóż na gardło kładzecie, kiedy to... i bez niegoby się zrobiło...

— Kiedyż? no — naznaczcie termin, będziemy czekali...

Pan Salomon przeszedł się po izbie niespokojnie.

— Ja, ja terminu oznaczyć nie mogę, ja kocham moje dziecko i chcę mu oszczędzić przykrości, bo wiem, że na tem będzie cierpiało... Muszę czekać.

— A zatem, podchwycił żywo Poręba, słowo dajesz, i idzie tylko o poczekanie.

— Jakie słowo? przelękły oburzył się Dobek: nigdy nikomu słowa żadnego nie dawałem...

— Jakto? wymawiasz się tylko córką? zatem...

— Daj mi asindziej pokój, rzekł Dobek chmurno: kto was prosił, żebyś się w to wdawał?

— Kto? pani Noskowa! Przestałaś waćpan bywać, nie napisałaś ani razu, to daje do myślenia, my z siebie żartować nie pozwolimy.

— Pani Noskowa? spytał Dobek: ona mi nie wierzy i was prosiła?

— Prosiła czy nie, to moja powinność i kwita! przerwał Poręba; ja się wam tłómaczyć z tego nie mam obowiązku. Ja ztąd nie ruszę krokiem, dopóki rzecz się nie wyjaśni i nie skończy... Asindziej determinacji nie masz, babom ulegasz, panem w domu nie jesteś... nie umiesz się sam ratować, więc ja ci przyjdę w pomoc...

Pan Salomon zbladł jak ściana i pochwycił rotmistrza za rękę.

— Cicho! cicho! co to za gadanie!.. na miłość bożą... cicho.

Rzucił wnet Porębę zdziwionego nieco i mocno poruszony począł znowu szybkimi krokami chodzić po izbie... namyślając się. Poręba patrzył nań, ściagał go wzrokiem i w końcu milczeniem zniecierpliwiony, zawołał:

— Co asindziej tam medytujesz?... Posłuchaj oto dobrej rady, skończymy wszystko... Idzie ci o to, ażebyś córkę przygotował? czasu ci trzeba? nie śmiesz się odezwać?... Mniejsza o to... daj na piśmie cyrograf, że żenić się przyrzekasz... Sabinka poczeka... ale termin naznaczyć potrzeba.

Chcesz jeszcze lepiej zrobić? he? Ja ci księdza sprowadzę, indult dostanę, kaplicę ubiorę... przygotuję tak, że o nic cię głowa nie zaboli... weźmiecie ślub sekretnie, nikt o tem wiedzieć nie będzie... Przyjedziesz sobie do Smołochowa do żonki, gdy ci się podoba, a jak twoja godzina wybije, to ją do domu własnego sprowadzisz...

Hm? cóż?

Rotmistrz mówił i patrzył, jakie uczyni wrażenie. Dobek stawał, słuchał i chodził znowu, a był wzburzony i nie wiedział co począć. Widać na nim było ciężką walkę, którą sam z sobą odbywał.

Machnął w końcu ręką i rzekł:

— Wracaj asindziej zkądś przybył, ja tam jutro przyjadę, pogadamy z jejmością...

— E! nie! kochanku! nie! trzęsąc głową rzekł Poręba: z tego nic nie będzie! Ty mi jutro możesz dmuchnąć albo się gdzie skryć, albo jakiego figła uciąć, nie!.. Powiedziałem raz: nie ruszam ztąd, aż targu dobijemy...

— Więc mnie acaństwo zmuszać myślicie? he? krzyknął prawie gniewnie Dobek odwracając się.

— To asindziej nas zmusiłeś, że my go zmuszać musimy! śmiejąc się zawołał rotmistrz, rzeczy stoją tak, że żenić się albo bić, jedno z dwojga...

— Zostawcież mnie przecie jak i kiedy... Poręba trząsał głową. Odłożył ślubowiny do Józefatowej doliny, rzekł, Asindziej sam mi będziesz dziękował, że ja tak postępuję... to dla jego własnego dobra... Od tego com powiedział nie odstępuję...

— Przyjędz jutro, szepnął posępnie Dobek... jutro... ja potrzebuję czasu...

— O co chodzi? ja sobie u was przenocuję i pofolguję do jutra... ale z załogi na zamku nie ustąpię...

Przestraszone oczy zwrócił nań Salomon... Nie było ratunku. Co się w tej chwili działo w jego duszy, nie wiem czy on sam jasno mógł wyczytać... Chciał i nie chciał, pragnął i lękał się, ogrom kłopotów, jakich miał sobie przysporzyć, stawał mu przed oczyma.. Szczęście, o które się dobijał, za drogie dlań było, lecz szczęście to i dola trzymały go za gardło! Cofnąć się nie było dokąd... rotmistrz snadź, że mu się nic napić nie dano, bębnił palcami po stole, obejrzał się wkoło i przebąknął:

— Wszystko tu u asindzieja bardzo dobre, ale czy wina ani miodu nawet dla gości nie ma? he?

Ocknął się dopiero pan Salomon, pobiegł do szafki, dobył butelkę omszoną, kieliszek, i postawił je roztargniony przed rotmistrzem, a sam znowu chodzić począł.

Poręba popatrzał na butelczynę, na szkło, pokiwał głową, ale ich nie tknął.

— Cóż to jest? spytał, przyjmujesz mnie jak posłańca? co? Myślisz, że ja sam będę pił? Cóż to za obyczaj u kroćset tysięcy...

Salomon zwrócił się ku szafie posłuszny, wydobył kieliszek drugi, nalał milcząc oba, stuknął swoim o kieliszek rotmistrza, kiwnął głową i wino przyłożywszy zaledwie do ust postawił go na stole. Nagle oczy mu pojaśniały, twarz się nieco rozchmurzyła, wziął stołek i przysunął się do Poręby, kładąc mu rękę na kolanach... Głos, który mu się z piersi dobył, słaby i wątpy był... a drżący.

— Posłuchaj mnie panie rotmistrzu Porębo, posłuchaj, żałować tego nie będziesz, ale cierpliwie do końca. Zostaw asindziej moje interesa mnie i pani Noskowej, proszę, jedź sobie do domu, a... na drogę...

Tu schylił mu się do ucha i dokończył tak cicho, że dosłyszeć nie było można. Poręba się nie obraził wcale, owszem jakoś mu to dobry uczyniło skutek, napił się wina kieliszek, postawił i ton zmienił.

— Mówisz rozumnie, odpowiedział, dalibóg rozumnie. Niechby sobie i tak było... ale braciszku! *verbum nobile*, o tem ani słowa nikomu, pani Noskowej też... Boć ona mi do zrozumienia dała, abym nalegał. Powiem jej *simpliciter*, że mi się nie udało...

Nalał sobie drugi wina kieliszek...

— Ręka rękę myje... ja cię kocham mój panie Salomonie, a ty masz rozum i pieniądze... Dalipan! Zatem *dictum, factum*, a coś przyrzekł... na stół, i *motus*.

Dobek dobył z kieszeni woreczka już snadź gotowego i na dłoni go Porębie położył. Ten zważył go tylko, spojrzął Salomonowi w oczy.

— Widzisz, liczyć nie będę, spuszczam się na ciebie, biorę jak dajesz, Bóg ci zapłać... Pojutrze ruszam do domu... ale *motus!* sza!

Trzeci wina kieliszek nalawszy, wychylił go szybko, wdział losiowe rękawiczki, rozprostował się i przyszedł pana Salomona ścisnąć, co tamtemu niezbyt przyjemnym być musiało, lecz zniósł cierpliwie dowody affektu...

— Masz rozum bracie, ja ci rady nie potrzebuję dawać... Bywajże mi zdrów i szczęśliwy!

Całował jeszcze aż do progu, a Dobek go i za próg wyprowadził, i oczyma ścigał odchodzącego, a wróciwszy do izby, padł na krzesło, czoło w dłoń kryjąc zafrasowany...

Gdy wieczorem potem poszedł na górę do córki, i ona i ciocia Henau poznały, iż go coś zgryźć musiało; stary złożył to na ból głowy i trochę niezdrówia... Późno w noc przywołał do siebie Eliasza i kazał mu wysłać pewnego do Smołochowa, któryby dał potajemnie znać, gdy rotmistrz wyjedzie... Czekał na tę wiadomość niecierpliwie do trzeciego dnia... aż Eliasz oznajmił, że Poręba istotnie zabrawszy pakunki swe do domu wyruszył...

Stary wolniej odetchnął...

Zima w tym roku była śnieżna i sanna kopna, a w tych lasach, gdzie rzadko się kto lekkimi płozami przesunął po drwa chyba, dróg prawie nie widać było. Do Borowiec nikt a nikt nie przybywał, nikt też ztąd oprócz Aronowych posłańców do miasta nie wyjeżdżał... Dobek powrócił do swych regestrów i swojego życia trybu... gdy jednego dnia przechodząc mimo okna, spojrzawszy w nie wypadkiem, spostrzegł sanie porządne, zaprzężone trzema końmi w szpice jeden za drugim, wprost do zamku dążące. Stał jak wryty... na saniach siedziała kobieta... domyślił się swej wdowy...

Wiedział jak jej Lorka nie lubiła i co za kłopot gotował mu się w domu... lecz jakże jej było nie przyjąć lub odprawić? Eliasz stojący w bramie wbiegł natychmiast z oznajmieniem do pana, który poruszony bardzo, nie na górę do parlatorjum, ale pod pozorem, że tu było cieplej, do swoich pokojów prosić kazał... Już w przedpokoju słychać było otrępywanie ze śniegu i głosy żwawy pani Noskowej. Salomon sam drzwi zapraszając otworzył. Wdówka choć po podróznemu przystrojona była jak się to na łowy jedzie... Twarzyczce wiatr ostry w drodze dodał różu... oczka błyszczwały, usta się uśmiechały. Suknia leżała jak ulana... nawet czarny watowany kwefik na głowie z sobolową czapeczką był jej cudnie do twarzy.

Wskoczyła do smętnej izby pana Salomona, oglądając się śmiało, i podała mu rękę do pocałowania.

— Cóż to! asindziej mnie tu na dole jak ekonoma myślisz przyjmować? zapytała... i główką kręcić dziwnie poczęła...

— Wszakże my się tu wygodnie (bo to tu cieplej i zaciszniej) rozmówić możemy, rzekł cicho Dobek.

Eliasz już był wyszedł, zostali sami, pan Salomon się obejrzał, zarumienił, rękę cofniętą zbliżył do ust znowu i dość bezwstydnie całować i smoktać ją zaczął, aż pani Noskowa wyrwała...

— Dość już tych fałszywych karesów, rzekła; mamy się rozmówić. Asindziej nie raczyłeś do mnie, musiałam ja do niego...

Stała w środku pokoju, wzięła się w boki i zawołała:

— Słuchajże, Dobku, ty niepoczciwy, dopóki ty mnie tak wodzić i zwodzić będziesz? Rotmistrza namówiłeś pono, żeby precz jechał... a ja tam na pustyni mam siedzieć i czekać, aż jegomość się naostatek zdecyduje i raczy mnie uszczęśliwić...

Wielce zmieszany gospodarz kręcił się, to włosy trąć, to ręce, to nogami szastając... wdowa patrzyła nań z góry...

— Kochanie moje... królowo... odezwał się ręce składając, a no, posłuchaj i miej trochę cierpliwości... O cóż idzie?

— Żebyś mnie nie zwodził, odparła Noskowa. To bałamuctwo jest! Córki się boisz! ludzkiego gadania się boisz, lichy tam wie czego się boisz jeszcze, a nie lękasz się mnie...

Dobra ja jestem, mówiła chodząc po pokoju i w zwierciadle poprawiając włosy, ale wreszcie nie tak głupia jak się asindziejowi zdaje... Było na wszystko czasu dosyć... Cóż się tam tej dziewczynie stanie? Nie zjem ci jej przecie... domu do góry nogami nie wywrócę...

— Moja królówko, cicho! cicho! składając ręce odezwał się Dobek.... jak mi Pan Bóg miły... głowę tracę..

— Ty jej nie masz i tak! impetycznie przerwała wdowa. Czego będziesz ceremonie robił? Cóż to ty wyrostek jesteś na opiece, nie masz swej woli? Córka tobą rządzi nie ty nią?

Salomon padł na krzesło i oczy zakrył z wyrazem rozpaczliwym.

— Przybyłam to raz skończyć; nie umiesz sam... to moja rzecz?.. Gdzie dla mnie pokój gościnny?

Na to zapytanie stary struchlał i tak się zmieszał, że odpowiedzi wyjęknąć nie mógł.

— Jak się na służbę dzwoni? spytała...

Dobek nie umiał nic odrzec. Noskowa spojrzała nań pogardliwie, poszła śmiało do progu, otworzyła drzwi, wyjrzała. Eliasz stał na szczęście o parę kroków, ale jak z krzyża zdjęty.

— Słuchaj-no, ty, stary! zawołała, chodź-no tu, proszę!

Powlókł się mrużąc biedny.

— Macie pokoje dla gości? opalane? zapytała...

— Ja bez jegomości samego i jego rozkazu nic nie wiem, mruknął posepnie Eliasz.

Wdowa popatrzała na niego; ruszyła pogardliwie głową.

— Chodź aspan tu, rzekła.

Poprowadziła go przed Dobka...

— Pytam się czy jest pokój gościnny i czy opalany? Odpowiadajcież we dwóch, kiedy pojedynczo gadać nie umiecie.

Dobek i Eliasz popatrzała się smutnie na siebie, a z oczu ostatniego znać było, jakby się w nim z gniewu zagotowało.

— Pokój gościnny, pokój gościnny! mruknął Salomon, ale u nas goście nie bywali nigdy... gdzież pokój gościnny?

— Nie ma! no, to niech się kto z domowych wyniesie, a przecież ja tu przenocować gdzie znajdę...

Ręką odprawiła służącego.

— Proszę żeby mi było ciepło!

Na zegar spojrzawszy, zobaczyła jejmość dochodzącą godzinę trzecią z południa.

— Pójdziemy na górę, rzekła; muszę przecie tego waszego gagacika poznać i przybliżyć się do niego, kiedy z sobą pod jednym dachem żyć mamy...

Drżał nieszczęśliwy Dobek... nie mógł otworzyć ust, ręce łamał, rzucał się, na co bynajmniej piękna wdowa zważać się nie zdawała... Uśmiechała się raźnie.

— No, raz przecie trzeba te lody przebić, rzekła; nic nie pomoże zwlekanie. Acan się ze mną żenić przyrzekłeś, a ja na łaskę córki czekać nie będę... Chodź na górę...

Podala mu rękę; jak skazany na śmierć poszedł pan Salomon.

Zaprowadził ją do parlatorjum najprzód, tu zaś zimną, gdy nikt nie bywał z gości, a z domowych siedzieć nie lubił nikt w ponurej izbie, nie opalano przez oszczędność, zimno więc było jak na dworze i innego schronienia znaleźć nie mogli tylko w pokoikach Laury. Wdowa musiała wcześniej znać rozporządzenie domu, bo prosto zwróciła się ku drzwiom do nich wiodącym... Szedł z nią nieszczęśliwy ojciec błądy i pomieszany jak na ścięcie... Z za drzwi dolatywał dźwięk fortepjanu... Laura śpiewała Mozarta piosnkę o Fiolku i przygrywała sobie na klawicymbale...

Gdy się drzwi otworzyły, odwróciła głowę, zobaczyła najprzód tę twarz, która się jej śniła ciągle upiorem i przeraźliwie krzyknęła. Ręce jej opadły na klawisze... przechyliła się na poręcz krzesła... oczy skierowała ku przychodzącej i została w tej postawie nieporuszona.

Wdowa się tem nie zmieszała wcale; przestąpiła próg z ironicznym uśmiechem, obejrzała się ciekawie, skinęła głową siedzącej na przywitanie i zawołała tylko:

— A! jak to tu u panienki ładnie! co to tu różnych drogocennych zabawek!

Dostrzegłszy ojca, który sunął się za panią Noskową, Lorka to na niego z zapytaniem, z wymówką, to na natrętnego gościa poczęła z dumą się oglądać... Nareszcie wstała...

Wdowa oczyma już krzesła sobie szukała.

— Dziwisz się, moja panienko, zapewne, rzekła spokojnie, że ja tu tak poufale wchodziłam... Niechże to asindzce ojciec wytłómaczy... jeśli do tej pory nie mówił jej o tem...

Lorka oglądała się coraz bardziej strwożona.

— Nie mówił? zapytała; widzę, że nie śmiał, wstydził się nieboraczek... ha! ha! Pan Salomon Dobek ma się zemną żenić, moja panienko, jestem jego narzeczoną.

Dygnęła nisko, śmiejąc się.

— No tak, tak, nie ma co z tego czynić tajemnicy, bo czy to się jejmościance podoba czy nie, a trudno żeby się podobało... to się stać musi. Mam jegomości słowo... tego się nie zaprze.

Dygnęła jeszcze raz i wzięwszy krzesło zabierała się usiąść. Dobek milczał... Na twarzy córki to trupia występowała bladłość, to rumieńce płomieniste, brwi się zmarszczyły, wargi zadrgały...

Spojrzała na strwożonego ojca i nie mogła wątpić, że to co ta kobieta mówiła, było prawdą... Długo zdumiona, oburzona, przelękała słowa znaleźć nie mogła; lecz energiczna jej natura zwolna zaczynała odzyskiwać władzę nad sobą... Drżała jeszcze cała, a myśl oswoiła się z tem nieszczęściem, którego miała jakby sen i przeczucie. Od pierwszego niemal słowa, wyzywająco i nieprzyjacielsko stawiała jej się kobieta, która święte, słodkie imię matki przybrać miała... Pierwsze słowo Lorki stanowiło o stosunku ich do siebie... o całej może przyszłości spokoju domowego... Dziewczę zrozumiało to... zawahało się. Oczy czarne pani Noskowej badały ją i zdawały się wyzywać... Milczała długo... nareszcie z piersi dobyło się westchnienie ciężkie, pohamowała się Lorka.

— W istocie, odezwała się chłodno Lorka, patrząc na ojca: od kochanego mego tatka mogłam się spodziewać pierwszej wiadomości o tem jego postanowieniu.... lecz... gdy się to tak dziwnie złożyło...

W tem łzy, które rzuciły się jej do powiek nagle i z wezbranych wytrysły, nie dały dokończyć; z krzykiem i jękiem cofnęła się Laura ku swojemu krzesłu. Ojciec zapomniawszy o wdowie, pobiegł za nią obejmując, ściskając i pieszczotliwemi kojąc słowy.

— Dziecię moje drogie! Lorko kochana, uspokój się! zaklinam! Tyś u mnie zawsze najdroższa... ty masz całe serce moje... Przystań płakać, rozdzierasz mnie tym jękiem... uspokój się...

— Ale dałbyś asindziej pokój... przerwała głośno i gniewnie trochę Noskowa. Cóż to znówu? Czy tak wielkie nieszczęście dla jejmościanki, że się zemną żenisz?.. Mogłabym się obrazić temi łzami. Waćpannabyś mi dziękować powinna, że ojcu jej szczęście przynoszę i młode lata moje dla niego poświęcam... Otoż to wdzięczność!

A po chwili dodała niecierpliwie:

— A dosyćże już tych czułości! co się wam stanie! Przecie was nie pozjadam!

Wyrazy te zamiast ukoić Laurę, zdawały się ją drażnić więcej jeszcze, i nie słuchając dłużej, wybiegła do drugiego pokoju, drzwi zatraskując za sobą. Dobek został jak winowajca upokorzony i nieszczęśliwy; jemu także łzy się kręciły w oczach, a wdowa sucho się śmiała...

Oczy jej korzystały z czasu i rozpatrywały się w miłym pokoju Laury.

— Jak to tu u niej ślicznie! zawołała; co to za gniazdeczko jej usłałeś!... A no, spodziewam się, że mnie też gorzej nie będzie... ani mniej ładnie.

Zaczęła się przechadzać z kolei, chwytając i rzucając co napadła, zaglądając po kątkach, rozpatrując się w nieznanach sprzętach i kosztownych gracikach... Na jej twarzy najmniejszego nie znać było wzruszenia; czuła się już panią tego domu samowładną; gospodarz nie śmiał jej nic powiedzieć...

Laura wybiegłszy zapłakana, rzuciła się wprost do sypialni cioci Henau i padła szlochając na jej ramiona.. za łzami nic nie mogąc wymówić. Panna Fryderyka, która o niczem nie wiedziała, przestraszyła się tak prawie jak ona, gdyż nieszczęście jakieś było widoczne, a domyślić się nie umiała, czem w istocie groziło. Lorka często rozplakiwała się dla najmniejszej rzeczy, ale tym razem płacz jej i jęk był przerażający. Napróżno panna Henau pytała, Laura leżąc na ramieniu, ściskając ją, słowa wyrzec nie mogła, powtarzała tylko jedno:

— Ona! ona!

Ukoila się wreszcie i podniosła z namarszczonemi groźnie brwiami.

— Nie wiecie nic, odezwała się na drzwi swego mieszkania wskazując: tam, tam jest ta kobieta, z którą ojciec się żeni! Sama mi to powiedziała przy nim. Więc to jest prawda! A! gdybyś widziała ten wzrok upiora... gdybyś słyszała ten głos już rozkazujący...

— Na Boga! któż to jest? kto taki? zapytała panna Henau.
— Ta, ta, ten upiór, co mi się ukazał w salce przed kilku miesiącami! A! wiem teraz dla czego wydała mi się tak straszna...

— I pan Salomon jest z nią?..

— Tam, u mnie! ale ja tam nie pójdę! niech się dzieje co chce... ja tej kobiety cierpieć nie mogę...

Ciocia Henau usiłując uspokoić nieszczęśliwą Laurę, sama przeleżała się i rozplakała. Widziała raz tylko krótko tę kobietę, i na niej ona uczyniła przykre jakieś wrażenie. Kiedyż, pomyślała, jakim sposobem stać się to mogło, tak potajemnie i skrycie? Jakie z tego następstwa? co się z Lorką stanie?

Znając wychowanicę swoją od dzieciństwa, charakter jej gwałtowny i rozpieszczenie ojcowskie, domyślać się mogła łatwo, iż od chwili przybycia tej kobiety pod dach Borowiec, rozpocząć się musi walka i męka straszliwa...

Piorun więc uderzył nagle i zburzył spokojne ich gniazdo.

Dwie kobiety płakały w kątku przytulone do siebie, lecz już z za-łez Lorki gniew i oburzenie tryskało... Zacięte jej usta i iskrzące się oczy zdały się wywoływać wojnę...

Ciocia Henau, znając przywiązanie do córki pana Salomona, spodziewała się jego przyjścia; omyliła jednak na tem. Dobek chciał iść, nie puściła go Sabina.

— Niech się sobie wypłacze pieszczotka, rzekła, niech wydaś! dać jej pokój. Asindziej myśl gdzie mnie ulokujesz... bo ja ztąd nie pojedę... A proszę zaraz posłać po księdza kanonika... pogadamy z nim, żeby mi ze ślubem nie zwłóczył...

Zobaczywszy strapioną twarz pana Salomona i jakieś namysły, pomiarkowała piękna pani, że się może za gorąco wzięła i że jeszcze go nieco przed ślubem potrzebowała przynęcić i ulagodzić. Zbliżyła się więc ze słodkim wejrzeniem i atlasową rączką poczęła głaskać pod brodę...

— Niech-no się jegomość nie frasuje, będzie wszystko dobrze, odezwała się; będziesz asindziej szczęśliwy... jak w raj? A cóż w świecie bez trudności przychodzi? Nie lękaj się, ja dla dziecka będę dobrą... Pieścić do zbytku nie zdrowo... ale krzywdzić jej nie trzeba.

To mówiąc, słodki znowu przybrała głosek, i tak się potrafiła przymilić staremu, że go wreszcie ukołysała.

— Przecież gościem jestem... rzekła, zakrzătniejże się, abym miała gdzie spocząć i co zjeść... a poszlij po księdza kanonika... bardzo proszę...

Dobek musiał być posłuszny... Skoczył zaraz chłopak z prośbą do księdza Żagła, aby przybył do dworu. Nigdy się to nie trafiało, by go tu zapraszano... zdziwił się więc niezmiernie usłyszawszy wezwanie.

— A to tam co się stało? zapytał składając brewiarz...

Chłopak nie umiał nic więcej odpowiedzieć, prócz, że pani jakaś przyjechała.

— Ze Smołochowa? zapytał kanonik.

— A tak...

Rzeczy były jasne. Dosyć rad tej nowej konjunkturze, ksiądz Żagiel włożył kożuszek i poszedł do zamku...

Jejmość była ciągle jeszcze w pokoju Lorki, bo dwa dla niej z drugiej strony salki mieszczące się dopiero urządzano.

Dobek siedział na posługach i rozkazach u jejmości. Ksiądz Żagiel wchodząc zaraz objął i zrozumiał jak tu rzeczy stały... Przywitał się grzecznie i usiadł. Gospodarz milczał...

— Myśmy tu księdza kanonika z panem Dobkiem razem wezwali, odezwała się Noskowa, abyś jegomość dobrodziej radził nam. Pan Salomon chce się żenić zemną... kiedyż nam ksiądz kanonik ślub da, żeby nie nudzić?..

Ksiądz Żagiel rozpatrywał twarze... Spojrzał na Salomona, potem na nią: nie ulegało wątpliwości, że ster rządów już był w rękach pani.

— Wątpię, żeby to tak prędko się zrobić dało, odezwał się cedząc wyrazy... wedle formy... trzeba ogłosić zapowiedzi... W każdym razie ze trzy tygodnie...

— A! niech Bóg uchowa! przerwała jejmość: pan Dobek radby to jak najrychlej ułatwić, żeby raz ludziom złośliwe zamknąć gęby, ja także... Toć to przecie sposoby są na to... choćby prawo... było... aby prawo wyminąć! Dla kollatora, dla ludzi znajomych... gdzie pokrewieństwa... supozycyj być nie może... choćbyś jegomość trochę zwolnił z surowości... wielkiego nie popełnisz grzechu...

Dobek tylko patrzył.

— A kiedyżbyście państwo chcieli ten ślub wziąć?... zapytał ksiądz Żagiel.

— Kiedy? mój ojciec, śmiejąc się dodała wdowa... żeby się tą niepewnością sytuacji pan Dobek nie męczył, mnie się zdaje co najrychlej, to najlepiej... Po co tu zapowiedzi? a gdyby kto z nas zachorował i zażądał ślubu, toczyście musieli dać... Cóż my to dziś mamy?

— Piątek? rzekł kanonik.

— Więc w niedzielę? odezwała się pani Noskowa... W niedzielę! Tak, mój księżuniu... zapowiedzi sobie później wyjdą.

Ksiądz się uśmiechnął tylko.

— Wiesz asindziej co? dodała Noskowa: na kościele dach popsuty, pan Dobek mi mówił, że gdybyście mu ślub przyspieszyli... gotówby pokryć swym kosztem. Toż dla dobra kościoła rozgrzeszyć się możecie. W tym kącie zapadłym... kto tam o zapowiedziach ma wiedzieć!

— Wszelako! rzekł ksiądz Żagiel...

— Ale dach na kościele! wołała wdowa: dach na kościele... pan Dobek da gonty, gwoździe i robotnika... grosza was kosztować nie będzie.

— Chcecie mnie państwo przekupić! począł ksiądz Żagiel uśmiechając się: to źle. Prawda, że dach Panu Bogu dacie nie mnie... Nie dla dachu też, ale dla tego, bym dowiódł państwu mej życzliwości, choć się może na cenzury narażę... dam państwu ślub w niedzielę. Są wypadki, w których kościół od surowości przepisów odstępuje, szczególnie dla osób znanych a ku sprawie jego gorliwych.

Wdowa podbiegła aż pocałowała księdza w rękę. Dobek, który dając jej mówić za siebie, nie odzywał się wcale, podniósł się także mruczając coś niewyraźnego i pokłonił się.

— Ksiądz kanonik wielką nam czynisz łaskę, odezwała się Noskowa... za którą będziemy się starali wywdzięczyc. Przynajmniej ja tu już w fałszywej pozycji nie będę... i raz się wszystko skończy... Wesela wyprawiać nie potrzebujemy, wdowiec z wdową... pobierzemy się za ręce... pójdziemy po błogosławieństwo i... koniec.

Klasnęła w rękę.

— Tylko się państwo jutro wypowiedacie, dorzucił kanonik dobitnie, obracając ku Dobkowi milczącemu ciągle. Potem ją mogę nawet przyjąć tu sam z błogosławieństwem. W kościele zimno i wieje... odbędziemy tu w izbie...

Tak w krótkich słowach skończyły się układy szczęśliwie. Dobek do końca wytrzymał, nic wyraźnego nie rzekłszy, a gdy ksiądz się pożegnał, wyprowadził go do schodów.

Kanonik uściskał kollatora.

— Dobrze waćpan czynisz, rzekł: słuszną jest rzecz ślubować komu Pan Bóg nie dał w naszym kapłańskim stanie żyć... Jejmość pracowita, rozsądna, bogobojna, dla kościoła gorliwa... przyniesie panu pociechę i błogosławieństwo... Zbliźcie się do ludzi, którym pożyteczni być możecie...

Wysłuchał tego kazania pan Salomon, skłonił się i powrócił do jejmości, która w mieszkaniu Lory pod jej nieobecności jak w swoim gospodarowała.

Laura ukrywając się w pokoju cioci Henau, nie myślała wracać tam, gdzieby się z tą kobietą spotkać mogła. Najprzykrejsze było położenie Dobka, który między tą przyszłą żoną a kochanym dziecieniem rozdarty na dwoje, nie wiedział do której iść, której z nich służyć — i jak sobie postąpić, ażeby doprowadzić je do porozumienia i zgody. Znał nadto Lorkę, żeby się mógł spodziewać łatwego przejednania. Co się tycze przyszłej żony... najdziwniej sprzeczne znajdował uczucia w sercu: gwałtowną ku niej namiętność, a zarazem postrach jakiś i przeczucie złowrogie... Wiedział, że czynił źle zaślubiając ją, a powstrzymać się nie mógł, oprzeć się nie miał mocy. Kierowała nim, rzucała, zżymał się na ten despotyzm, który go zawstydział, upokarzał, oburzał chwilami, cofnąć się jednak było za późno. Aż dopóki izby dla pani Noskowej przygotowane nie zostały, przesiadła ona w mieszkaniu Laury i późno dosyć kazała się dopiero panu Salomonowi odprowadzić do przeznaczonych pokojów. Mimo starań o wygodne ich urządzenie, nie podobały się one od pierwszego wejrzenia Sabinie. Pomruczawszy coś, zapowiedziała, że nazajutrz dom musi obejść i inaczej się w nim rozgospodarować. Dobek jeszcze i na to nie odpowiedział ani słowa. Dosyć późną godziną puściła go wreszcie od siebie. Rozmyśliwszy się w progu, stary nie chciał odkładać do jutra widzenia z córką. Poszedł więc do niej,

ale w tych miluchnych jej pokoikach nie znalazł Lorki. Siedziała dotąd u cioci Henau w obawie spotkania się z *widmem*, bo tak nazywała przyszłą macochę.

Do drzwi cioci zaszukać musiał nie śmiało Dobek, prosząc aby go wpuszczono. Obie kobiety nie spały; Laura siedziała nad rozłożoną Biblią z rozpuszczonymi włosami, obiema rękami podparszy śliczną główkę, z oczu jej ciche łzy spadały. Zobaczywszy ojca wstała spokojna i poważna, lecz nie tak czuła i pieszczotliwa jak niegdyś, prawie onieśmielona.

Salomon zbliżył się ku niej drżący.

— Moje dziecko, uspokoiłaś się?

— Jestem spokojna, odezwała się Laura.

— Gniewasz się na mnie?

— Na ciebie, kochany ojcze? o! nie! gniewam się na tę kobietę, która szczęście nasze, moje porywa nam, gwałtem się cisnąc w rodzinę, chcąc kosztem naszym żyć... krwią i łzami naszymi.

— Lorko, cicho! co mówisz...

— O! tej nigdy nie daruję! dokończyła porywczco Laura.

— Przekonasz się, gdy ochłoniesz, rzekł Dobek; ona zła nie jest, ona ci będzie matką!

— Nigdy! krzyknęła Laura: niech mi tylko pozostanie obcą i nie mięsza się do mnie, o to jedno ją proszę.

— Dla mnie to uczyn! uspokój się! błagał Salomon.

— Jestem spokojna, będę spokojna, lecz proszę nie wymagać odemnie dla niej imienia matki, ani serca. Podstępnie pochwyciła mi com miała najdroższego, jedyny skarb mój — ojca! Tęgo jej nie przebaczę.

— Córkmo moja...

— Milczę, odezwała się Laura.

— Wracaj do siebie, połóż się, spocznij.

Na to nie było odpowiedzi. Ojciec się zbliżył do niej, pochwyciła go ściskając i płacząc, a powtarzając:

— Biedny ojciec, biedny ojciec!

Panna Henau i pan Salomon popłakali się w końcu wszyscy i tak w smutku rozstali.

VI

Rachował na to pan Salomon, że żal i niechęć Laury powoli przejdą, że ze swej strony uczyni coś pani Sabina dla pozyskania serca dziecięcia. Zostawało mu oprócz tej troski innych wiele...

Nazajutrz do dnia zjawił się Aron z wyrazem troski i niepokoju na twarzy. Wiedział o wszystkim, ale i o tem zarazem, że chcieć starego odwodzić i odradzać mu byłoby próżno. Stanął u drzwi, pokłonił się i odezwał:

— Spodziewam się, że jasny pan nie masz mi dotąd nic do zarzucenia; ja także wiele panu winienem, i zachowam dla niego wdzięczność. Dopóki jeszcze jesteśmy z sobą dobrze, należy się rozstać, żeby się serce całe zachowało; ono się jeszcze kiedyś przydać może. Ja już jestem stary, kawałek chleba mam dostateczny, handel chcę zdać na syna; przyszedłem podziękować jegomości i pożegnać.

Pan Dobek za rękę go chwycił.

— Cóż? i ty mnie chcesz porzucić?

— Uchowaj Boże, a no, już do handlu pomocnym i do interesów być nie mogę. To dla mnie za ciężko.

Spojrzeli na siebie.

— I ty Aronie, i ty! rzekł z wymówką pan Dobek.

— Nie może być inaczej, odezwał się lakonicznie Żyd.

— Wszyscyście przeciw niej uprzedzeni.

— Co nam do tego, jaśnie panie! rzekł Aron; ale wszystko ma swój koniec.

Pokłonił się. Salomon ujął rękę Żyda.

— Nie opuszczaj mnie, odezwał się; bądź mi jak byłeś przyjacielem. Nie chcesz interesów, do tego zmuszać cię nie mogę, ale dla czegobyśmy się rozstawać mieli?

— Dla czego? podchwycił Aron: a! bo tu przyjdą nowi ludzie i nowe rządy!

To mówiąc dobył pieniędzy z za pasa, odliczył należne na stole, prosił o pokwitowanie ogólne i mimo domagań się pana Dobka, niewzruszony w postanowieniu, pożegnawszy się, odszedł.

To rozstanie z powiernikiem przykre na panu Salomonie zrobiło wrażenie. Nie miał jednak czasu stękać, gdyż jejmość przysłała go prosić na górę. Była już ubrana i strojna, bo po swoją garderobę i pannę służącą posłała wczoraj jeszcze, i z rana oboje przybyli.

— Dzień dobry ci, panie Salomonie: odezwała się, rękę mu dając do pocałowania. Źle spałam, swąd był z pieca, a zimno. To dom do niczego, stary grat, potrzeba będzie zrzucić, a nowy sobie pobudować. Lecz nim to nastąpi, ja muszę mieć ludzkie mieszkanie, proszę mnie oprowadzić po domu, abym sobie wybrać mogła.

— Ale to ma nic tak pilnego! szepnął Dobek.

— Jakto? jutro przecież niedziela i ślub nasz, a ja, pani domu, w tem więzieniu miałabym pozostać?

Poszli więc, bo jejmości na żaden sposób sprzeciwić się nie było można. Dobek był tak obalamucony, iż sobie obiecywał, że później, później potrafi ją wziąć w kluby i tę samowolę zbyt dużą ograniczyć. Tymczasem w niczem opierać się jej nie śmiał. Poszli. Na górze oprócz trzech pokojów danych pani Noskowej, które trochę były przyciemne i niezbyt wesołe, znajdowało się parlatorjum, jadalnia niewielka, pokoje Laury i sypialnia panny Henau. Reszta służyła na składy i mieszkania kobiet i posługi. Raz i drugi opatrzywszy wszystkie zakątki, jejmość do parlatorjum wróciwszy oświadczyła, że najmilejby jej było zająć pokoje Laury i cioci Henau, a obie przenieść tam, gdzie ona nocowała.

Na to żądanie pan Salomon poruszył się mocno i pierwszy raz potrząsł głową.

— Mościa dobrodziejko, rzekł: córki wypędzać nie mogę... nie mogę. Toby jeszcze jej uprzedzenie względem niej powiększyło.

— A co mnie jej uprzedzenie szkodzi? odparła Sabina; niech się przy niem zostanie. Tymczasem ja pani domu, mam gdzieś mieścić się w kącie.

— Chodźmy na dół, przerwał Dobek.

Zeszli tedy do dalszych pokojów, lecz tu, oprócz tych które on zajmował, były tylko trzy izby sklepione, wprawdzie mogące się dla jejmości przerobić, bo odpowiadały właśnie tym, jakich sobie życzyła, lecz czekać na to nie chciała.

Ciągle głową potrząsając, mruczając i kwasząc się weszli w końcu do mieszkania starego. Obejrzała się uważnie pani. Drzwi od sypialni były zamknięte. Kazała je sobie otworzyć. Tu spostrzegła żelazne do lochów wejście.

— A to co jest? spytała.

Salomon się zamyślił.

— Tędy, rzekł, idzie się do lochów.

— Z winem?

— Nie... nie... Są tam różne schowania, i... dodał: no, i groby...

— Jakto! groby? zawołała przestraszona, żegnając się; groby? pod domem?

— Nie pod domem, chmurno odparł Dobek: pod zamkiem i dziedzińcem są groby; ale o tem dość, to do pani nie należy.

— Przepraszam cię, kochany Salomonku, uśmiechając się przerwała jejmość: do mnie jako do pani domu, będzie należało wszystko.

— Tak! tak! stanowczo odparł stary: oprócz lochów i co w nich jest... to rodzinne nasze pamiątki.

— I kufierki z pieniędzmi? spytała pani.

Stary nic nie odpowiedział, i wskazał wyjście prosząc, by do pierwszej izby wróciła. Pani Noskowa na ten raz była posłuszna, lecz uśmiechnęła się złośliwie, jakby mówiła w duchu:

— Zobaczmy! o tem potem...

Po tych oględzinach spoczywając, wróciła jejmość do kwestji pomieszczenia swego.

— A cóż zemną asindziej zrobić chcesz?

— Mam nadzieję, że asindzka zemną razem zamieszkaasz, dopóki pokoje jej na dole nie będą wyprzedzone.

Noskowa spojrzała nań.

— Ty się boisz córki! no! to ja się sama z nią rozmówię.

- Na miłość bozką!
- Daj pokój, ty mnie rozumu uczyć nie będziesz.

Na tem przerwała. Dobek w niepokoju największym dotrwał do obiadu. Do stołu dano i na górę do jadalni poszli razem. Zastali tu pannę Henau. Lorki nie było. Na ciche zapytanie ojca, ciotka odpowiedziała, że Laura nie przyjdzie do obiadu. Dotknęło to snadź i ojca i jejmość, udała jednak, że na to nie zważa. Przez cały ciąg obiadu w głos przy ludziach nie przestawała mówić o tem, jakie chce poczynić zmiany.

Zwróciła się w końcu do cioci Henau.

— Kiedy panna Laura nie raczyła nas zaszczycić obecnością swoją, rzekła: to waćpanna z nią pomów odemnie. Ja tu nie mam gdzie mieszkać, panny mi ustąpicie, a przejdziecie do tych izb, w których mnie tymczasowo ulokowano.

Jakby nie dosłyszawszy, ciocia Henau zwróciła oczy na Dobka, który spojrzął także i dał znać mrugnięciem, żeby się tem nie frasować, że to do skutku nie przyjdzie. Nie odebrawszy odpowiedzi, jejmość z kolei na męża i ciocię spojrzawszy, jadła dalej.

Zresztą dnia tego nic ważniejszego nie zaszło. Rozpakowywano rzeczy przewiezione ze Smołochowa, przybyła blada owa panienska, przyjechał młody oficjalista dla odebrania dyspozycji i poszedł do pokojów pani na konferencję. Noskowa rządziła się, przyjmowała, dysponowała czem się jej podobało, jak gdyby już było po ślubie. Pan Salomon na dole chodził osamotniony i niespokojny. Ku wieczorowi już zarygłował drzwi swoje, zapalił latarkę, dobył klucza i po cichu dostał się do swego skarbcza. Z uśmiechem jakimś gorzkim nań popatrzał i posunął się ku izbie ojcowskiej... Mrok zaczynał wczesny padać na dworze.

Zapukał raz i drugi, wejrzał... cicho było. Starca niewidział w trumnie... W izbie wszystko stało na swem miejscu. Snadź pokutnik poszedł tam, gdzie zwykł był całe dni przesiadywać: do grobu żony. Jakkolwiek nawykły do zwiedzania tych podziemi o różnych dnia i nocy godzinach, Salomon uczuł jakiś wstręt do zapuszczania się dalej. Na pół poroztwieranemi luftami wiatr wiał w podziemiu i jęklawie świszcząc przebiegał je... Ciemno było zupełnie. Latarka świeciła o kilka kroków tylko. Zawahał się w progu, lecz dnia tego jeszcze chciał ojca widzieć koniecznie... Wolnym więc krokiem zapuścił się znaną ścieżką pomiędzy pomniki i trumny... Na progu drugiej izby zatrzymał się, podniósł światło i starał się dojrzeć czy nie zobaczy ojca, który tam zwykle klęczał oparty o trumnę żony... W miejscu, gdzie starca zawsze znajdował, dostrzegł tylko czarny cień jakiś, rozciągnięty na płowym piasku, którym podziemiu było wysłane. Bywało, iż znużony i zesłably kładł się tam pokutnik i usypiał. Zbliżył się więc przyświecając sobie latarką Salomon i dostrzegł ojca rozciągniętego na ziemi... głowa jego z otwartemi ustami i oczyma już mgłą śmierci zasłonionemi, w tył odrzucona leżała... w ręce ściśniętej konwulsyjnie trzymał kawał aksamitu zerwanego z trumny żony... Starzec nie żył, lecz zdawał się w boleściach uspiomy. Wychudłe ciało jego na pół osłonięte sukienym płaszczem, zalegało wielką część ciasnego przejścia. Salomon stanął z założonemi rękami u trupa, do którego szedł po błogosławieństwo...

Pierwszą myślą jego było złożenie tych zwłok w trumnie i postawienie obok innych na wieczny spoczynek, lecz ani trupa do niej, ani ciężkiego tego łoża tutaj sam jeden przenieść nie był mocen. Jakieś bolesne uczucie ścisnęło mu serce na widok tych zwłok w przededniu wesela, zdających mu się grozić pięścią ściśniętą zamiast błogosławieństwa... Czas było, żeby nieszczęśliwy dokonał ciężkich dni swoich, lecz dla czegoż los zsyłał mu to właśnie w takiej chwili, jakby nową przepowiednię szeregu nieszczęść i cierpień, które od tej chwili rozpocząć się miały?

Stał biedny Salomon osłupiały, nie chcąc tym zwłokom tak mizernie bez pogrzebu rzuconym dać leżeć w piasku... Co począć było? Nikt o pobycie starca w tych podziemiach nie wiedział. Komu się zwierzyć? Zimny pot wystąpił mu na czoło... Winien był nieszczęśliwemu choćby złożenie do tej trumny, w której sypiał tak długo...

Każda chwila upływająca ciążyła mu, bo rad był co najprędzej i od bolesnego uwolnić się widoku, i obowiązkowi dopełnić. Lecz wezwanie choćby jednego pomocnika mogło dać powód do nowych jakichś baśni i gadania, które i tak ich prześladowały...

W tych namysłach Salomon przetrwał nie wiedząc jak długo. Nie miał nikogo, komuby mógł zaufać, oprócz starego Eljasza. Ten jeden znał ojca jego i do rodziny był przywiązany, a milczeć umiał.

Nie tracąc chwili, wrócił szybkimi krokami na górę... nie zamykając nawet drzwi za sobą. Odemknął tylko ostatnie zaryglowanie od sieni i słabym głosem zaczął wołać sługę, który stał zawsze na straży. Eljasz posępny i przybity wszedł. Dobek pośpiesznie drzwi za nim zaryglował.

— Chodź, rzekł, i milcz... na miłość Bożą, pomóż mi. Nie pytaj o nic, nie mów słowa, idź za mną.

Stary popatrzał nań nie rozumiejąc, lecz za danym znakiem posłuszny postąpił za panem. Pierwszy to raz w życiu Eljasz miał przestąpić próg tych drzwi żelaznych, na które patrzył przez życie całe. Pobladł biedny. Nie oglądając się nań nawet, tak pewien był posłuszeństwa starca, Salomon przeprowadził go przez skarbiec...

— Dokądże? do grobów? stłumionym głosem spytał sługa; o tej porze...

— Idź, musimy! odparł krótko Dobek.

Zdziwienie sługi było wielkie, gdy weszli do izby zajmowanej przez pokutnika. Ślady w niej czyjś pobytu, o którym nikt w zamku nie wiedział, przeraziły go. Stojąca trumna z opartem o ścianę wiekiem, wyleżany w niej barłóg napełniły go strachem.

— Słuchaj mnie stary, zawołał stłumionym głosem Dobek: widzisz... tu żył... mój ojciec. Wczoraj, dziś, nie wiem... zerwał się, by pójść pod trumnę matki... i leży tam... My go pogrzebać musimy, choćby złożyć do tej trumny...

Wszystko to tak dziwnie brzmiało w uszach Eljasza, który pytać nie śmiał... drżał i ręce łamał, że Dobek nie odbierając odpowiedzi, nie widząc po nim czy się zgodzi, stał długo jak wryty. Sam wreszcie dając przykład, poszedł do trumny, aby ją dźwignąć i unieść. Widząc to Eljasz, machinalnie zbliżył się pomagać... Stojąca tu od lat kilkudziesięciu niemal była wrosła do podłogi i z wielką siłą odrywać ją od niej musieli. Naostatek z wysiłkiem dźwignęli i powlekli. Obaj starzy, przestraszeni, słabi, z ciężarem tym co chwila w drodze stawać musieli... potem oblani... Zbita z grubych kłoców, okuta żelazem, nadzwyczaj była ciężka... Po półgodzinnej męce złożyli ją wreszcie obok zwłok starca, na które Eljasz z płaczem spoglądał. W tych rysach jakby pleśnią grubo za życia pokrytych, ledwie mógł już rozpoznać dawnego pana, który mu znikł z oczu w pełni męskiego wieku. Ciało już było stężałe i ostygłe i z wielką trudnością dało się w szczupłej pomieszczeniu trumny, z której wyrzucając mchy i siano, Dobek ujrzał wypadające zwiłki papierów i różnych pamiątek zagrzebanych w niej w pierwszych dniach pokuty. Poszli jeszcze z Eljaszem po wieko, które znowu nieść musieli, a wieczór był późny, gdy jako tako zabiwszy je i pożegnawszy po raz ostatni zwłoki, wrócili milczący na górę. Dobek objął rękami sługę i pocałował go. Chciał mu wcisnąć jakiś datek, lecz Eljasz rękę jego przyłożywszy tylko do ust, odepchnął dar...

— Milcz!...

Odryglowali drzwi. Godzina była tak spóźniona, a zapomnienie o niej tak nadzwyczajne, zamknięcie drzwi, zniknięcie Eljasza tak dziwnym niepokojem napełniły wszystkich o pana Salomona, iż w chwili otwarcia za progiem znaleźli się wszyscy... pani Noskowa, panna Fryderyka i z gniewnym, ponurym na twarzy wyrazem nawet Laura. Gdy Eljasz ukazał się w progu, oskoczyli go wszyscy, chciała zaraz wbiedz jejmość strwożona więcej może niż inni. Stary sługa ręką zapał drogę.

— Nie można! rzekł: pan był trochę niezdrowy, potrzebuje spoczynku, potem wyjdzie, teraz wchodzić nie można! nie można!

Wdowa odsunęła się nieco, ale gniewna. Laura korzystając z tej chwili i pobłażania Eljasza, minęła ją i sługę i wbiegła do ojca, który dyszał ze spuszczoną głową w krzeselku.

Eljasz wstrzymał panią Noskową nieśmiejącą się z nim ucierać, a coraz tym niespodzianym wypadkiem więcej przerażoną.

Salomon nie słyszał nawet wnijscia dziecka, i ujrzał je dopiero, gdy u jego kolan uklękło.

— Ojciec... co ci to jest?

Podniósł głowę.

— Nic... nic... trochę zmęczenia... osłabienie, ale to przejdzie...

— Myśmy wszyscy byli przelękli...

— O! czegoż? był Eljasz zemną... Nic mi nie jest... Która godzina?

Zdziwiony był niezmiernie, gdy Laura powiedziała mu, że ósma miała wkrótce uderzyć... Podniósł się niespokojny, nie chcąc dać poznać po sobie zbytku znużenia ani choroby, lecz bezsilny upadł na krzesło...

Po chwilce jednak zażądał służki i zapowiedział, że przyjdzie na wieczerzę, a korzystając z usposobienia Laury, pocałował ją w czoło.

— Wyjźdź, rzekł: przewycięż się, nie drażnij kobiety, która złą nie jest, a stać się nią może dla ciebie, ja cię proszę.

Nic nie odpowiadając wyszła Lorka, a w progu głośno odezwała się do ciotki, że miała ojca czekać na górze, i że wkrótce nadejdzie na wieczerzę...

Pani Noskowa usłyszawszy to, nie mówiąc nic, pociągnęła za niemi.

Stół od dawna był przygotowany. Laura po raz pierwszy na prośbę ojca zasiąść przy nim miała obok tej niewiasty obudzającej w niej wstręt niewysłowiony. Dawniej u tego samego stołu ona pierwsze zajmowała miejsce; dziś chciała mieć ostatnie, ażeby być od niej jak najdalej.

Piękna wdowa, która zwykle miała aż nadto odwagi i zuchwalstwa, teraz się przełękła, aby w chwili gdy dosięgła zamierzonego celu, starzec się jej nie wyrwał, lub los nie odwrócił upragnionego ślubu: stała zmieszana widocznie i onieśmielona! Czula, że wszystko, co ją tu otaczało, nieprzyjazne jej było. Po krótkim oczekiwaniu wszedł pan Salomon z Eliaszem. Błady był, a na twarzy jego malował się przestrasz i smutek. Właśnie tego dnia ksiądz kanonik Żagiel, który przyszedł dla zapisania metryki i potrzebnych informacji do wdowy, siedząc u niej przeszło godzinę, opowiedział o wszystkim, co tu w koło ruin tego zamku krążyło... o dziwnych grobach, o zniknięciu ojca pana Salomona, tajemniczej śmierci jego żony... Mimo energii i odwagi, pani Noskowa nieco się złąkla tych legend. Według jednej z nich, tak samo jak znikł ojciec, znikają tu czasem dawniej żony Dobków... a lud prawil, że je po lochach zamykano i głodną morzono śmiercią. Ks. kanonik opowiadał o tem jak o dziecinnych bajkach, do których żadnej nie przywiązywał wagi; na pani Sabinie jednak zrobiło to dziwne wrażenie obawy. Wstydzila się przed sobą sama... lecz prawie żalowała że ją bogactwa starca skusiły... Drzwi zamknięte na rygle przez godzin kilka, stary schowany gdzieś z Eliaszem, potem pokazujący się jakby złamany i spracowany... coś tajemniczego w jego postępowaniu... dom ten pełny zakatów, potajemnych wnijść, ciemnych framug, zabitych drzwi, podkopany lochami, przestraszał i onieśmielał... Stała się łagodniejszą znacznie.

Na zapytanie o zdrowie, Dobek odpowiedział, że było mu nieco słabo, że miewał czasem takie omdlenie, że Eliasz jednak był z nim, i że skutki słabości prędko przejdą. Sabina nie pytała więcej. U stołu panowało milczenie. Laura nie jadła nic, podparta na rękę patrzyła na ojca, a ile razy padło na nią oko wdowy, odpowiadała jej zinnem, lecz wcale nie złąkionem wejrzeniem.

Wieczerza zesła ze stołu prawie nietknięta; po niej wdowa podała rękę Dobkowi, prosząc by ją do jej mieszkania odprowadził. Skinieniem głowy pożegnała Laurę i Fryderykę i wyszła. Spodziewała się sam na sam coś ze starca wyciągnąć.

Eliasz, który na niego czekał prawie do północy u wschodów, ujrzał go schodzącego z czołem rozjaśnionem i spokojniejszym znacznie.

Tak się skończył ten dzień, wigilia ślubu naznaczonego nazajutrz. Laura wiedziała o tem. Jak tylko ojciec wstał, przysła niosiąc mu dzień dobry. Pergaminowa, pomarszczona, zestarzała nagle twarz Dobka przestraszyła ją znowu; lecz Salomon, jeżeli nie był wesoły, udawał przynajmniej spokojnego i zaręczał, że jest zdrów zupełnie.

— Tatku, rzekła Lorka, chodząc po izbie: mam do ciebie słowo. Dziś ostatni dzień, w którym ty jeszcze jesteś panem siebie i wszystkiego co masz, w którym dla mnie jesteś jak byłeś ojcem przywiązanym... Jutro! Któż zaręczy za nie? Ty sam nie wesz w co się zmieni serce twoje. Ja nie będę mogła może dostąpić do ciebie z prośbą, a najmniejsze życzenie moje okupywać mi każecie może upokorzeniem.

— Lorko, nie mów tego! zawołał Dobek.

— Słuchaj mnie do końca, śmiejąc się, smutnie dodało dziewczę: ani się spodziewasz jak skończę. Ot, po prostu przyszedłam do ciebie jak żebrak po jałmużnę... Potem... Bóg wie! ja cię o nic nie będę śmiała prosić, a dziś...

— Czegóż ty chcesz?

— Zgadnięj!.. Ja chcę dużo pieniędzy! dużo pieniędzy! Jestem, jak widzisz, ostrożna... Jutro? kto tam wie co będzie? Przyjść do ciebie nie będzie można... będziesz się musiał rachować przed twoją panią...

— Na cóż ci pieniądze?

— Ach! mam swoje fantazje! Chcę coś mieć swojego, lubię się patrzeć na złoto... Ostatnia prośba moja do ciebie.

Rzuciła mu się na szyję.

— Proszę ja ciebie, jeśli ty kochasz jeszcze Lorkę twoją, jeśliś kochał jej matkę, której pamięć zginie na wieki i chyba tylko w sercu córki pozostanie... mój drogi mój miły ojciec... daj mi! daj mi jak najwięcej pieniędzy!

— A cóż myślisz robić z niemi?

— Robić? nic, schować na czarną godzinę. Niech ja mam co swojego.

Pan Salomon wpatrzył się w nią, chcąc odgadnąć co myślała. Oczy jej śmiały się we łzach... Śmiech mieszał się z płaczem, była wzburzona i gniewna razem i smutna, a śmiała się, żeby ukryć co czuła. I znowu rzuciła mu się na szyję.

— Ojczel! to mój dzień ostatni... Wykołysana na twoich rękach... wypieszczona pocałunkami, jedyna... od dziś będę ostatnią... zawadą, wspomnieniem... dla tej kobiety przeszkodą... w domu niepotrzebnym sprzętem. Serce to nawykło bić dla mnie... jeszcze się porusza... jeszcze mi odpowiada... a jutro... ja będę sierotą... ty obcym dla mnie... Między nami stanie nieprzyjacieli! z uśmiechem dla ciebie, z pogardą dla mnie...

Ostatnie wyrazy łkała z płaczem, uwiesiła się na ramionach ojca i łzom dała płynąć. Dobek był tak poruszony, iż zawołał:

— Boże mój! czemu tego odwrócić nie można!..

— Za późno! tak! za późno... szepnęło dziecko: a gdybyś chciał to uczynić, nie potrafił... Dałeś mnie na ofiarę... Stało się... Miała twoja Lorka szesnaście lat szczęścia! Czyż na życie nie dosyć?

Nagle otarła łzy, usunęła się.

— Ojczel... moja jałmużna! Nie każ mi jej zebrać u obcych...

— Na cóż ci to? nie wierzysz mi?

— Tobie? a! wierzę, jej — nie, a ty od dziś do niej należysz... Ojczel! jałmużna!

— Bierz! bierz co chcesz... bierz ile chcesz! bierz wszystko co mam!

— Nie... trochę... trochę...

I wyciągniętą białą rączkę jak żebracy przy kościele podniosła ku niemu... Dobek otworzył kufier stojący w sypialni.

— Zawołaj Eljasza, rzekł do córki...

Stary był zawsze u drzwi; wszedł zaraz.

— Mój dobry stary, zawołała Lorka: bierz z tego kufra ile podźwigniesz i nieś do mnie; ojciec mi dał jałmużnę, o którą prosiłam; to dla mnie...

To mówiąc padła mu do nóg, całując je, i ścisnęła starego, i siwą jego głowę tuliła do serca, a rozstać się z nim nie mogła.

Już Eljasz cały przyszyły skarb Lory przeniósł do niej na górę, wyczerpawszy co tylko było, jeszcze dziewczę zęgnęło się z ojcem, gdy u bramy zadzwoniły sanki. Dobek ciekawie wyjrzał i z nadzwyczajnym podziwieniem poznał przebywającego niespodziewanego wcale rotmistrza Porębę, który miał być na drodze do Warszawy. Lorka natychmiast uciekła, szepnąwszy tylko na ucho ojcu!

— Ja na ślubie nie będę.

Ledwie się drzwi za nią zamknęły, gdy rotmistrz ukazał się na progu.

— Kochanego pana Salomona! zawołał; a prawda że dziwisz się! Lecz jakże miałem postąpić? W drodze dowiaduję się, że dziś ślub, i miałem nie być przy tym szczęśliwym obrzędzie? i nie złożyć nowożeńcom życzeń moich?... Widzisz kochany panie Salomonie, ja słowa dotrzymałem, nie mieszałem się do niczego! Wyjechałem nawet... Tymczasem, co się dzieje... Byłem już na pół drogi, patrzę, aż ja mojej drogiej szabelki, bez której jak bez duszy żyć nie mogę, zapomniałem! Zawracaj! Dokąd? Do Smołochowa, a choćby i na koniec świata. Wacpan nie znasz mojej kochanki? Zowie się Miranda, tnie stal jak wiory! Powiadam ci! jak wiory. Więc zawracaj... W Smołochowie mi mówią: Ślub

jejności w niedzielę. Co gadacie? Istotnie. A jużbym też i psa nie był wart, gdybym nie przyjechał... I o to mnie masz... oto mnie masz...

Słuchał Dobek, lecz żeby się gościem zbyt uradował, trudno było z jego twarzy wnosić; nadrabiał miną, krzywił się, a Poręba mógł to sobie uśmiechem tłómaczyć. Uściskali się serdecznie, rotmistrz siadł i przymówił się do wódki, bo słyszał, że w Borowcach starka była przedziwna. Kazano podać śniadanie. Po niem poszedł gość do kuzynki, gdzie już sobie do obiadu przesiadł na poufalej rozmowie.

Ciekawych mógłby się dowiedzieć rzeczy, ktoby jej tam podsłuchał, ale nikogo nie było, wdowa się wcześniej zabezpieczyła, sadzając u drugich drzwi służę na straży.

Obiad miał być wcześniej, bo zaraz po nim następował obrząd weselny, mający się odbyć w parlatorjum. Tu już nawet przez ks. Żagła przysłane lichtarze, agenda, obrusy, krzyż, leżały wcześniej gotowe. Na obiad też po raz pierwszy od dawna księdza kanonika proszono...

W chwili, gdy już podawano do stołu, Laura czarno ubrana cała, cudnie piękna, dumna, z oschłemi już lecz zaczerwienionemi powiekami, weszła do panny Henau.

— Ja nie idę na obiad...

— Dziecię moje, są obcy, jest ksiądz... Prędej się to wytłómaczy, gdy na ślubie nie będziesz, ale na obiad wyjdź proszę... Ojcu uczynisz przykrość.

— A ta, której ja doznam, nic nie znaczy? odpowiedziała cicho Laura.

Po namyśle jednak rzekła:

— Co mi tam, wyjdę...

Już wszyscy byli w jadalni, gdy z ciotką Henau razem Laura weszła w czerni cała, pewna siebie, z podniesioną w górę główką. Oczy kanonika, Sabiny, a nadewszystko zapuchłe źrenice rotmistrza zwróciły się na nią. Poręba patrzył i zdawał się osłupiały z podziwu nad tą pięknnością...

Okiem rzuciwszy po krzesłach, Lorka obrała ostatnie w szarym końcu i usiadła. O dwa miejsca tylko dalej naznaczono krzesło Porębie z oka niespuszczającemu Laury. Błada kuzynka, która ją także raz pierwszy widziała, gryzła usta przyglądając się tej królowej. Oprócz ojca Lorka nie zdawała się widzieć nikogo.

Rotmistrz wiekuisty *turbator chori*, nie mógł się powstrzymać zaraz od wykrzykniku nad pięknnością panny Laury.

— Można panu dobrodziejowi tego cudnego leśnego kwiatka powinszować, zawołał, bo i w oranżeryjach stolicy nic się piękniejszego znaleźć nie może.

Dobek skłonił się, Sabina uśmiechnęła złośliwie, Laura ze spuszczoną głową udała, że nie słyszy...

Rozmowa się zawiązała jako tako, lecz ona wcale się do niej mieszać nie myślała. Nie odpowiadała na pytania, nie podniosła oczu, szepnęła parę razy coś do panny Henau, siedziała jak niema i głucha. Czarna jej sukienka wśród pstrych strojów innych osób odbijała jak protest przeciw weselu. Poręba od sztuki mięsa rozpoczął wiwaty: państwa młodych, ks. kanonika, przyszłych dni szczęśliwych, wreszcie chcąc się snadź pannie Laurze przypochlebić, na cześć jej też podniósł kielich... Dziewczę zarumieniło się gniewem, spojrzało groźnie, i na tem się skończyło. Niezrażony wszakże rotmistrz, gdy od stołu wstali, posunął się zaraz do panny... W chwili, gdy szła do drzwi, ażeby się wysunąć, ze śmiechem poufalućkim zastąpił jej drogę.

— Mości panie! zawołała groźnie Laura: nie mam przyjemności pana znać, a nowych znajomości zabierać nie lubię! proszę mi ustąpić z drogi — natychmiast!

Spojrzenie straszne zmusiło Porębę spuścić z tonu; skłonił się bełkocząc coś i uszedł. Laura powoli skierowała się ku drzwiom i znikła. Niechętny rotmistrz trzymając kieliszek w ręku zbliżył się do bladej kuzynki.

— Patrzajże Róziu, szepnął: ot to djabełek! Ha! strasznie z góry patrzy na nas... a jednak chce czy nie chce, będzie musiała iść za mnie.

Panna Róża zaczęła się śmiać.

— He! Śmiej się nie śmiej, to rzecz jest ułożona, ja ci powiadam; a ty wiesz, że jak ja co sobie powiem z Sabinką, to we dwoje musimy zrobić... Niech ona sobie fanaberje teraz stroi... to darmo. Pająk snuje pajęczynę, a mucha lata śpiewając... tymczasem bzyk... i siedzi w siatce! Otóż i tu tak będzie.

— Coś mi się nie zdaje! nie zdaje mi się, panie rotmistrzu, rozśmiała się kuzynka; ani wiek pański...

— Jaki wiek! w sile zdrowia... ledwie czterdzieści! sam czas do ożenku.

— Przepraszam pana... nie wierzę...

— Zobaczysz... to rzecz postanowiona!

Rotmistrz kielicha dopił i wesoły podszedł do pana Dobka.

Uroczysta godzina zbliżała się. W parlatorjum stół okrywano, zapalono świece, ksiądz kanonik poszedł się ubrać — wszystko było w gotowości, pani młoda tylko poszła się przebrać i ukwiecić, gdy — co się nigdy nie trafiło, bo któż kiedy do Borowiec przyjeżdżał? — dano znać panu Dobkowi, iż podróżny jakiś z daleka przybyły o gościnę prosił.

Przychodzący z tem poselstwem Eljasz dziwną bardzo miał twarz, niby wesołą, niby przerażoną. Spodziewał się może, iż ten gość ślubowi przeszkodzi. W istocie zamieszanie pewne powstało... Rotmistrz się szczególnie nasrożył i wchodząca pani młoda; posądzano snadź miejscowych o jakąś intrygę. Poręba się miał do swej Mirandy.

— Na miłość Bożą! cóż to! kto to jest? a było mu powiedzieć co się dzieje? rzekł Dobek do sługi.

— Pan nie wie kto to? jakże ja go mam odprawić, toć z Litwy Dobek młody... krewny... o których państwo ledwie zasłyszeli. Sto mil może zrobił, żeby swoich poznać, a ja go mam od wrót odprawić?

— Jakto? Dobek? załamując ręce zakrzyknął pan Salomon...

Z dała patrząca i oczekująca pani młoda aż zbladła, szepnęła coś do rotmistrza, ten zbliżył się do starego.

— Kto tam jest, to jest! gość nie w porę gorszy od Tatara! niech sobie czeka, a tu księdzu i jejmości nie można tak dać stać i wyglądać, aż się ichmość sobą nacieszycie.

Dobek odwrócił się nic nie uważając na groźną twarz Poręby, poszedł do drzwi.

— Zaraz powrócę!

Pani Noskowa sięść musiała, gdyż ta zwłoka i gniew o mało ją o mdłości nie przyprawiły.

Salomon wzruszony dziwnie tem jakby opatrnościowem przybyciem jedynego może krewnego na świecie... wybiegł aż pod schody. Krewniak, który snadź miał czas się przebrać w miasteczku, całe nie po podróżnemu wyglądał.

Był to piękny młodzieniec, słusznego wzrostu, brunet, w wytwornym stroju, wyświeżony bez pstrocizny i błyskotek. Suknie na nim leżały jak ulane, postawa była męzka i zręczna. Czarny wąsik podkręcony do góry, różowe śmiejące się usta, wyniosłe czoło, nos rzymski suchy i drobny, piękny owal twarzy składały się na fizjonomję szlachetną i miłą. Wyraz twarzy był nieco figlarny... wesołość młodzieńcza grała na niej...

— Honory Dobek Cholewa Konopański! do usług... szanownego kuzyna... a jeśli tablice genealogiczne nie mylą — od stryjecznych stryjecznych — stryjaszka!

Rzucił się na szyję panu Salomonowi.

— O sto mil umyślniem się przywłókl, żeby raz familję poznać!

— Bóg ci zapłać... trafiłeś na taką chwilę...

— Cóż? wesele słyszę? stryj się żeni? a to śliczna rzecz, jak Bóg miły... jużcić nie będę zawalidrogą.

— Chodź! chodź! mój miły... z pewnem rozczuleniem rzekł Salomon; nic dziwuj się niczemu... a bądź mi dobrym druhem...

Pobrawszy się tak za ręce... weszli do parlatorjum...

Chłopak wszędzie i zawsze byłby się nie dał pominąć ludzkim oczom, a w tej chwili zjawiający się niespodzianie z tą postawą rycerską, piękną, weselem w twarzy, młodzieńczą butą i uśmiechem... obudzał ciekawość i trwogę. Było w tym przyjeździe coś istotnie niesłychanego, cudownego prawie, i nie dziw, że rotmistrz kręcił węża i gryzł zły, bo mu się z razu zdawało, że to uknuta podstępna intryga, aby wesele przeciągnąć, odłożyć, szabłą tego jegomości się podeprzeć — i zerwać. Też same myśli przychodziły pani Noskowej. Na złodzieju czapka gore.

Pan Salomon z widoczną radością prezentował go jejmości.

— Honory Dobek... krewny mój...

Kłaniał się i oglądał chłopak nic nie zmieszany...

— Ale to nie przeszkadza, byśmy do ślubu przystąpili, mruknął rotmistrz.

W istocie kanonik stał w gotowości z agendą w ręku... Państwo młodzi zbliżyli się. Honory cofnął się nieco oparłszy na szabelce... patrzył, przyglądał się, i — zaprawdę, ślub tego wylękłego krewniaka niezbyt młodego z piękną i młodą kobieciną, musiał mu się wydać nieco dziwnym...

Rotmistrz także ze swym strojem suto szamerowanym, z twarzą noszącą ślady mnogich zapasów ze dzbankami i fiolkami, blada jejmościanka, która nie mając co robić, całe życie się do wszystkich i sama do siebie uśmiechała, sztywna i wyprostowana ciocia Henau... całe towarzystwo równie osobliwszem wydać mu się mogło jak dom, sala i wszystko co tu spotykał.

Laury nie było, ona w czarnej sukni w najdalszym pokoju, zamknięta nad Biblią siedziała i płakała. Ślub odbył się tak szybko jak tylko było można, bo ksiądz kanonik obawiał się także, aby coś znowu nieprzeszkodziło... Gdy młodzi odebrali błogosławieństwo, oblicze pani Dobkowej z razu blade i pełne niepokoju... zaczęło przybierać wyraz nowy, rozjaśniło się, wypogodziło, śmieiej strzeliły oczy... rumieniec wystąpił na twarz... była tu panią!

Salomon postrzegł od razu córki niebytność i nie nalegał o przybycie, jejmość dobrane też uważała to... a nie mówiła nic, odkładając zemstę do przyszłości.

Gdy się ślub dokonał, a wszyscy zasiedli w parlatorjum przy rozpalonym olchowym ogniu na kominie, przy stole zastawionym cukrami i butelkami; który ołtarz natychmiast uprzątnięty zastąpił, panna Henau pośpieszyła zobaczyć co się dzieje z Laurą.

Na wchodzącą spojrziała tylko podnosząc głowę dziewczyna i nie spytała o nic...

— Wiesz, że właśnie w tej chwili — dziwnie! gość przybył... rzekła Henau.

— Gość jeszcze? drugi rotmistrz zapewne... z przyjaciół tej... tej pani? szydersko śmiejąc się odezwało dziewczę.

— A! nie! o sto mil na te właśnie godzinę, z daleka... o niczem nie wiedząc... trafił tu jedyny może krewny jakiego macie, Honory Dobek.

Laura uderzyła w dłoń...

— Dobek! krewny... Cóż to? modliłam się o opiekę, czy Bóg mnie wysłuchał?

Smutnie uśmiechnęła się panna Henau i zarumieniła.

— Nie wygląda wcale na opiekuna, rzekła... bo tak młody lub nie wiele starszy od ciebie...

Laura już nie pytała, zamyśliła się, złożyła Biblię, widocznie ciekawość jej rozbudzona nagliła, by wyjść i zobaczyć gościa tego, a czuła, że się tam ukazać nie może...

— Jak wygląda? spytała po chwili...

— Jak malowany! odparła Henau, śliczny i miły mi się wydał...

— A jak my się tam jemu wydali westchnęło dziewczę... mój Boże... i nie mógł przybyć ani wczora, ani jutro, tylko właśnie w tym dniu i o tej godzinie, gdy się nieszczęście nasze dokonało... jak gdyby Dobek po Dobkach przyjechał brać spadek wymarłych...

Bo my... jeśliśmy nie wymarli, tośmy na drodze do grobu... Ojciec, ach! biedny ojciec z tym upiorem... Ten upiór moją matką... Ten jej dwór czychający na wysanie z nas życia, spokoju, mienia...

Padła Laura na krzesło...

— Dobek... więc są jeszcze inni Dobkowie? i w porę zaprawdę zjawiają się nam po kilkuset latach... może to przyszły obrońca...

VII

Nazajutrz pan Honory Dobek, spędziwszy noc w dolnej izbie gospodarza, bo go nie było gdzieindziej postawić, zbudził się wśród tych murów rozpamiętywając wieczór wczorajszy, nic a nic niepodobny do wesela... Jakoś na ówczas na szerszym świecie szlacheckim, między ludźmi, nawet wdowie gody inaczej wyglądały, śmiały się lepszą nadzieją. Tu... mimo pięknej twarzy jejmości, straszyla jej śmiała mowa, przy ponurej nieśmiałości męża... Rotmistrz był dziwnie śmieszny ze swą rubasnością... inne postaci tak się jakoś oryginalnie wydawały... a sam zamek, mieszkanie, służba!

Honory Dobek mieszkał w bardzo ludnym kącie, gdzie wszyscy jakoś więcej do siebie przystawali, i podobniejsze mieli twarze, i jednostajniej urządzone domy...

Tu mu to co wdział zakrawało na bajkę lub starodawne dzieje... Salomon Dobek przyjął go serdecznie jak krewniaka... to prawda... a jakoś mu było w tej ruderze nieraźnie.

Sam Eljasz mu posługiwał i przyniósł kawę z rana, przypatrywał mu się ciekawie, czule, jakby swojego rodu potomka oglądał, ciekawił go ten nowy Dobek z taką poczciwą wesołą twarzą, pokochał go. Jemu też Eljasz się wydał onym patryjchalnych czasów sługą, kiedy czeladź stanowiła rodzinę.

Począł się rozpatrywać ostrożnie...

— A no, jegomość, pan Salomon był dawniej żonaty?

— A był... ale temu lat piętnaście jak jejmość umarła...

— Bezdziennie!

— Jakże bezdziennie! przecież córka jest.

— Zameżna?

— Chowaj Boże! A! prawda, pan chorążyc jej nie widział?

— Anim wiedział o niej...

— To dopiero się pan zdziwi, gdy zobaczy... bo to nasz kwiatek... różyczka nasza... anioł panienka! śliczności, jakich oko nie widziało, a dobroci! a panie! gdy człek o niej myśli, gdy o niej mówi, to się na lzy zbiera.

Otarł oczy rękawem.

— A gdzie jest? spytał Honory.

— A tu, panie, tu — ale — niech się pan nie dziwuje, że na ślubie panienka nie była. Jej tam serce bolało... I jak boleć nie miało? at!

Machnął ręką...

— Mów, mój dobry stary, przeciwnie wasz.

— Toć powiem wszystko, przynajmniej człowiek ten ciężar z serca zrzuci...

Zbliżył się do łóżka...

— Nic do rzeczy się nasz stary poczciwy ożenił! Nic do rzeczy! po co mu było młodą; fertyczną taką było brać? po co? A jeszcze, prawdę rzekłszy, sama mu, z pozwoleniem, na kolana siadła...

Zamilkł na chwilę Eljasz.

Co to teraz czeka naszego anioła mój ty miły Boże! A pan ją tak kochał... jedno oko w głowie... wszystko popsuka ta... baba...

Reszty się pan i sam domyślisz, dokończył Eljasz.

Nie było się już tak dalece czego domyślać... Honory wstał ubrał się i czekał rychło mu gdzie wyjść będzie wolno... A no, tego dnia już młoda jejmość objęła była gospodarstwo, a chcąc zaraz pokazać co umie, wszystko przewróciła do góry nogami. Krętanina, bieganie, zamęt był w całym dworze, na który z trwogą poglądał małżonek, a ile razy się z refleksją jaką odezwał, odpowiadano mu: Dajno asindziej pokój, ja sobie rady dam.

Prawdziwy sądny dzień nastał... ludzie głowy potracili... Jejmość się gniewała już i fukała, sam Dobek biegał, żeby ład jakiś wprowadzić... Rotmistrz jeszcze spał... nikogo widać nie było, ranek zimowy bardzo piękny się trafił, myślał Honory, że nie zgrzeszy gdy się po ruinach zamkowych obejrzy i trochę przejdzie około dworu. Narzuciwszy więc krótki kożuszek czarny z węgierska skrojony na plecy, czapkę z piórkiem wetknąwszy na głowę, poszedł naprzód konie swoje zobaczyć. Stajnie w Borowcach były nieopodal od bramy, przyparte do samego wału, a że gości nie miewano, więc też gościnnych osobnych nie było... Budynek był jak się mało podobnych naówczas widzieć trafiało, ze starych murów przerobiony, bardzo wygodny... bo Lorka lubiła konie... a co kochane dziecko mieć chciało, spełniano ochotnie. Ona tych swoich faworytów umieścić pragnęła po pańsku... i stało się po jej woli. Szczególniej siwa klaczka, którą ojciec był sprowadził z Radziwiłłowskiego stada, nazwana Munią w łaskach była u panienki. O tem nikt nie wiedział, nawet ojciec, że Lorka... nieraz jej już dosiadła... było to wielką tajemnicą. Codzień rano przynosiła jej chleb i cukier, a słysząc ją z dala biegnącą, Munia nastawiała drobne uszki, odwracała głowę i rżała wesoło... Rozmawiały z sobą jak najlepsze przyjaciółki, całowały się... pieściły... Munia miała kołderkę szytą rękami Lory... najczystszy owies, najświeższą wodę, a była tak rozpieszczona, że za swą panią jak pies chodziła...

W największe mrozy, w najszkaradniejszą pluchę Laura odwiedzić musiała Munię, i tego dnia właśnie gładziła jej główkę... patrząc w oczy czarne i rozumne... gdy Honory wpadł świszcząc do stajni. Szukał swoich koni... zobaczywszy Lorkę... stanął wryty...

Laura się domyśliła kto był, zawstydziła się niezmiernie, że ją w stajni znalazł, zarumieniła... chciała odwrócić i uciekać, gdy Honory namyśliwszy się zdjął czapeczkę i grzecznie się uklonił...

Nie było co robić, jakkolwiek znalazł ją w miejscu tak nieprzyzwoitem kuzynek, musiała mu się Lorka zaprezentować, aby ją nie wziął za — niewiedzieć kogo.

— Wszak pan Honory Dobek? odezwała się krok podchodząc...

— Tak jest, pani...

— Dziwnie trochę się spotykamy... lecz nie miej mi pan za złe, że się mu w stajni prezentuję, jestem córką pana Salomona...

— Gdybyś mi pani nie powiedziała, domyśliłbym się, odparł Honory, bo chyba jaka mitologiczna postać mogła jej zrównać... i musiałem najwyżej sięgać myślą, by odgadnąć co to zjawisko tutaj znaczyć może...

Grzeczność trochę była wysmażona, ale i pan Honory zmieszany jąkał się, tak go Lora zachwyciła. Ubrana była czarno jak wczora, dała sobie bowiem słowo nie nosić barw innych, na głowie miała lekką chusteczkę zawiązaną pod brodą, na nogach buciki węgierskie... a taka szykowna była i piękna choć smutna, a tak ta piękność szlachetna była i niepospolita, że w niej starą krew i ród łatwo było poznać.

Skłonił się Honory.

— Szanowny kuzynie, odpowiedziała Lora ośmielona, zmiłuj się słodyczami mnie nie karm. Jestem prosta dziewczyna, Poleszka, i do razowego chleba nawykłam. Ten najzdrowszy.

Honory się zarumienił...

— Proszę mi pozwolić swoją faworytę zobaczyć, odezwał się wesoło, — ja konie namiętnie lubię, a to śliczna istota...

— Prezentuję, nazywa się Munia Radziwiłłówka, zawołało dziewczę, czyż nie piękna? Patrz pan jak mu się przygląda i wacha... czy nie obcy. Nie bardzo się pan zbliżaj, mnie ona całuje, ale nieznamymych kąsa.

— Ręczę kuzynce, że ona mi się da pogłaskać! rozśmiał się Honory, i wołając: Munia! Munia, do strzygącej uszkami, powoli z wyciągniętą ręką przystąpił. Miała się faworytka na baczności, srożyła nieco z razu, chrapnęła, potem wyciągnęła szyję, poczęła wachać przybysza i położyła mu głowę na ramieniu. Było najwyższy dowód łaski. Zazdrosna trochę Laura zdziwiła się i zarumieniła.

— Widzisz pani! poznała we mnie przyjaciela koni, a przeczuła może przyjaciela domu... rzekł Honory gładząc piękne stworzenie. Teraz już spodziewam się, będziemy i my dobrymi przyjaciółmi.

Lorka popatrzała ciekawemi oczyma na swoją faworytę i pięknego chłopaka, który z równem zajęciem przypatrywał się kuzynce...

— Wpadłem tu, rzekł, trochę nie w porę, alem temu niewiniem. Ojciec i ja wybieraliśmy się od lat dziesięciu do Borowiec, trzebaż było wypadku, żeby na dzień trafił, w którym gość pono aniby był spodziewany, ani potrzebny. Trudno o kilkadziesiąt mil powracać...

— Dla nas jesteście zawsze gościem bardzo miłym odezwała się Lorka; my żyjemy tak samotni, a z rodziny nie mamy nikogo... Ojciec serdecznie wam rad, za to ręczę... a co do mnie, możecie być pewni....

Spuściła oczy.

— Tylko, dodała po chwili, pamiętajcie zawsze, żeście na poleskiej pustyni. Tu się i nie zabawicie, i nic nie zobaczycie ciekawego... Lasy i lasy, i błota... i cisza... wiekuista... a nas ludzi garsteczka dosyć smutnych...

Wiecie co, rzekła po namyśle, błąkacie się po zamku widzę, będziecie się nudzili, gdybym was bez ceremonji zaprosiła do siebie? może to nie przyzwoicie? ja nic nie wiem.

— Wszakże tak bliżcy jesteśmy krewni, podchwycił Honory, prawie jak brat i siostra!

— A! to prawda! odpowiedziała Lorka; więc dla czegoż nie poszedłbyś pan do mnie, dopóki ojciec nie będzie wolniejszy...

To mówiąc i pogładziwszy Munię, która się za nią wyrwała, Lorka poszła przodem ku zamkowi, prowadząc za sobą bardzo ucieszonego tem spotkaniem Honorego...

Wprost ze schodów korytarzyk prowadził do pokoju Lorki, przystrojonego jeszcze jak był... gdy pieszczona jedynaczka królowała w tym domu. Gość zdziwiony być musiał

przepychem, którego po zewnętrznej zamku fizjonomji spodziewać się nie mógł. Piękność Laury, oryginalna jej mowa i obejście, śmiałość, smak, który w tem co ją otaczało uderzał, widocznie zdumiewały Honorego, rozglądał się, bawił... chwalił...

— Jakie to szlicznieście sobie gniazdko usłali!... zawołał.

— I w tak spokojnym kątku, przerwała, że go żadna burza rozerwać, zda się, nie była powinna... a jednak...

Spuściła oczy smutnie, Honory się domyślił przyczyny westchnienia i zamilkł.

— Powiedzcież mi co o sobie, o rodzinie, o tej okolicy, w której mieszkacie? spytało dziewczęcę chcąc zmienić rozmowę...

— Z rodziny mojej został tylko stary mój ojciec i ja... rzekł wahając się nieco Honory... Ze znacznych naszych majątności, niewiele też dotąd jest przy nas... mamy dwie wioski... Matka nie żyje od lat kilku, siostrę straciłem, a po niej sierotki nam tylko zostały... przy ojcu starym i już niezbyt silnym ja jeden jestem.. Dla tego — dodał ciszej, życzył sobie chorąży, ażebym się ożenił, i — na wiosnę się żenię.

— A! zawołała Lorka zdziwiona nieco, więc macie narzeczoną?

— Tak, pani, jesteśmy zaręczeni z panną Zofią Bułhakówną.

Dla czego on to powiedział prawie smutnie, a ona słuchała jakby niemile i niedowierzająco, któż to zrozumie? Zamilkli potem chwilę i on patrzył na stojące przed nim kwiatki, ona na krosienka, o które była opartą.

— Więc porzuciliście narzeczoną waszą, aby nas odwiedzić, starego ojca! ach! to doprawdy na wielką wdzięczność od nas zasługuje...

— Zrobiłem to dla własnego serca i przyjemności, rzekł Honory; później któż wie, czybym się mógł ruszyć od gospodarstwa... Spadną na mnie kłopoty i ojcowskie, i żony, która ma znaczny majątek w ziemi z naszym sąsiadujący. Znaliśmy się od dzieciństwa...

— I kochali od dzieci? spytała cicho Lorka...

— Jak brat i siostra, bośmy nawet krewni trochę... rzekł Dobek... Ona była sierotą, ojciec mój opiekunem, przyszło to tak jakoś naturalnie...

— Opiszcież mi waszą narzeczoną? zawołała śmiejąc się Laura... chciałabym ją nieznając pokochać z daleka...

— Kochana kuzynko, moja narzeczona dobra i łagodna istota, wcale nie celuje nadzwyczajnymi wdziękami... lecz mimo to, nie wątpię, że poznawszy, kochaćbyś ją musiała...

Honory zamilkł.

To przyznanie się do narzeczonej bądź co bądź, uczyniło Laurę śmielszą, a oboje zbliżyło... Mimowolnie każda młoda panienka musi się w nowo-przybyłym obawiać pretendenta i z niepokojem spoglądać na niego. Lorka była już z tej strony spokojna i swobodna. Rozprawiali więc o Polesiu i o stronach, w których mieszkał chorąży, o odbytej przez młodego Dobka podróży, i dobra znajomość nawiązywała się coraz poufalej. Przybyła do nich panna Henau wmieszała się także do rozmowy i nadała jej więcej życia jeszcze. Zapomnieć mogli na chwilę o tem co się w domu działo...

Młoda pani, jakkolwiek śpieszno jej było się rządzić, wstrzymywała się nieco w pędach swych, w obawie obcego, i odkładała resztę na ten czas gdy odjedzie. Rotmistrz przebudzony późno, ubrał się i nierad z noclegu, poszedł rozmówić się z Dobkiem, który wzięty w rekwizycję od rana, nawet z córką i gościem przywitać się nie miał czasu... Wszystko w ogóle nowej gospośi wydawało się tu niedobrem, a najgorsi słudzy, ociągający się ze spełnianiem jej rozkazów. Mruczała już, że wszystką tę chałastwę z niedołęgów złożoną, porozpędzać musi. Pan Salomon ledwie nierychło z góry urlop dostał parogodziny na dół dla zajęcia się swojemi interesami. Piękna pani, która koniecznie bardzo być piękną chciała, siadła się nareszcie ubierać z pomocą bladej Rózi, jednej służącej i dziewczeczki, którą przywieziono ze Smolochowa, rozpuściła obfite włosy, aby je fryzowano, gdy rotmistrz, gwałtem się prawie wcisnął. Nie chciano go puszczać, lecz nie posłuchał.

— Co znowu za ceregiele? zawołał; zawsze przecie miałem prawo na ten pudermantel patrzeć a dziś nie?

To mówiąc, siadł na kanapce stękając.

— Słuchajno, Sabka! zawołał: wszystko to co się stało, dobrze, ale myśleć o tem trzeba, żebym ja miał porządne pomieszczenie, konie moje dobrą stajnię i obrok... i żeby tu ład zaprowadzić... Taż to Sodoma i Gomora! nikt nie słucha, nikt nie troska się... nikt nie służy...

— Czekajże i bądź cierpliwy! nie razem Kraków zbudowany, odparła przystępując do czesania Sabina: niech no gość pojedzie... wezmę się do nich inaczej. I ja też zapowiedziałam, że tu w ciemnej dziurze stać nie myślę... Panna Laura dla siebie zajmuje najlepsze pokoje, najpiękniejsze przywłaszcza sprzęty, a ja, niby pani, będę się wędziła w tym kącie? to nie może być.

— Słusznie mówisz... rzekł rotmistrz; toż samo zemną. Po co ja będę jechał do domu? Zima ostra i sanna kopna, posiedzę tu, przecie was nie objem... A no, w zimnej izbie o jednym oknie i to z kratami, mieszkać nie myślę... a uczynię też ład, żebym ja za lada butelczynę nie potrzebował się kłaniać i prosić, powinienem mieć swój zapasik...

— Wszystko przyjdzie z czasem, dodała pani Dobkowa...

— A co się tycze naszego projektu względem Lorki, rzekł Poręba: także zawczasu należy przedsięwziąć środki... Panna ma muchy w nosie...

— Wybijemy jej z głowy fanaberje — odpowiedziała Sabina; tylko nie trzeba zbyt na mego starego zewsząd razem nacierać, ażeby nazbyt nie pisał...

— Tak, ale jejność i to pamiętaj, że kto od razu nie robi, ten nigdy potem nie potrafi...

— Ależ gość!

— Dać mu do zrozumienia wrędcę, żeby sobie jechał. Mamy Dobków dosyć... nie trzeba nam więcej! rozśmiał się rotmistrz.

Panna Róża, która w tej chwili obficie rozrzucone włosy pani Dobkowej poczynając układać, zwróciła się śmiejąc ku rotmistrzowi.

— A zwłaszcza, szepnęła z ironicznym śmieszkiem, że taki śliczny chłopak, toby się w nim panna Laura pokochać mogła.

— Co za chłopiec! krzyknął rotmistrz: dla acanny śliczny, a to smyk, smyk...

— Przecie tu załogą siedzieć nie będzie, dodała jejność.

— Ja wprawdzie powiedziałem panu Salomonowi, mruknął rotmistrz, że do domu jadę i przybyłem tylko na wesele, ale jejność to sama urządź tak, bym został... Poproś mnie dla pomocy twemu staremu, on tu oczywiście sam wydołać wszystkiemu nie potrafi.

Róża znowu się odwróciła ze śmiechem.

Rotmistrz się groźnie zmarszczył.

— Salomon zdaje mi się łagodny będzie i posłuszny, rzekł; wszelako tresować potrzeba...

Gdy ta rozmowa na górze się po cichu odbywała, w dole Dobek chodził jakby przerażony po swej izdebce... w progu stał Eljasz i rozpowiadał mu coś po cichu. Pokłonił mu się do kolan, gładząc głowę.

— Służyłem jegomości, panu memu wiernie do siwego włosa, odezwał się lzy mając na oczach... nadszedł ten wiek, że mi się chleb łaskawy od was należy... Nie podolałam, drogi panie, a szczególnie przy nowej pani, która młodą jest i inny rząd zaprowadzi w domu. My tu byli do starego porządku nawykli, to się wlokło jako tako — dalej, dalej... człek nie wydoła, a i siebie gryźć będzie, i drugim niedogodnym się stanie mimowoli.

Skłonił się do kolan.

— Łaski jaśnie wielmożnego pana proszę... puśćcie mnie.

Dobek przystąpił doń żywo, obie ręce kładnąc mu na ramionach.

— Na miłość bożą! to i ty mnie stary chcesz opuścić! a toć mi zginąć przyjdzie.

Eljasz ruszył ramionami, głowę spuścił, oczy w podłogę wlepił.

— To nie może być, dodał Dobek: my się nie rozstaniemy.

— Niech-no się pan nie gniewa a posłucha, ozwał się stary: jest o czem radzić. Od wczorajszego dnia domu poznać nie można. Rządzą się jak szare gęsi... a toć przecie nie my do nich, tylko oni do nas przybyli i do naszego obyczaju zastosować się powinni. Rotmistrza nam tu nie trzeba, on tu słysząc zabiera się całą zimę siedzieć. Jejność co każe, jegomość zaraz spełniać poleca... oni w tydzień wszystkich nas przepędzą... Nie może tak być! nie może...

— Ależ powoli! syknął Dobek, pierwsze dni...

— Tak, a potem nie czas będzie...

Pan chyba nie wiesz co tu się gotuje. A no, głośno mówią, że jejność chce panienkę z jej pokojów przepędzić i sprzęt zabrać... przecież pana stało na drugi... Rotmistrz domaga się dwóch pokojów w zamku... Dalej i dla was, stary panie, miejsca nie stanie... A toż to dopiero trzeci dzień!

Zmilczał pan Dobek, bo czuł, że Eliasz miał może słuszość.

— Czekaj, rzekł cicho: wyczekawszy, cierpliwości, to się złagodzi.

Stary machnął ręką, pogładził głowę... zmilczał.

— Ani mi myśl odchodzić, rzekł Dobek: nie puszczyć...

Dopiero sobie przypomniawszy gościa, począł o niego rozpytywać gospodarz, i okazało się, że był wyszedł do stajni, a potem do Lorki zaproszony tam pozostał. Zamyślił się ojciec nieco, posłyszawszy o tem... a nie rzekł nic.

Więc już i ku obiadowi się zbierało, a no, o zwykłej godzinie gotowa nie była jejmość, bo dopiero pudermantel zrzuciła... musiano więc czekać.

Stary poszedł do córki. Zobaczywszy go samego Lorka, pobiegła uścisnąć i popieścić. W istocie, smutna jego twarz dopraszała się trochę pociechy. Rad też był zobaczyć Honorego... z którym już Lorka była w doskonałej komitywie. Żeby jednak to w błąd ojca niewprowadzało, zaraz na wstępie opowiedziała mu historję Dobków Konopnickich, chorążego i Honorego, i narzeczonej panny Bulhakówny. Stary, któremu co innego się już może śniło, widocznie zafrasował się posłyszawszy o tem, i niewyraźnemi słowy począł wieszować Honoremu i składać życzenia.

W godzinę może po zwykłej obiadowej dano znać, że pani była gotowa i że zupa na stole... Lorka zawahała się, lecz po namyśle poszła razem z ojcem i kuzynem.

Rotmistrz i reszta towarzystwa czekali już w jadalni. Porębie niepodobało się owo towarzystwo kuzynka, którego przyjął kwaśnym ukłonem. Chciał był przysiąść się do Laury, lecz mu zabieżono i Honory zajął przy niej miejsce, a z drugiej strony ciocia Henau. Rotmistrz skazany został na towarzystwo Rózi, lecz pił za to za dwóch.

Pani Dobkowa wystrojona bardzo świetnie, próbowała w czasie obiadu zachwycić przybyłego młodzieńca, zaczepiała go oczyma i słowy, speliło to wszakże na niczem, odpowiadał krótko, grzecznie, sucho, ale wziąć się nie dawał. Pod koniec więc zwróciła się ku mężowi i kilku słowy biednego znowu położyła trupem u nóg swoich. Gotów był w ogień i w wodę.

W tem usposobieniu przygotowawczem, odprowadziła go na bok po obiedzie do parlatorjum.

— Mój Salomku, rzekła: rotmistrz chciał nam uciekać, alem go uprosiła, żeby sobie u nas posiedział. Nie uwierzysz, jaki to doskonały człowiek do pomocy w gospodarstwie, tylko go popróbuj. U ciebie nieład być musi... ale, serce moje, on przywykł do wygod, dać mu trzeba dobre mieszkanie...

— To się zrobi... ale... tego... chrząknął Dobek... ale — rotmistrz miał pilno do domu.

— Ja go uprosiłam! Widzisz, mój drogi, oprócz ciebie, jam tu samymi otoczona nieprzyjaciołmi. Słaba kobieta rady sobiebym nie dała...

Pogładziwszy go pod brodę, na co stary odpowiedział przylepieniem się serdecznem do białej rączki, jejmość mówiła dalej:

— I dla mnie też o mieszkaniu, duszko, myśleć trzeba... ja nie mogę tak długo zostać. Powiem ci szczerze, dla jej własnego dobra, Laury tak pieścić się nie godzi, trochę jej cugielków przykrócić potrzeba... bo pozwala sobie! Na ślubie jejmościanka być nie chciała, kogoż to dotyka, jeśli nie was? Mnie to nic, a do was pito... Nie szanuje ojca, a cóż dopiero będzie z macochą? Na to trzeba radzić przez miłość dla niej... Najprzód tedy pokazać jej, że ona tu pierwszą być nie może, bo jest ktoś starszy. Jak tylko ten nudny gość wyjedzie, trzeba jejmościankę z jej pokojów wynieść. Trochę potrzebniejszego sprzętu niech sobie zabierze... ale ja też między czterema gołemi ścianami mieszkać nie mogę. Młoda się nie powinna przyzwyczajać do zbyt...
Słyszac to pan Salomon tak zbladł, iż jejmość się przelękała; uczuła, że może za śmiało postąpiła, nie cofnęła się jednak, dała po cichu wysapać się Dobkowi i dodała stanowczo:

— To dla jej własnego dobra. Jegomość musisz wybierać pomiędzy nią a mną. Ja nie mogę pasierbicy ulegać i jej się akomodować; trzeba żeby ona mnie uległa... Tego Dobka młodego odprawić co rychlej, a w domu porządek być musi...

Spodziewała się jejmość jakiegokolwiek odpowiedzi, napróżno, gdyż stary był tak przybity, iż słowa wyrzec nie mógł. Wymagania te przychodziły nagle... tak natarczywie... prawie niespodziane a stanowcze, że Dobek nie widział ratunku tylko w zwłoce i Opatrzności... Dowodzenia przeciwko córce wcale go nie przekonywały, a ścisnęły mu serce...

wiedział jak to kochane dziecię cierpieć miało, od pieszczot przechodząc do surowości nielitościwej.

— Waćpan, bo tak milczysz, mój panie Salomonie jakbym ja nie miała racji? rzekła jejmość; a to trzeba żebyś sobie raz na zawsze powiedział, moje kochanie, że ja rację mam kiedy co mówię!

Nie wydobyla z niego i tem żadnej odpowiedzi... lecz biorąc milczenie za zgodę, zaspokoila się tem tymczasowo. Dobek w duchu Pana Boga prosił, ażeby gość przynajmniej jak najdłużej pozostał. I ten dzień, i parę następnych przeszło prawie jednostajnie; Honory tylko z poufalością brata zbliżył się do Laury. Oboje wiedzieli, że jedno z nich wolnem nie jest, że o przyszłości żadnej marzyć nawet nie mogli, a to właśnie zamiast ich oddalić od siebie, zbliżało ich i spoufalało. Już drugiego dnia byli z sobą jak brat z siostrą i Laura, potrzebując się wyświadczyć z bolesnego położenia, opowiedziała Honoremu całe swe życie, całą przeszłość szczęśliwą, wszystkie marzenia i trwogi... Tak samo on odmalował jej konopnicki dwór, starego ojca chodzącego o kiju i kuli, Zosię Bulhakównę, proste, dobre dziewczę wiejskie, swe troski gospodarskie... swoje plany przyszłości... sąsiedztwo, życie, zajęcia i kółko, w którym się obracał.

Pomimo, że Konopnica leżała na ustroniu stosunkowo do innych okolic tej prowincji, do której się liczyła, jeszcze tam stokroć było życia i ruchu więcej niż w obumarłych Borowcach, więcej stosunków, częstszy goście, szumne zabawy... a coraz nowi ludzie.

Lorka słuchała opowiadań tych z zajęciem, jak rzeczy zupełnie nowych, których się zaledwie domyślała.

Po całych tak dniach gwarzyli przy pannie Henau robiącej pończoszkę i przysłuchującej się także opowiadaniom... Niewinne to były rozmowy... żadne z nich nie pomyślało nawet o zalotnem przypodobaniu się jedno drugiemu, a w końcu jednak... Laura uczuła, że bardzo pokochała tego brata i wечно po nim tęsknić będzie, a Honory westchnął potajemnie, dla czego jego pocziwa Zośka Bulhakówna do Lorki nie jest podobna....

Żadne z nich nie dało poznać drugiemu powziętego przywiązania, a po kilku dniach rozdzielić się prawie nie mogli. Lorka zostawszy się sama, tęskniła dopytując, co Honory robi, gdzie się podział, czemu nie przychodzi? a Honory odciągnięty od niej śpieszył, by wrócić co najprędzej.

Tak się jakoś te dwie ich pokrewne duszami natury doskonale z sobą godziły... Laura przyznała się nawet przed nim jednym ze swą passją do koni i ochotą latania po polach na rumaku, ubrała się raz do niego w mundurek, stosowany kapelusz, a chłopiek korzystając z tej maskarady, chciał braciszka pocałować... od czego się ten ledwie obronił.

Mało jednak było takich chwil pustych... częściej smutnie jakoś gwarzyli, czy się i kiedy jeszcze zobaczą na świecie... czy się poznają starzy po jakich latach trzydziestu. Lorka przynajmniej przy nim trochę o trosce macochy zapomnieć mogła, z czego ojciec był bardzo szczęśliwy, a po cichu sam i przez Eliasza zaklinał i prosił Honorka, ażeby jak najdłużej bawił. Nie domyślał się tego, że jak z jednej strony pobyt gościa trochę go ubezpieczał od napaści żony na Lorkę i zbytniego gospodarstwa, tak z drugiej stawał się niebezpieczeństwem...

Z każdym dniem skłonność Laury do brata tego rosła, a któż nie wie, jak uczucie młodym wieku niewiele czasu potrzebuje, ażeby się stać niezwykłym i zapisać na całego życia karcie? Jak pierwsze rośliny na wiosnę pędzą z ziemi w oczach prawie oblekając się liśćmi i kwiatem, tak i miłość dwudziestoletnia w jednym dniu czasem wyrasta, a w kilku całe swe przebywa dzieje.

Laura zamyślona pytała się już siebie: co się w jej sercu działo? i chwytala się na zazdrości, i powtarzała mimowoli: A! czemuż ja nie jestem tą Zosią! takby nam z sobą dobrze było na świecie!

Honory zapraszany, choć mu pani macocha kwaśną robiła minę, a rotmistrz codziennie przypominał, że sanna teraz dobra, a potem nagle przepaść może, siedział, zapominał o domu i wyrzucał to sobie. Z razu nie myślał wcale o kochaniu, ani się obawiał rozmówienia w tej siostrzyczce; dopiero po kilku dniach postrzegł się, że siedzieć dłużej byłoby niebezpieczeństwem. Sumienie kazało mu uciekać od patrzących oczu i serdecznego wejścia dziewczęcia, które żadnego uczucia utaić nie umiało...

Nawet panna Henau nigdy nic złego nie przypuszczająca, dopóki dowodów jawnych nie było... zaczynała się trwożyć zbytkiem czułości Laury dla pana Honorego... Było to

tak bijące w oczy acz niewinne, że panna Fryderyka uznała za obowiązek swój rozmówić się z wychowanką.

Jednego dnia rano, nim jeszcze Honorek, który tu na kawę przychodził, został powołany, panna Henau zbliżyła się do Laury, objęła ją, popatrzawszy długo w czyste jej niebieskie oczy, szepnęła:

— Droga moja... jabym ci coś powiedziała.

— Śmiało, cioteczko! cóż takiego?

— Mnie się zdaje... tylko mi się nie burz na to co ci powiem.... że ty jakoś dziwnie zajęłaś się tym bratem i możesz mu mimowolnie zawrócić głowę.

— Ja? jemu? głowę zawrócić? z wybuchem radości przerwała Laura. Ciociu? mogłoby to być? Ot! tobym była szczęśliwa!

— Jakto? ależ zaręczony?

— To co? zawołała Lorka: to niech się żeni, ale całe swoje życie niech o mnie myśli, kocha, marzy i oddycha!

— Ale, droga Lorko! pleciesz jak dziecko... na cóż ma cierpieć?

— Alboż to cierpienie? podchwyciło dziewczę... Ręczę cioci, że ja o nim do zgonu myśleć i kochać go będę; czemuż on nie ma mi się wypłacić wzajemnością!

Ciocia Henau, osoba nader surowych zasad, usłyszawszy to, ręce załamała, oczy spuściła, struchlała.

— Cicho! Lorko! jakże ty możesz mówić coś podobnego!

— A dla czegoż miałabym się z tem przed ciocią taić?... Samo tak jakoś przyszło! Pan Bóg da! On o niczem nie myślał, mnie w głowie kochać nie powstało, cóż my temu winni, że... mimowolnie przywiązaliśmy się do siebie?...

Ale, co ja plotę? przerwała Laura... on, pewno nie, — a ja, niezawodnie na całe moje życie!

— Na Boga! Lorko, cicho!..

— Sama ciocia wywołała...

— Proszę cię, kiedy się już przyznajesz do tego, staraj się zapobiedz...

— Czemu zapobiedz? na co zapobiegać? ofuknęła się Lorka... Niechże mnie ciocia posłucha! Ja mu się przecie żenić z Zośką Bulhakówną nie bronię... niech się żeni, byle mnie kochał... a ja za mąż iść nie myślę i będę go sobie jednego kochała! alboż to grzech? moja ciociu? czyż to grzech być może?

Ciocia ze spuszczonei ciągle oczyma stała drżąca, jakby się już tylko modliła do Boga o odwrócenie groźącego nieszczęścia. Lorka z tego przerażenia dopiero zaczęła wnosić, że to uczucie, do którego się przyznawała tak naiwnie, w oczach obcych ludzi mogło groźniejszym się wydawać, niżeli dla niej było... Uściśnęła ciocię dla uspokojenia...

— Niechże ciocia znowu nie lęka się o mnie, bo ja się nie wydam nigdy z tem, że go tak kocham! Musi sobie sam to odgadnąć, bo mu tego pewno nie powiem nigdy. O! już o to proszę bardzo być spokojną... Nam przecie jako bratu i siostrze... choć to takie dalekie, dalekie pokrewieństwo, że namby nawet ślub dać mogli... ale, co ja plotę! — jako bratu i siostrze bardzo serdecznie kochać się wolno...

— Moja Lorko... już dosyć tego!

— Więc dosyć, ale przysięgam cioci, że ja go do śmierci kochać będę...

Na te słowa szelest się stał u progu i wszedł właśnie Honorek, który nieszczęściem nie słyszał, a skutkiem rachunków z własnym sumieniem smutny był i niespokojny. Laura zobaczywszy go zarumieniła się nieco, lecz wesoło ku niemu podeszła. Ciocia zmieszana musiała trochę się usunąć na stronę, by nie dać poznać tego po sobie. Chmurka na czole gościa nie uszła żywego wzroku Laury... która spytała się cicho, głosem pełnym uczucia:

— Co ci to jest?

Zwali się już siostrą i bratem...

— A! nic, a nic... trochę mi tylko ojciec stary śni się i przypomina (nic już nie wspomniał o narzeczonej); trzebaby powracać do niego...

— Jakto? już? już wracać? to ci tak źle u nas?

— Dobrze mi, aż nadto dobrze... ale...

— Wszak wrócisz tam na zawsze, a dla nas tylko tych kilka chwil odkradzionych z życia twojego zostało. Wrócisz tam do ojca, do narzeczonej... a ja zostanę sama (bo mi i ojca odebrano) z macochą! Nie liczę się tak ściśle z temi dniami...

Wyciągnęła rączkę białą... Honorek schylił ku niej usta, pocałował i zatrzymał w dłoni, patrząc na nią z takim uczuciem miłości i bólu, że Laura z radości się zarumieniła. W tem spojrzeniu pożyły się milcząco ich dusze, mówić nie potrzebowali...

— Nie jedź jeszcze, rzekła Laura: ojciec cię prosi, a ja — każę.

Ostatnie słowo ciche, poparła spojrzeniem wymownem, i w chwili, gdy oczy jej wracały z tej wędrówki, spotkały źrenice ciotki przerażone, spoglądające na nią z wymówką i przestrogą. Pobiegła Laura do swoich ptaszków dla ukrycia co się z nią działo, i zaczęła trzpiotać się i szczebiotać jak one. Dzień zimowy był piękny, słońce już wiosenne mu przyświecało... szron okrywał drzewa i drobne gałązki, i trawy zeschnęły na murach zamku postroił w brylanty... Na płowem tle nieba ta świeża biel i kryształowe rysowały się z takim wdziękiem, z jakim czasem srebrny włos starca podnosi się nad rumianą jego twarzą. W tym obumarłym krajobrazie zimowym już czuć było zapowiedź wiosny... Laura spojrzęła na zamek i krzewy otaczające go, na ten ubrylantowany poranek, i zwracając się do Honorego, spytała:

— Rączkę, żeś pan brat jeszcze ani razu nie obszedł naszego zamczyska i nie poznał się z niem i jego tajemnicami... Dziś ono tak ślicznie wygląda, żebym oprowadzić chciała po naszych ruinach... Gdyby ciocia poszła z nami, byłoby nam bardzo przyjemnie, a jeśli nie może...

— Idę, moja Lorko, idę — przerwała nastraszona panna Henau...

Nie wiem czy to w smak było Laurze, lecz przyjąwszy ofiarę, poszła się sama trochę przybrać i wprędce wróciła w sobolowej czapeczce i aksamitnej jubce takimże futerkiem obłożonej... Ciocia musiała się trochę cieplej ubrać, bo do powietrza nie bardzo była przywykła. Honory nie potrzebował dla małego przymrozku nic brać na siebie, bo na zimno był wytrzymały. Wszyscy troje tedy wyszli z baszty, najprzód na ogródek Laury, który bramę starą od ruin oddzielał... Poschłe kwiaty i krzewy w szronie tym nabrały szczególnego wdzięku, ogródek był jakby skamieniały, a wczorajszego życia pełen... brakło mu tylko barwy... Gałązki obciążone kryształami, zginały się jakby liście dźwigały i kształtne tworzyły łuki; najdrobniejsze źdźbło niewidzialne prawie, oblane białym puszką, stawało się na chwilę znowu jakby młodą latoroślą... Ginące w lecie na szarem tle murów wstępy trawy i mchy występowały na tę uroczystość zimową, tworząc jakby kaskady, wieńce i długie sploty... Lecz najśliczniejsze były drzewa, którym stracone wróciły formy, a w oddali wierzyby, krzaki, łoziny, uschnięte topole zaokrąglają się wdzięcznymi liniami, jakby chciały lato przypomnieć... Z sosen i jodeł gdzieś wietrzyk i słońce spędziły ten strój chwilowy, posępnej ich barwie za świeży i płochy, i zieleń ciemną przegłębiała smutna, wstydząc się, że tak brudną była przy tym śmierci całunie.

Lorka z Honorą tak się zagadła zaraz na wstępie wchodząc do ogródka, że poleciawszy przodem, o nadążającej z ciężkością cioci Henau zapomnieli. Ona też z obowiązku idąc za nimi, po pierwszych kilkudziesięciu krokach próby zwątpiła, ażeby w ślad pójść mogła... było to nad jej siły.

— Proszę cię, bracie — zawołała Lorka wskazując mu oddalone bory i smugi okryte śniegiem... nie jestże u nas w tej pustyni tak pięknie, że tu i żyć i nie tęsknić można do reszty świata? Tu człowiek czuje się panem... nie ocierając o nikogo, coby mu szeroką piersią tchnąć przeszkadzał... Pustynia — lecz... jakby tu szczęśliwym być można!..

— Szczęśliwym! śmiejąc się smutnie, rzekł Honory: mnie się zdaje, można być wszędzie, gdy się jest z tymi, których się kocha...

— To prawda, mój bracie... ale gdy ludzie jak muchy i osy brzęczą, latają i przeszkadzają, nawet tego szczęścia napić się, uczuć nie można... Gdy tam powrócisz do Konopnicy... przypomnij sobie piękny ten poranek i nas... i smutne Borowce... i mnie!.. Pamiętaj!

— Gdybym chciał i powinien, nie potrafię zapomnieć Borowiec, rzekł wzruszony Honory... a gdybym o Borowcach zapomniął... będę o tobie pamiętał.

— Pewnie? spytała Laura poważnie.

— Czyż o to pytać potrzeba i odpowiadać, i — przysięgać?..

— Boby to bardzo smutnem było, dokończyła Laura, gdybyś... przyniosłszy nam, mnie trochę pociechy... rzuciwszy ją jak jałmużnę... o żebrakach zapomniał...

— Zbyt żywo się wraziło w pamięć to... co tu spotkałem... nieśmiało odpowiedział Honory. Wy o to mieć nie możecie obawy, bym ja zapomniał o was... ale ja?

Laura popatrzała z uśmiechem.

— Czy żądasz na to przysięgi?... bo ja... tom nawet przysiędz gotowa! W tej smutnej życia mojego godzinie splotło się wszystko co najboleśniejszego i najszcześniejszego mógł mi dać los, jednego od drugiego oderwać niepodobna. Są to godziny wiekuiście niezapomniane... a wy w nich, kochany bracie, promieniejecie mi jasno...

Któż wie, mówiła idąc ciągle, kto wie co życie przyniesie, co zgotuje dola moja?... radabym mieć kogoś w świecie, do kogobym o ratunek, o obronę, o pociechę zawołać mogła... Wy pojedziecie... ja wiem co mnie tu czeka... odbiorą mi jedyny skarb, serce ojca... on słaby jest i upojony, oczarował go ten upiór, który z nas krew i życie wysysa... Gdy serce to tracę... zostanie mi może tylko jedno wasze, braterskie... na które — prawda, że zawsze rachować mogę?

Honory ze współczuciem patrzył na nią.

— Tak na mnie rachuj, zawołał, jak tylko na człowieka, na sługę, na niewolnika liczyć można... Wstydzilibym ci się przysięgać, jeżeli nie czujesz, że w tem słowie daję ci — życie moje.

Podali sobie ręce... a oto i ciocia Henau nadażyła właśnie wielce skłopotana tym uściskiem... Lecz gdy nadeszła, Laura już opowiadała Honoremu historję baszty i białej niewiasty, która się tu miała okazywać w każdy dzień zaduszny... Nie było w tem nic zdrożnego i ciocia się uspokoiła.

VIII

Z wielką niecierpliwością oczekiwany przez jednych Borowiec mieszkańców, przez drugich z trwogą niemniejszą, dzień wyjazdu Honorego Dobka nadszedł wreszcie. Pobytu swojego dłużej już nie mógł przeciągnąć chłopak, choć odjeżdżał z sercem rozdartem. W kilku ostatnich dniach, zdawało się, że niebaczna Laura zapragnęła go na wieki do siebie przywiązać i sama w sobie uczucie rozzarzyć tak, by na życie go stało. Z dziecinną naiwnością igrała sobie z tym płomieniem, którego tylko blask znała... Honory nie mógł się jej oprzeć, nie mówili sobie nic więcej nad to, co powiadały oczy, lecz rozumieli się niemi, i słów nie było potrzeba.

Młody Dobek powstrzymywał siebie i ją, udając wesołość, często w żart obracając słowo poważne; ona tem silniej starała się go przekonać, iż do wyrazu tego przywiązywała wagę przysięgi. Ostatniego wieczoru, nie śmiejąc mu dać obrączki na te ducha zaręczyny, bo wiedziała, że duszą tylko do niej należeć może, zmusiła Dobka, by przyjął od niej stary medalik, który po pradziadku jej został... Kazała mu go nosić zawsze, nie zrzucić nigdy, a patrzeć nań co wieczór... o tej godzinie, w której żegnali się z sobą. Nazajutrz do dnia Honory wyjeżdżać musiał...

W miarę jak się ta godzina rozstania zbliżała, Laura nabierała męztwa i zdawała do walki gotować, która ją czekała... Z rana, spytała o Honorka czy pojechał? Odpowiedziano, że ruszył do dnia.

— Ciociu, rzekła: dziś się wojna rozpocznie...

— Jaka wojna?

— Z upiorem, z macochą, wiem doskonale, bo się z tem nie tai, że mnie ma ztąd wypędzić i zabrać nawet sprzęty... Com miała droższego dla siebie, to wcześniej pochowane... czekam rozkazu, ustąpię. Nie zniżę się do łez i walki, ojca mi żal, oszczędzę go...

— Ale to ci się śni! odpowiedziała uspakajając ją ciotka.

Tymczasem nie było to przywidzenie. Laura, ukochane dziecię, w całym dworze miała przyjaciół i sprzymierzeńców; choć słuchać nie chciała donoszono jej o wszystkim... cokolwiek pochwycić się dało, każde słówko macochy, groźba... nieostrożne wyaplanie się rotmistrza dochodziło tu, przynoszone z trwogą. Słudzy gotowi byli do największych dla niej poświęceń... Mogła rozkazać co chciała, będąc pewną, że w jakikolwiek sposób żądanie każde będzie spełnione. O ile Laura była ukochaną, o tyle od pierwszych dni wszyscy zniechęcili tę narzuconą panią, której posługiwano niechętnie, a nieszczęśliwy

rotmistrz, choć na pozór krzywda mu się żadna nie działa, czuł, że był w nieprzyjacielskim obozie. Wszystko jednak odbywało się tak zręcznie, iż na nic poskarżyć się nawet nie było można. Począwszy od staro Eljasza, słudzy zdawali się głusi i niemi dla tych przybyszów... nikt nie wdał się w rozmowę, na pytania odpowiedzi były skąpe i niechętne... W miasteczku spotykali tę samą niechęć i opór bierny ku sobie, który rotmistrza i Sabinę do wściekłości doprowadzał.

Wzywany na ratunek pan Salomon, biegł, rozkazywał, pozywał, i zawsze ludzi znajdował niewinnymi... a sam za wszystko cierpiał.

Pani Dobkowa znosiła swe położenie zzymając się, lecz odkładając ostateczną naprawę do wyjazdu gościa, którego świadkiem burzy mieć nie chciała... Wstawszy tego dnia z rana i ona najpierwsza, pannie Róży zadała pytanie: czy ten utrapiony Litwin wyjechał?

Różia, która była zakochana w jego pięknej twarzy, odpowiedziała z westchnieniem, iż go już nie było. Powołano natychmiast pana Salomona.

Stary wiedział już co to znaczy, i szedł powoli jak na ścięcie. Niecierpliwa jejmość czekała nań w progu, wpuściła do pokoju, i zamknawszy drzwi... poczęła od pogłaskania pod brodę. Był to cukier, którym każdą gorzką dlań osładzała pigułkę. W odwodzie za jejmością stał już milczący, ale w gotowości do boju, szanowny rotmistrz...

— No, Salomonku, tego natrętaśmy zbyli, trzeba przystąpić raz do uczynienia tu porządku...

— Jakiego porządku?

— Proszę cię nie udawaj, że nie wiesz... mówiła pani. Sto razy zapowiadałam i jeszcze raz powtarzam, że tego wstydu nie zniosę dłużej, ażeby mi twoja dziewczyna zabierała najlepsze pokoje i sprzęty... Dziś mi się wynieść musi.

— Ale moje życie! moje życie! krzyknął Dobek... zlituj się... to dla niej będzie.

— Dość tych pieczęt! psujesz ją, powiadam ci! a już popsuta jest, jak nie może być gorzej! Na nic oczu nie miałeś i pociechy z niej mieć nie będziesz, gwałtownie poczęła krzyczeć Dobkowa. Po całych dniach i wieczorach wysiadawali tam z tym niby kuzynkiem na romansach... ty i na to byłeś ślepy... Ale ja się w to nie wdaję, jak sobie pościele tak się wyśpi... niech tylko mnie w drogę nie włazi... Chodź waćpan zemną.

— Dokąd? zapytał Dobek...

— Dokądże? do niej...

Pan Salomon porwał ją za rękę, całował, szeptał, ukląkł składając dłonie i błagając.

— Pokoje dla ciebie, Bisiu moja! będą gotowe za parę tygodni! ubiorę je daleko paradniej... Klnę ci się na wszystko najświętsze... tylko mi Lorki nie tykaj...

Oburzyła się strasznie jejmość.

— A ja właśnie jegomości z tego zaślepienia, z tego bałwochwalstwa muszę raz wyleczyć... Ją trzeba upokorzyć! Będzie myślała, że i ja się jej lękam! Waćpan wiesz, że ona mi nigdy głową nie kiwnie, słowa nie przemówi...

Odepchnawszy klęczącego Dobka, jejmość otworzyła drzwi, przeszła korytarz wlokąc za sobą męża... Rotmistrz przez jakąś rachubę czy strach pozostał w pokoju. Przebiegła szybko parlatorjum, stukając za sobą drzwiami, i wpadła już rozhukana i gniewna do mieszkania Laury. Dziewczę uspokojone o ile tylko umiało i mogło się uspokoić, siedziało czekając zdaje się wtargnięcia macochy — nad Biblią. Wypogodzenie jej twarzy, powaga... uczucie jakiegoś mężnego malującego się w spojrzeniu, rozgniewaną Dobkową więcej jeszcze rozdrażniło.

— Mościa panno, zawołała stając przed nią: nie przystoi, abyś mi najlepsze izby w domu zajmowała i rozlegała się w nich, gdy ja w ciemnym kącie cisnąć się muszę. Dość już tego... od dziś zajmuję to mieszkanie, a waćpanna wynosisz się, gdzie się jej podoba... to mi wszystko jedno...

Laura potrafiła się powstrzymać od wszelkiej oznaki niecierpliwości... zwróciła się powoli ku stojącemu za macochą ojcu, i zdawała się jego pytać wejrzeniem o potwierdzenie rozkazu. Dobek stał niemy.

— Czy waćpanna nie słyszysz? powtórzyła z największą furją Dobkowa.

— Owszem, słyszę — cicho, łagodnie i spokojnie odezwała się Laura; lecz czekam rozkazu mojego ojca...

— Mój waćpannie nie starczy?

Na to pytanie odpowiedzi nie było...

— Moja droga Lorko, rzekł w końcu Dobek nagłony groźnym wzrokiem żony: moja Lorko, dla świętej spokojności, uczyni to, proszę... ja ci..

Dobkowa nie dała dokończyć tupiąc nogą. Laura popatrzała długo na biednego ojca, wstała z krzesła, podeszła ku niemu, ucałowała go, i zabrawszy Biblię... odpowiedziała łagodnie, uśmiechając się:

— Mój drogi ojcze.. najchętniej, uczynię co ci tylko miłem być może... Uspokój się...

I nie spojrzawszy nawet na coraz bardziej rozłoszczoną macochę, która na krzesło padła cała trzęsąc się od bezsilnego gniewu... Laura powoli wyszła...

Dobkowa została wprawdzie panią placu bitwy, ale w tejsze chwili stary Salomon, mimo jej nawoływania, zdezerterował i pobiegł nie słuchając głosu jej za córką... To dopełniło kielicha goryczy i namiętności podburzyło do najwyższego stopnia. Z gniewu poczęła Sabina płakać... została sama, zwyciężyła, lecz nie był to tryumf jakiego pragnęła... Czując, że cierpliwością i łagodnością, których się spodziewała, została pobita. Salomon nie powracał... żywej duszy dokoła, wszystko się nawet z kobiecych pokojów rozbiegło za Laurą, która zstępowała po schodach do pokojów przy mieszkaniu ojca... Szło jej tylko o wyratowanie także cioci Henau, która oczywiście w sąsiedztwie pani Dobkowej pozostać nie mogła. Ojciec całując ją po rękach, szeptał, zapewniając, iż jej nowe mieszkanie uczyni takim, jakim ona sama zechce.

— Tatku kochany, proszę cię, nie frasuj się tem... nie jestem dziecko! Przy tobie, z tobą będzie mi dobrze! Prawda, te moje izdebki kochane, pieszczone, które lata szczęśliwe przypominają, są mi drogie... każdy tam kątek ubrany w pamiątkę... lecz... bylebyś był spokojny...

Salomon odetchnął lżej... Znakiem jednak żalu, jaki miał do żony, było, że się na gorze już nie pokazał... Pozostała tam sama z rotmistrzem, Rózią i służącą, bo ze służby dworu, która się bodaj umyślnie rozbiegła, nikogo dowołać się nie było podobna. Rózia i rotmistrz rozpatrywali się w sprzętach, podziwiali elegancję, a jejmość chodziła zasępiona jak noc...

Chciała rozmówić się z mężem, lecz mieszkanie jego znalazła zaryglowane, a wiedziała już o tem, że w takim razie próżno się było do niego dobijać. Błądziła więc po domu sama, nie mogąc ludzi znaleźć nigdzie, aż do obiadu...

Rotmistrz widząc, jaki rzeczy obrót biorą, choć nie był zbyt przenikliwy, zamyślił się bardzo.

— Wiesz co, Sabciu, rzekł po cichu: niech ich lichu porwie!.. jakoś ty nadto prędko i gwałtownie idziesz... żeby biedy nie było... Mnie się coś tu nie podoba... Ci ludzie i ten Dobek... i takie tu rzeczy gadają po mieście... o zamku i o dawnych sprawach tej familji... dalipan! coś mi się nie podoba...

— Boś tchórz! zawołała rozgniewana jeszcze Sabina: powolnością z nimi nic nie dokazać... ja wiem co robię...

Rotmistrz zmilczał. Godzina obiadowa nadeszła, wszyscy się według zwyczaju zgromadzili... Laura była biała, ale spokojna i jakby na przekór uśmiechająca się. Dobek milczący zawsze, teraz zdawał się tak ponury, że na ponowione pytania, ledwie mrużeniem odpowiadał. Atmosfera ciężka jakaś była i zapowiadająca nową burzę... Kilka razy chciała wznowić rozmowę o mieszkaniu pani Dobkowa, lecz nikt nie podniósł co mówiła i nikt się nie sprzeciwiał. Musiała umilknąć. Na wieczór już królowała w nowych pokojach, z których w istocie mniej miała pociechy niż sądziła... Zwycięstwo wszakże radowało ją mocno, przed rotmistrzem przynajmniej chwaliła się z niem, szydząc z Laury, która jak niepyszna ustąpić musiała...

Wieczorem późnym spotkała ją druga nieprzyjemność. Miała niezmiennie postanowienie odebrać rządy majątku, i kasę, i klucze do siebie... Zdało się jej, że wypadnie zacząć od tego tajemniczego wielkiego klucza, który jegomość nosił zawsze na szyi, a wieczorem składał pod swoją poduszkę... Zaczęła więc domagać się powierzenia go, w sposób łagodny, perswadując, że mu to ulży kłopotu, że ona będzie jego najwierniejszym podskarbin i t. p. Nie szczędziła przytem pieszczot, a nawet pocałowała go parę razy. Dobek był bardzo z tego szczęśliwy, jednakże gdy mowa tylko zwracała się do klucza, oczy mu się iskrzyły dziwnie, usta zacinał i wyraz twarzy zaczynał być groźnym... Trwało to ucieranie się i próby z godzinę... nie doprowadzając do niczego; naostatek przywiedziony do ostateczności pan Salomon, zerwał się z łóżka i zawołał:

— Chcesz wiedzieć co jest pod tym kluczem? nie mam żadnych pieniędzy, to klucz — od grobów... Chcesz waćpani klucza do grobu?.. chcesz zemną iść do grobów? proszę... chodźmy...

Trzęsący się głos, w którym po raz pierwszy gniew tłumiony się przebijał, te zaprosiny do grobu... ten gorączkowy pośpiech Dobka, który klucz już trzymał w rękach, przestraszyły na prawdę nieulekłą dotąd kobietę. W tym człowieku posłusznym aż do zdziennienia dla siebie, postrzegła jakby drugiego, skrytego, nieznanego sobie dotąd — potomka tych ludzi, o których krwawych historjach rozpowiadano...

Uśmiechnęła się blado...

— No, a gdzie pieniądze trzymasz? zapytała.

— Jakie pieniądze? odparł chmurno jeszcze pan Salomon...

— A te skarby wasze?

Jakie skarby? powtórzył dziwnym głosem stary: ja nie mam żadnych skarbów... Mamy tyle ile nam potrzeba... ale zapasy te... w głowie chyba warjatów siedzą!.. Ja nie mam żadnych skarbów i pieniędzy... Co się waćpani śni?... dość tego...

Jejmość zamilkła... Dobek był widocznie blizki wybuchnięcia gniewem. Zamyśliła się i — odroczyła resztę na później. Widziała już, że tu siłą nic nie dokaże; sądziła, iż znajdzie na to inne środki. Nie wyrzekła się tego, co w plany jej wchodziło... musiała jednak wykonanie odroczyć.

O tym wypadku nie wspominała nic rotmistrzowi nawet, wstydziła się omyłki, potrzeba jej było jak najrychlej teraz pozbyć się z domu Laury, odprawić ciotkę, sam na sam zostać ze starym, na którego one wpływ mieć mogły, i z wolna dostać się do klucza od skarbcza, o którego istnieniu była jak najmocniej przekonana.

W tem, nie mając nikogo innego pod ręką, zamierzała się posłużyć rotmistrzem, który ożenienie z panną Laurą uważał za możliwe i sądził, że je potrafi doprowadzić do skutku z pomocą wszechmocnej pani.

Wola córki nie wchodziła tu w żadną rachubę, ojciec powinien był ją zmusić do tego... zresztą Poręba miał odegrać rolę obrońcy i stanąć nawet w pozornej opozycji ze swą protektorką, ażeby serce — jeśli było można... pozyskać. Plan tak ukartowany miał się tedy przyprowadzić do skutku...

Jejmość zagadnęła najprzód Dobka, czyby nie najlepiej było wyszukać dla panny Laury męża takiego, statecznego, w wieku dojrzałszym, któryby ją mógł poprowadzić, gdyż inaczej groziło jej w życiu niemałe niebezpieczeństwo. Słuchał Dobek jednym uchem... Gdy wymówiła nazwisko rotmistrza, rozśmiał się.

— Cóż to śmiesznego? spytała.

Pokiwał głową.

— Co to śmiesznego? powtórzyła...

— Lorki przeciwko jej woli za mąż nie wydaję, rzekł stary, to pewna.

Znowu jakoś zbyt to orzeczenie było stanowcze, żeby jejmość ważyła się wbrew sprzeciwie. Odłożono...

Rotmistrz około dolnych mieszkań błądząc, kilka razy miał ochotę wielką odwiedzić pannę Laurę, drzwi dla niego były zamknięte, a służąca odprawiała go tem, że panna nikogo u siebie nie przyjmuje. U stołu na zapytania pana Poręby nie było nigdy odpowiedzi... Na przechadzkach i w stajni, kędy na nią czatował, nie doprosił się ani wejrzenia, ani słowa...

Jednego dnia, gdy za nią nadążał spotkawszy na przechadzce, Laura obróciła się wreszcie i stanęła oko w oko.

— Czego pan chcesz? spytała.

— Nad wszystko towarzystwa pani i pozwolenia, bym jej mógł służyć...

— Gdyby to towarzystwo było dla mnie właściwe i miłe, mój panie rotmistrzu, odezwiała się Laura z szyderstwem nielitościwym: od czasu jak pan tu bawisz, byłabym z niego korzystała. Wybijże pan sobie z głowy to natręctwo, i proszę, daj mi pokój!

— Ale, królowo moja, tylko dwa słówka, rzekł rotmistrz. Pani mnie masz za nieprzyjaciela dla tego, że ja tu z moją kuzynką przywędrowałem, która pani dosyć dokuczyla. Otóż, słowo daję, ja potępiam jej postępowanie, gotów jestem stanąć w obronie pani... zwrócę się przeciwko niej, wystąpię jawnie...

Laura zaczęła się śmiać, zmierzyła go od stóp do głowy oczyma... ruszyła ramionami i poszła nie odpowiedziawszy słowa. Odprawiony w ten sposób, jakoś nie wiedział co dalej ma robić, i pozostał. Tegoż samego wieczoru wyznał się przed Sabiną i odebrał radę i rozkaz, żeby dalej grał rolę zakochanego obrońcy, nawet przeciw samej pani, żeby przestał bywać u niej, słowem, by stanął po stronie Laury i całego dworu...

— Nie wiem co bym dała, rzekła Sabina, żeby mnie kto raz od niej uwolnił!

— Byłby na to jeszcze jeden sposób... bąknął zamyślony Poręba, ale trochę ryzykowny...

— A! z kim innym zręczniejszym — wtrąciła Dobkowa — byłoby tysiąc sposobów, ale ty jesteś ociężały i niezręczny...

— Hę? ja? rozśmiał się rotmistrz: ot to dobre ja ociężały!

— Jakież sposob? spytała.

Poręba zbliżył się do ucha...

— A no, bardzo prosty... Ona lata i chodzi sama albo z tą cicią, gdzie się jej podoba... dwóch ludzi, cztery dobre konie... porwać ją i uwieść, to się sama potem prosić będzie do ślubu.

— Hę? rozśmiał się Poręba, a co? ociężały jestem? ociężały!

— Bardzo dobry sposób, tylko mi się coś zdaje nie dla ciebie, bo ty tego nie dokażesz...

— A gdyby? spytał rotmistrz...

— Cóż ty się mnie pytać potrzebujesz? odparła Dobkowa; jam o tem wiedzieć nie powinna, ja o tem wiedzieć nie chcę, lecz gdyby się co podobnego zdarzyło... hm! toć wiesz, że bym się nie gniewała.

Poręba myślał... mruczał, chodził.

— A no, to — zobaczymy, rzekł, kiedy inaczej nie można... w ostatku trzeba coś ryzykować, choć to diabła sprawa... boć za porwanie szlachcianki gardłem pono karzą, bannicją infamią.

— Otóż to, dokończyła Dobkowa, a ty pewnie dla wilka nie pójdziesz do lasu.

Pierwsza w tym przedmiocie rozmowa została przerwana, obojgu państwu jednak... utkwiała w pamięci.

Szczególniej rotmistrz sobie myśl swą szczęśliwą zapisał, ażeby dobrze rozważyć, czy ją mógł bezpiecznie wykonać. Podobała mu się Laura wielce, choć od niej doznawał pogardy; może właśnie pewna chęć pomszczenia się za nią, była bodźcem dla Poręby. Nie był to tak bardzo zły człowiek, lecz głowa nietęga, serce zastygłe, a rozpróznowany służbą wojskową i popsuty, często nienajlepszym towarzystwem, życia nigdy z poważnej strony nie widział... Od najpierwszej młodości, ubogi, zaciągnął się do wojska, i na leżach a po stacjach i obozach, bezczynny strawił lata najdroższe w życiu hulackiem, żołnierskiem a bezmyślnem... Później spadło na niego szczupłe dziedzictwo w Mazowszu, na które pośpieszył, aby je wprędce nadwreżyć, bo gospodarzem nie był wcale, a zdało mu się, że z kawałka ziemi można ciągnąć bez miary. Dopóki towarzystwa stało i piwnicy, siedział ziewając na wsi; gdy przyszły cięższe czasy, począł do Warszawy jeździć, żeby się tam z dawnymi znajomymi rozerwać i pobałamucić. Innego życia nie znał. Tam poznał piękną Sabinę, jeszcze naówczas niezamężną i byłby się z nią ożenił, gdyby nie Nosko, który był majątniejszy i został przyjęty. Zachował jednak, najmniejszej nie mając urazy do rywala, dawne zapęły ku pięknej Sabinie i stosunki najczulsze po wyjściu jej za męża. Nosko był trochę zazdrosny, musiał więc wielce ostrożnie postępować, i z tego powodu wynalazł sobie niebywałe pokrewieństwo z jejmością. Po śmierci męża pierwszy przybiegł na posługę, nie sprzeciwiał się wszakże projektom względem bogatego pana Dobka, gdyż pieniądź, którego znaczenie w życiu dobrze znał, szanował wielce. Jejmość miała w nim potulnego służkę i wiernego przyjaciela, choć w dłuższych stosunkach na wartości jego dobrze się poznać umiała. Z nią to razem osnuł wyborny plan wydania Laury za niego, do czego ten tylko był przywiązany warunkiem, aby sobie posag odebrał, na Mazury jechał i więcej z nią nie wracał. Posag, który musiał być znaczny, nęcił niezmiernie rotmistrza, mającego nadzieję, że może później, gdy się okoliczności złożą — i Borowce zagarnie. Inne w tym względzie były widoki jejmości, która majątność tę spodziewała się odziedziczyć sama. Nie mieli ani potrzeby, ani zręczności obszerniej o tem mówić z sobą.

Rotmistrz, gdy raz myśl dojrzewać zaczęła, rozważał środki wykonania. Szło mu najwięcej o ludzi pewnych, gdyż w Borowcach nie mógł ani pomyśleć o znalezieniu po-

mocników. Tu wszyscy byli ciałem i duszą oddani Dobkom, a rotmistrzowi nieprzychylni, nie było co i próbować. Drugiego dnia zaraz pojechał do Smołochowa na wzwiady, choć nikogo na myśli nie miał. Ale tu także lud bojaźliwy, spokojny, do tego rodzaju przedsięwzięć się nie dawał. Rotmistrz przeszedłszy się po dworze, zajrzawszy jednemu, drugiemu w oczy, pomówiwszy z młodszymi oficjalistami, przekonał się, że nie znajdzie pomocnika... Potrzeba mu było determinowanych ze dwu ludzi, którzyby się nie zlekli krzyku, nie obawiali zbytnio odpowiedzialności i nie brali całej sprawy zbyt skrupulatnie. Dowiózłszy bodaj tylko do Smołochowa porwaną dziewczynę i ukrywając ją tu jakiś tydzień, pewien był, że się potem na małżeństwo, *volens nolens*, i ojciec, i ona zgodzić muszą. Sam bez pomocników ważyć się nie śmiał, bo czuł, że opór będzie silny i siłą tylko a nie postrachem potrafi zmusić do tej podróży. Żał mu było, iż z dawnych swych wojskowych dobrych towarzyszy nie miał nikogo pod ręką.

Z wycieczki tej powróciwszy bez skutku, zameldował tylko pani Dobkowej, że gospodarstwo idzie dobrze... i znowu siadł w Borowcach, myśląc co pocnie. Utrapiąca myśl owego *raptu* chodziła mu nieustannie po głowie.

— Cożeś tam w Smołochowie robił? spytała go Dobkowa, gdy powrócił.

— Cóż miałem robić? obszedłem gospodarstwo, napiłem się wódki, pogadałem z Będziewiczem — i trzeba było nawracać, bo tam strasznie nudno, od czasu jak Sabki niema.

— Ale po cożeś jeździł?..

— Mam się przyznać? zniżając głos, rzekł rotmistrz: szukałem sobie ludzi do pewnej roboty, ale ich nie znalazłem... Potrzebuję dwóch rezolutnych jak ja i determinowanych... a o takich to trudno.

— O takich jak wy? zawołała Dobkowa... i rozśmiała się. O takich jak wy! Dobrze, że choć sami o sobie niezłą opinię macie!.. A do czegoż wy jesteście zdadni?... jeść, pić... i czasem na gitarze pobrzdakać?..

— Da się to widzieć, do czego ja się przydać mogę, mościa dobrodziejko — rzekł Poręba.

— Nawet do uwolnienia mnie od tej nieznośnej dziewczyny się nie przydałeś — dodała cicho. Trzeba, żeby ci jeszcze kto i to gotowe dał, bo sam ani wymyślić, ani dokonać...

— Da się to widzieć, powtórzył rotmistrz.

Ubodnięty tą wymówką, nazajutrz przybył w podróżnym stroju...

— A co? czy znowu do Smołochowa? zapytała śmiejąc się jejmość. Po co się waszmość wólczyz darmo?...

— Da się widzieć czy darmo — zawołał Poręba; tylko jejmość na drogę musisz dać, bo nie mam.

— A to co ci mój mąż dał? spytała kręcąc głową Dobkowa.

— Już waćpani wiesz i o tem? No — tak, tak... ale to idzie na kapitalik, ja tego ruszyć nie mogę, mruknął Poręba... a w drodze strasznie się pieniądze szastają.

— Toć tu nie o moją tylko sprawę idzie, a razem i o waszą.

Jejmość zgodziła się w końcu rozmówiwszy, przyjść w pomoc przyjacielowi, który tegoż dnia, nie bez obfitego śniadania, wyjechał. Drogi były piekielne, bo po przedłużonej zimie nagle wiosna się robić poczęła, puściły śniegi i lody, rozlały szeroko rzeki, a błoto po wsiach i groblach było nie do przebycia. Ruszył jednak Poręba, nie żałując ani koni, ani siebie.

Tymczasem w Borowcach ciężko dla wszystkich wlokło się życie; stękali na nie poczawszy od Dobkado Eliasza, i ostatniego z czeladzi, a jejmość i jej mały dwór niemniej. Wojna acz głucha i niewidoczna trwała ciągle. Strony bojujące poglądały na siebie z obawą nieustanną. Pomiędzy niemi dwoma nieszczęśliwy Dobek w pośrodku stał zgnieciony i cierpiący za obie.

Sabina nieco się była powstrzymała, otrzymawszy pierwsze zwycięstwo i zdobywszy upragnione owo mieszkanie; lecz całą przyjemność jego odebrało jej to, iż z pomocą Arona, który ze wszystkimi stolicami i kupcami miał stosunki, pan Dobek wielkim kosztem natychmiast przybrał mieszkanie Laury, które wspanialej jeszcze i piękniej wyglądało niż to, które jej odebrano. Nie widziała go jejmość, ale słysząc o niem zżymała się z gniewu i milczącemu mężowi długo tego przebaczyć nie mogła.

Laura nietylko była rada sprzętom ile sercu ojcowskiemu, którego to było dowodem. Wiedziała, że stary ucierpi za to.

Jejmość, która tak impetycznie rozpoczęła rządy w domu, biorąc z razu wszystko w swoje ręce, wprędce się znudziła tem co wymagało pracy i dozoru; posyłała więc Rózię, sama siedząc w oknie, gryząc orzechy lub na cześciej rozmowie ze służącą czas spędzając niezmiernie długi. Ani ciotka, ani Laura, nie przychodziły do niej, ona też nie zbliżała się do nich, Dobek był zajęty przez pół dnia, rotmistrz wyjechał, całe więc jej towarzystwo ograniczało się na tych, których z sobą ze Smołochowa przywiozła. Dni ciągnęły się długo, życie było nieznośne. Pani Dobkowa poczyniała myśleć, że na tej pustyni nie wytrzyma; stary gdy mu o tem napomykała, mruczał coś tylko niewyraźnie. Całą rozrywką jejmości, mimo że się powstrzymywała od otwartego występowania przeciwko Laurze, było dokuczanie jej ukradkowe, uboczne, niezręczne często, zawsze bójące. Jak tylko wiosna się rozpoczęła, Lorka dawnym zwyczajem zaprzętnęła się swoim ogródkiem; na drugi dzień jejmość zesłała i objęła go w swoje władanie, dla tego tylko, aby Laurze odebrać i tę przyjemność. Obawiając się spotkania z nią, a postanowiwszy unikać otwartej kłótni, dziewczę wyrzekło się swych kwiatków i wybrało sobie w pośrodku murów samych zrujnowanego zamczyska mały kątek, który zaczęła sama zasadzać. Nie podobało się to Dobkowej, która przy stole zapowiedziała, że żadnych osobnych sadzeń nie ścierpi, bo tu jest wszędzie pania.

Nic na to nie odpowiedziawszy Lorka, porzuciła i drugi ogródek...

To były najmniejsze jeszcze przygody powszednie; większe daleko znaczenie miało nieustanne, powolne podszczuwanie ojca, zniechęcanie go do córki. Nie było jednego wieczoru, żeby coś o Lorcie przed panem Salomonem nie powiedziała, żeby jej o coś nie poskarżyła.

— Ona nie mnie uchybia ale acanu, powtarzała Dobkowi. Cóż to jest to unikanie, odsuwanie się, uciekanie odemnie... Nawet przemówić nie raczy...

— Moja królowo, szeptał Salomon, to przejdzie; nie zapominaj, ona tu długo była sama i nawykła czynić po swej myśli, więc ucierpieć musi, a cierpiąc trudno, żeby żalu do asindzki nie miała; ale to przejdzie, to przejdzie.

— Jak ma przejść, jeśli asan, panie Salomonie, w niczem się nie przyczyniasz do opamiętania jej, i ślepo jesteś pobbłajającym?..

— A jejmość też tylko ją drażnisz...

— Ja jestem za powolna! inna w mojem miejscu tegoby nie ścierpiła co ja. A no, do czasu dzban wodę nosi. Ja też nie zawsze taka będę.

Powtarzało się to tak często, iż pan Dobek pod wpływem ciągłych uzaleń zaczął na córkę nastawać, żeby się starała zbliżyć do macochy...

Laura wysłuchiwała cierpliwie ojcowskiej prośby...

— Mój drogi tatku, rzekła: ja nie umiem kłamać... a gdy do kogo wstręt czuję, muszę mu to okazać. Od pierwszego wejrzenia na tę kobietę nie mogłam jej znieść, nie znoszę... Unikam, złego nic nie czynię, a do kochania nikt w świecie zmusić mnie nie może... nawet ty ojczu. Nie potrafię przymilać się, gdy wstręt czuję... Schodzę jej z oczu, nie narzucam się... czegoż więcej żądać może?..

Pozostawało wszystko w tym stanie przeciągając się z dnia na dzień...

Z wiosną nadchodzącą, panna Henau, która ciągle kaszlała od lat kilku, zapadła mocniej na zdrowiu...

Laura miała powód siedząc ciągle przy niej, nie przychodzić do stołu — i mniej widywać macochę... która nie mogąc jej dokuczyć, coraz była kwaśniejszą i gorszą. Stan panny Fryderyki tak dalece się pogorszył, iż wkrótce i przechadzać się po pokoju było jej trudno... doktora o mil dziesięć żadnego wówczas nie znaleźć było, a nikomu też na myśl nie przyszło ślać po niego. Dawano różne ziółka, które stare kobiety radziły, smarowano rozmaitemi tłustościami... zresztą zostawiano ratunek naturze, która już pannie Henau nic pomódz nie mogła. Zmartwienie doznane w ostatnich czasach przyspieszyło rozwinięcie się zarodu suchot... miesięcy parę kaszlała, chudła, leki zwiększały gorączkę, i jednego wieczoru w paroksyzmie kaszlu, na rękach Lorki skończyła. Z wielką mocą młode dziewczę zniosło ten nowy cios, do którego przygotowane nie było. Od niejakiego czasu wystawione na ciągłe próby... nabierało siły i gotować się zdawało do wszystkiego czem los mógł grozić jej jeszcze.

Dano znać panu Dobkowi... który córkę chciał od smutnego odciągnąć widoku. Laura pocałowała go w rękę płacząc, i prosiła, aby ustąpił, a jej dozwolił zająć się samej wszystkim... Była to jej niańka, nauczycielka, przyjaciółka pierwsza, przywiązana do niej, cicha i dobra istota... Laura sama ją ubrała do trumny, którą osypała zielenią jaką tylko znaleźć mogła... czytała przy zwłokach modlitwy; odprowadziła do kościołka i na mogiłki, gdzie na prędce grób wymurować kazała. Płakała, lecz łzy cichemi, przy których całe swe zachowała mężstwo. Pani Dobkowa nie chciała ani widzieć nieboszczki, ani pójść za trumną, bo w ogóle nieboszczyków i śmierci obawiała się bardzo...

Została więc Laura jeszcze samotniejszą niż była kiedykolwiek... nie mając już, oprócz ojca i starego Eliasza, ani się przed kim użalać, ani od kogo usłyszeć słowo pociechy... Dobek drugiego dnia zaraz zakłopotał się o jakieś towarzystwo dla córki. Laura prosiła go, aby ją zostawił samą... Na to wszakże Sabina, dozwolić nie mogła, i śmierć panny Henau nadto dla niej była pomyślnym wypadkiem, ażeby z niego nie korzystała... W parę dni potem, gdy sam na sam pozostała z jegomością, przypuściła obmyślany atak.

— Chociaż mi nawet żal, rzekła, tej starej nudziarki, ale Pan Bóg wie co robi. Jeśli acan nie skorzystasz z tego dla Laury, to powiem, że jej kochać nie umiesz. Właśnie poradać jej kogo rozsądnego a z charakterem, co by jejmościankę trochę lepiej poprowadził niż dotąd...

— Kiedy ona sobie nie życzy nikogo!

— A to racja! właśnie najdowodniej to o jej uporze przekonywa; żeby się nie ugiąć, żeby nikogo nie słuchać. Acan jej śliczną przyszłość gotujesz... Czy chce czy nie chce, jej trzeba dać osobę stateczną...

— Ale kogóż?

— Spuść się na mnie, to do mnie należy, ja już mam napatrzoną, utalentowaną, mówiącą wszystkimi językami, już nie młodą... za którą ręczę.

— Łagodna? spytał niespokojny Dobek.

— Łagodna ona jest, ale sobie znów po nosie jeździć nie da... Wiek stateczny i doświadczenia wiele. To moja przyjaciółka, a nawet nauczycielka, ja do niej już pisałam...

— Jakto? nie mówiąc zemną? zawołał mąż.

— Otóż wielki grzech! Jak ci się nie podoba, to... zobaczymy. Ja się przecie na tem lepiej znam niż ty... Jużto mnie zostawcie, bardzo proszę mi się do tego nie mieszać...

— Gdzież ta panna jest?

— Nie panna — ale wdowa! osoba stateczna, kończyła Dobkowa... jest dotąd w Warszawie, gdzie podobno daje lekcje muzyki, ale mi ją wyszukają... i przyjedzie. Napisałam jej marszrutę aż do najbliższego miasta... a tam się po nią konie poszlą.

Wszystko to było już tak bez wiadomości pana Dobka urządzone, iż za późno się było sprzeciwiać. Zgryzł się jednak nieborak, a że nie chciał, aby go córka posądzala, iż w to wchodził, poszedł jej zaraz opowiedzieć całą rozmowę z macochą. Lorka wysłuchiwała cierpliwie, zarumieniła się nieco, westchnęła, lecz ojca pocieszać zaczęła sama...

— Nic się tak złego nie stało, rzekła; z ręki jejmości milego spodziewać się niemogę... podarunku... a cóż nam szkodzi zobaczyć? może się to da znieść... zresztą, jam na wszystko przygotowana... a ścierpię też do ostatka tyle, ile tylko sił stanie.

Ojciec ją uściskał, poszeptali z sobą i rozeszli się smutni oboje. Przybycie zapowiedzianej przyjaciółki nie zdawało się być tak blizkiem... bo i wybór w drogę i podróż dosyć mogła zająć czasu.

Rotmistrza jak nie było tak nie było z powrotem... Dosyć niecierpliwie wyglądała go jejmość, lecz i znać o sobie ani tu, ani do Smołochowa nie dawał. Wprzód jeszcze nim on, oznajmiła się listem, z zadziwiającym pośpiechem, pani Herminia Lassy... przyjaciółka wyznaczona za towarzyszkę przyszłą dla Laury. Wypadkiem jednak zamiast do Borowiec, dostała się, śpiesząc widocznie, by kto inny miejsca nie zajął, do Smołochowa, z kąd posłaniec przyniósł wiadomość, iż nieco chora, wypoczywała po trudach podróży. Pani Dobkowa rada może z tego, natychmiast wybrała się sama do niej, chcąc ją zapewne uprzedzić i opatrzyć we właściwe instrukcje, którychby równie dogodnie w Borowcach jej udzielić nie mogła...

Eliasz natychmiast przybiegł oznajmić Laurze, iż zastępczyni biednej panny Henau przybyła. Nieułękłe dziewczę uśmiechnęło się tylko...

— A gdzież jest — tu? zapytała...

— Nie, podobno w Smołochowie, pewnie dziś na noc lub jutro rano z jejmością tu nadąży... Co nam tam za nowe nasłanie przyjdzie! dodał wzdychając... Jejmościna dwór się powiększa, nasz uszczupla... Darmo... ona tu będzie wkrótce panią.

— A czyż to my koniecznie tu siedzieć mamy? odezwała się cicho Laura; czy to święta tyle co w oknie?

Eliasz z przestachem spojrzął na nią.

— Toć nasz dom! rzekł; gdzie się podział, co począć? Trzeba znosić karanie Boże... i zdać się na wolę Tego, który zsyła próby i kary, ale w którego łonie i miłosierdzie bez granic...

Stary Eliasz, jak Laura, jak oni wszyscy, czytywał Biblię często i był po swojemu pobożny, choć do kościoła chodził tylko w dni uroczyste.

— Dopóki Bóg chce, byśmy wytrzymali, i sił nam też dostarczy! zakończyła Laura... Każ dobry Eliaszu oczyścić pokój mojej zacnej Henau, ona go pewnie zajmie... nie będę więc już mogła ani tchnąć, ani stąpić, ani westchnąć, ani zapłakać nie będąc szpiegowaną! Każdy mój krok jej doniosą...

— Moja droga panienczko, szepnął stary, całując rąbek jej płaszczka: tylko wy się nie smućcie... nie straszcie... wszyscy my z wami... cierpimy razem. Znosiliście anielsko dopust boży; dotrwajcie tak do końca.

Laura pocałowała go w ramię...

— Tak, do końca powtórzyła... jakiś przecie koniec kiedyś być musi...

Tego wieczoru nie przybyła pani Dobkowa, a Salomon korzystając ze swobody, spędził go po dawnemu u córki, tak wesół i szczęśliwy jak dawno nie był. Cieszył się stary, że Lorka, która do niego żal taki mieć mogła, ani serce straciła, ani mu okazała, że go o przykrą zmianę położenia swego obwinia.

Zaklął ją na wszystko, aby dla świętego spokoju, jak najlepiej przyjęła panią Lassy.

IX

We dworze kto żył zajmował się najgoręcej losami Laury i domu Dobków, który się stał pastwą zręcznej awanturnicy; nazajutrz więc, gdy zdaleka pokazał się powóz jejmości, w którym domyślano się nowej towarzyski dla nieszczęśliwej jedynaczki, we wszystkich oknach pełno było głów; kto mógł wybiegał na próg... ciekawość nadzwyczajna wypędziła nawet Dobka starego z jego izdebki pod bramę. W powozie zdala już dwie kobiety widać było... jechała więc owa pani... Gdy się zatrzymał u bramy i jejmość najprzód wysiadła, za nią pokazał się dosyć śmiesznie przystrojony mały koczokodanik... figurka zwinna, sucha, ruchliwa, z twarzą starą, pomarszczoną, żółtą, z oczkami czarnymi biegającymi niespokojnie...

Wykryzowana, jakimś tancmistrzowskim kroczeniem podstąpiła do pana Dobka, któremu dygnęła z wielką pretensją na krok cofając się w tył i szybko, dość niewyraźnym głosem, jakby na pamięć wyuczony wypaliła komplement:

— Zaszczyczona zaufaniem tak dostojnej familji, racz jaśnie wielmożny pan dobrodziej wierzyć, iż starać się będę ze wszystkich sił moich ten wybór jego usprawiedliwić, poświęcając się cała mojej elewce...

Obejrzała się: elewki tej nie było...

Prawdę rzekłszy owa jejmość, przypominająca starą miotłę, z twarzy, ruchów i min, któremi nieustannie przyozdabiała fizjonomję nie piękną, nie podobała się panu Salomonowi... Niepokój i pośpiech, który się malował we wszystkich ruchach jej i wejrzeniu, w wykrzywianiu ust i lataniu oczu... niecierpliwący był i przykry... Z powozu porwała swój worek i już pytała, oglądała się, chciała biedz ku przyszłej wychowance... Pani Dobkowa umyśliła udowodnić swą władzę, wprowadzając ją i instalując osobiście. Salomon niespokojny kroczył za niemi. Laura przygotowana już na przybycie obiecanej towarzyski, stała w swoim pokoju z rezygnacją na twarzy. Wymuszenie poważnym krokiem weszła macocha, wiodąc za sobą panią Lassy, której oczy już najprzód biegały szukając w pokoju owej panny, którą jej tak straszliwie opisano.

— Prezentuję wacpannie panią Lassy, która tu przy niej pozostanie dla nauki i towarzystwa, z woli mojej i ojca... Prosiłabym bardzo o posłuszeństwo i grzeczność, gdyż

buntów żadnych nie zniosę... dosyć już tego i tak było. Pani Lassy potrafi być dobrą dla dobrej... ale surową dla krnąbrnej panienki.

W czasie tej przemowy Laura patrzyła jakby nie słuchając wcale na ojca tylko, który błagającym wejrzeniem starał się ją rozbroić... Nie myślała odpowiadać, a nie miałyby też czasu, bo niecierpliwa pani Lassy rzuciła się ku niej najprzód z rękami jakby do uścisku, spostrzegłszy jednak, że Laura dumnie się cofała, wyrzekła się tej oznaki czułości przedwczesnej i spytlowała tylko... jak mogła najszybciej komplement:

— Niech droga moja uczennica będzie pewną, iż jej całe me serce, staranie... wszystkie me władze poświęcę... a mam nadzieję, że na jej miłość zasłużyć potrafię...

Laura powitała ją bez uprzedzenia, łagodnie, ale milcząco. Nie było już tu co robić; pani Dobkowa zakręciła się, popatrzyła z gniewem na przepychy mieszkania Laury, i rozjątrzona tem, że pasierbicy do niecierpliwości przyprowadzić nie mogła, wyszła trzaskając drzwiami. Dobek wybiegł za nią. Laura została sam na sam przypatrując się koczokodanikowi, który jej zostawiono, a nie czując doń takiego wstępu i odrazy jakiej się spodziewała, postanowiła sobie z góry być grzeczną, chłodną, nie rozpoczynając wojny, dopóki do niej nie była zmuszona.

Zdaje się, że pani Lassy też w tej chwili o żadnych krokach zaczepnych nie myślała, tak była zajęta swojemi tłumoczkami, reumatyzmem, dla którego się wilgotnych obawiała murów, i — kotem faworytem, który w koszyku przyjechał potajemnie... Prosiła dłań o pobłażanie.

— On mi poje wszystkie moje ptaszki? śmiejąc się, zawołała Laura...

— Nigdy w świecie! jak żyje żadnego jeszcze nie zamordował! A! toby było okropnie... On tylko śpi i pije mleko z bulką... kochany Mrumru! drogi... pani nie wiesz jak jestem do niego przywiązana. Ostatni przyjaciel!

Laura mimowolnie się śmiała.

Pod tym dobrej wróżby uśmiechem rozpoczęła się znajomość. W pierwszej chwili jeden tylko niedogodny wielce przymiot objawiła przybywająca towarzyszka, to — gadatliwość nieuśmiezoną, niepohamowaną, która zdawała się potrzebą temperamentu, nałogiem, naturą. Rozpakowując się opowiadała Laurze całą swą podróż ze szczegółami, z wypadkami, jakich kot doznawał, którego o mało duński tarantowaty pies jenerała na drodze nie zjadł, ze wszystkimi popasami, noclegami, bólami głowy, strzykaniem w nogach... strachami o zbójców i złodziei...

Szczebiotanie to dla Laury nawykłej do ciszy, z początku było przykre, potem zabawne, w końcu się stało nużące. Odpowiadała nań milczeniem. To bynajmniej nie zrażało pani Lassy, która byle mówić mogła, a miała przed sobą żywą istotę, nie zdawała się troszczyć o to, jak jej paplanina będzie przyjęta...

Przed obiadem zaledwie podolawszy umieszczeniu wszystkich swych węzełków i czci-godnego owego starego Mrumru, pani Lassy zamknęła się nareszcie dla ubrania... do którego zdawała się przywiązywać przynajmniej tyle wagi co do reumatyzmu.

Dobłą godzinę trwała toaleta, w ciągu której słychać było bieganinę służącej po różne rodzaje wody miękkiej, twardej, zimnej, cieplej, gorącej, po mleko... potem z żelazkiem od włosów, potem jeszcze po jakieś świeże masło... które też kosmetyczne miało przeznaczenie. W ostatku otwarły się drzwi i wskoczyła raczej niż weszła pani Lassy, tak śmieszna jak tylko bardzo brzydka osoba chcąca młodą i piękną udawać być może. Warszawski jej strój, peruczka, sukienka w żywe barwy... trzewiczki na korkach, przesadne wysnurowanie... muszki, wszystko to najdziwaczniejszą tworzyło całość. Gdy tak przystrojona a zadowolona z siebie dygnęła Laurze... dziewczę ledwie od śmiechu powstrzymać się mogło. Zdaje się, iż przybyła Warszawianka rachowała na ogromne wrażenie, jakie uczynić musi na wieśniakach... nieprzewidując, ażeby się im śmiesznem straszdyłem wydać mogła... Zresztą była jakaś nawet dobra, a względem Laury najmniejszej powagi i surowości utrzymywać nie myślała... i groźną się jej nie wydała. Miałaby się macocha omylić? myślało w duchu dziewczę... Przy stole okazała się pani Lassy nadzwyczaj użyteczną przyprawą. Zwykle panowało milczenie, kwaśnemi przerywane półsłówkami. Przy niej milczeć nie było podobna: zarzucała pytaniami, na które po większej części sama odpowiadała, oglądała się, szeptala, śmiała, miała tysiące wiadomości, historyjek, wspomnień, a że rok czy dwa zostawała na dworze hetmana — o! w czasach szczęśliwych młodości i te lata były

dla niej najmiłszą dobą żywota, — zwracała się nieustannie do opowiadań poczynających się od: „Gdym była u pani hetmanowej...”

W tych to latach... zdecydował się jej los, gdyż z sześciu kunkurentów wybrała po długim wahaniu porucznika cudzoziemskiego autoramentu pana Lassego, który — niewdzięcznik! w niespełna lat dwa ofiarę nieszczęśliwą — porzucił. Odtąd poprzysięgła, jak powiadała, nienawiść wiekuiście całemu rodzajowi mężczyznom, jako pełnemu zdrady i przewrotności. Wszystko to i wiele innych rzeczy opowiedziała przy tym pierwszym obiedzie.

Pan Salomon raz oswoiwszy się z tarkotaniem tego młyna, nie uważając już na to co miele, siedział spokojnie i myślał o czym innym. Tak samo też czyniła może Laura. Jedna pani Dobkowa bawiła się, śmiała i prawdziwie była szczęśliwa, że jej protegowana występowała tak świetnie, z taką wymową, znajomością świata, ludzi, z takim dowcipem i przytomnością.

Tegoż wieczoru pani Lassy, która miała już czas i ze służącymi się rozmówić i rozpałtrzyć, i coś wyrozumieć, przysłała w dezabilku dać dobranoc swej uczennicy... dygnęła jej, i zbliżywszy się z uśmiechem, który podobny był do najstraszniejszego grymasu, odezwała się cicho:

— Niech się panna Laura, nic mną nie frasuje... słowo daję, nie będę w niczem na zawadzie... słowo daję. Co mnie tam mieszać się w jakieś spory i kłaść palce między drzwi. Byle mnie ciepło było... a wygodnie... niech panienka wierzy, ja wody nie zamączę! Niech panna Laura będzie na mnie łaskawą... proszę bardzo. Ja się nawet mogę czasem przydać na co.

Laura nie życzyła sobie brać jej za powiernicę swego położenia i utrapień; udała więc, że nie zrozumiała, a wzięła to za prosty wyraz życzliwości. Zapewniła ją ze swej strony, że się będzie starała, aby jej było dobrze. Pani Lassy uściśniła ją.

— Trochę dawniej śpiewałam, rzekła; mówiono nawet — hetman sam znajdował, że głos miałam rzadki. Hetman był bardzo muzykalny... teraz po bolu gardła jakoś straciłam głos, ale grywam... czasem mogę w czym pomódz... Mam z sobą sonaty Haydna i Mozarta...

Rozstały się więc nadspodziewanie w najlepszym usposobieniu. Wprawdzie pani Lassy, nie chcąc nikomu uchybić, poszła jeszcze wieczorną gawędką obdarzyć panią Dobkową i tam się jej z odebranych wrażeń wypowiedać, lecz na Laurę nie powiedziała nic, prócz że dziewczę bardzo dumne...

Tak przeszedł ten pierwszy dzień, który groził daleko straszniejszym wypadkiem, gdyby na miejscu szczebiotliwej Lassy zjawiła się jaka złośliwsza istota... Nazajutrz ponieważ dzień był już ciepły wiosenny, Warszawianka obiegła wszystkie kąty, poszła na probostwo, pozasięgała najrozmaitszych wiadomości ze źródeł różnych, i zbogacona niemi, a wielce zamyślona wróciła do swego pokoju. Układała snadź przyszłe postępowanie swoje...

Tegoż dnia oświadczyła jej pani Dobkowa, że wymaga jak najsurowszego obejścia się z krnąbrną panną i donoszenia o najmniejszym jej słowie i kroku, co pani Lassy dało wielce do myślenia. Chciała wyważyć i przeniknąć, na którą stronę padnie zwycięztwo, aby się wcześniej ku niej przechylić, a właśnie odgadnięcie było niepodobieństwem. Musiała na wszelki wypadek zająć trudne neutralne stanowisko.

Tak stały sprawy w Borowcach, gdy po długiej niebytności i rotmistrz wreszcie nadciągnął — wprost do dawnego swojego mieszkania. Dobek, który w oknie stał i po koniach go poznał, prychnął dziwnie nieukontentowany. Nikt też mu rad nie był oprócz gospodyni domu, a pani Lassy dowiedziawszy się, iż jakiś mężczyzna obcy będzie na obiedzie, nadzwyczaj staranną przedsięwzięła tualetę... nie była bowiem całkiem wyleczona ze złudzeń i nadziei młodości, i sama o sobie powiedziała, iż z nóżką jej i talją żadna kobieta o pierwszeństwo walczyć nie mogła.

Rotmistrz wprzód jeszcze niż do stołu, poszedł z raportem do pani. Odprawiono Rózię, która niepotrzebnie stała w kątku.

— Coż się to tak długo bawił? poczęła Dobkowa.

— Bo miałem wiele do czynienia, rzekł Poręba.

— W domu?

— Nie, jako żywom tam nie był. A po co? nie ma nic do wzięcia, wytrzymują wieczyciele i ledwie we dworze kął wolny... Ale co tam o tem gadać!

— Gdzieżes przecie bywał? ciekawie badała pani.

— Po świecie! tajemniczo odparł Poręba.
— I cóż? wróciłeś widzę z kwaśną miną, tak samo jak wyjeżdżałeś.
— Niekoniecznie, odparł rotmistrz kręcąc wąsa.
— Mówże przecie, abym się czego z twojej mowy dowiedziała! niecierpliwie przerwała jejmość coś zrobił?

— Co ja się mam spowiadać! zrobiłem com chciał i jak było potrzeba...
— Powieszże mi raz przecie?...

Rotmistrz się obejrzał dokoła ostrożnie i szepnął.

— Ludzi mam! ale uważajże... to od jejmości zależy wszystko... Przybędzie tu jeden szukać służby... My się z nim niby nie znamy. Nazywa się Jerzy Siwiński... niby to... bo nazwiska istotnego mówić nie potrzeba. Trzeba mu jakiegokolwiek miejsce dać... We dworze i jejmości się zda mieć swojego człowieka, czy tak czy owak; a za tego ja rękę... Drugiego, który się zowie Parawęsowski, trzeba chyba albo na plebanii umieścić, godziłby się na zakrystjana, choć tęgi chłop... a jak nie można, trzeba go będzie w miasteczku trzymać... To dwóch... gdyby potrzebny był trzeci... znajdzie się... gdy co do czego przyjdzie...

Sabina słuchała z uśmiechem, i dała końce palców do pocałowania Porębie, który się tryumfalnie rozśmiał.

— A co? nie tego? rzekł. Tylko mi jejmość czy przy gospodarstwie, czy przy stajni, czy przy dworze umieść koniecznie Siwińskiego... bo bez tego ja sobie rady nie dam. To moja prawa ręka... Był u mnie niegdyś kapralem... a choć stary, zuch, wiem, że na niego rachować mogę.

— Dobek wprawdzie nie lubi nowych ludzi przyjmować, ale będzie musiał, odezwała się Sabina; ja w tem.

— A ja w tem, że z Siwińskim i Parawęsowskim, choćby nie pannę ale fortecę przyszło brać... damy sobie rady.

Powrót rotmistrza ożywił jeszcze bardziej Borowce; nie mógł tylko dobrego nadać humoru panu Salomonowi, który milczący był jak zawsze, i ani szczebiotliwość pani Lassy, ani wesołość Poręby, rozruszać go nie potrafiły. Czasem uśmiechał się z obowiązku męża do jejmości, ale wprędce przelotny ten wyraz ust zniknął.

Następnego dnia około dwunastej zjawił się około zamku mężczyzna wzrostu słusznego, wojskowo wyglądający, z siwiejącym wąsem, zdrów jeszcze i krzepki, który chciał mówić z panem. Eljasz go przyjął grzecznie, rzadko się tu podobni goście trafiali, nie odmawiał mu audjencji, lecz począł pytać czegoby potrzebował. Stary żołnierz, gdyż przyznał się, że w wojsku służył, opowiedział nie tając, że szuka pracy i chleba, że radby jakiegokolwiek miejsce otrzymać: leśniczego, włodarza lub przy dworze, póki mu siły starczą, i na utrzymanie zarobić może. Na to Eljasz mu odpowiedział bez ogródki, iż w Borowcach żadnego nie ma wakanu, a oprócz tego i zwyczaju przyjmowania nieznajomych, choćby w najlepsze opatrzonych świadectwa; panu jednak donieść o tem obiecał.

Wkrótce potem pan Dobek sam przyjął szukającego służby, i chcąc się go grzecznie pozbyć, ofiarował mu talarzka z tem, iż miejsca żadnego nie ma. Na to nadeszła wypadkiem sama pani i rozpoczęła rozmowę z przybyszem. Żołnierz odpowiadał bardzo roztropnie i przytomnie... Odesłano go tymczasowo, aby spoczął i posilił się u ekonomy.

— Jużto jeżeli mam prawdę powiedzieć, odezwała się po jego wyjściu sama pani: nie zaszkodziłoby, ażebyś jegomość trochę służbę odświeżył. Wszystko to stare graty i niewiele warte, a za ręce się trzymają, aby was okradać. Człowiek ten wygląda na bardzo uczciwego, a wojskowy, to do porządku nawykły. Moja rada, żeby go choć na próbę przyjąć.

— U nas tego nie ma zwyczaju, żeby brać obcych ludzi, rzekł Dobek, są swoi.

— Aleby warto ten zwyczaj wprowadzić, dodała Dobkowa.

Salomon spojrzął z ukosa.

— Hę? spytał.

— Nie zawadziłoby innych ludzi spróbować.

— Ja z moich jestem kontent, rzekł sucho Dobek.

— Boś waćpan ślepy! zawołała jejmość: a czasby oczy otworzyć.

Dobek w istocie otworzył oczy, popatrzał, ramionami ruszył i łagodnie się odezwał:

— Niech się jejmość do tego nie miesza!

Pierwszy to raz tak wyraźną odprawę dostała pani Dobkowa i zarumieniła się z gniewu.

— Co? co? a dla czegoż to ja nie miałabym mieszać się do wszystkiego co nasze a wspólne? A! to mi się podoba! Otóż jeśli tak, obstaję przy tem, ażebyś mi go wziął koniecznie, bo tu już nie o niego, ale o mnie idzie...

Dobek spuścił wzrok, ręce złożył na pasie i zamilkł.

Bobkowa biegła po pokoju, nie ruszał się.

— Weźmiesz go?

— Nie, rzekł sucho.

— A kiedy ja tego żądam?

— Będę musiał odmówić, bo ja tego nie lubię...

— Więc cóż to! otwarta wojna?

— Czegoż ma być wojna? odezwał się Salomon. Ja nie mogę tego uczynić.

— No, to ja go wezmę do moich usług, przerwała kobieta, ja go wezmę...

— Do Smołochowa? spytał Salomon.

— A choćby i tu go trzymać przyszło, przecież mi nie będzie zabroniono przywiązać go do osoby mojej. Nie mam wcale usługi.

Na to pan Dobek nie odpowiedział słowa, znać tylko po nim było humor nie najlepszy. Po obiedzie cichą konferencję odbył z Eliaszem. Jejmość tymczasem kazała owego przybyłego, który się nazywał Jerzym Siwińskim, zawołać do swojego pokoju, ugodziła go do swej służby, jako totumfackiego, umówiła się z nim i posłała, ażeby sobie wyszukał mieszkanie i rozgościł się...

Nazajutrz rano, gdy rotmistrz był właśnie u jejmości, wszedł Siwiński, lecz widocznie zafrasowany i zmieniony.

— Proszę jaśnie pani, rzekł: ja wczoraj przystałem na jej usługi, ale dziś, bodaj żebym o abszyt prosić nie był zmuszony.

— A to dla czego?

— Ja tu nie wybędę...

Rotmistrz, który udawał, że go nie zna, odwrócił się ciekawie.

— Cóż się stało? zapytała wdowa.

— Niby to nic, rzekł Siwiński, a jednak, jeśli tu przyjdzie żyć, choć do wszystkiego człek nawykł, nie wytrzymam.

Poszedłem zaraz dowiadywać się sobie o jaki taki ką. Powiedzieli mi najprzód, że we dworze nie było gdzie pomieścić... odesłano na folwark, na folwarku ledwie gadać zemną chcieli i odprawili z niczem. Wróciłem do dworu; co do kogo podejdę, ramionami ruszy i odchodzi precz, nikt nie odpowiada... Jakby się zmówili... Zdałoby się, że mnie i nie widzą. Gadam, zachodzę, proszę, nie sposób słowa dobyć z nich. Próbowałem tak z kolei wszystkich, aż do kuchtów. Każdy mnie zbył nie znając i znać nie chcąc. Wieczery napróznom się prosił. Pochodziłem po zamku, gdzie o małym nogi nie złamał, bom wpadł przez wyłom jakiegoś lochu... a na noc musiałem do miasteczka, bo drzwi wszędzie pozamykano i nikt mnie nigdzie puścić nie chciał...

Dobkowa zarumieniła się, nie dokończyła nawet ubrania i w furji pobiegła do męża, który z flegmą grzebał się w papierach. Napadła nań z takim fukiem i grozą, że się stary zląkł i zlągodniał.

— No, to mu każę dać mieszkanie, rzekł; ale to darmo, ludzie nasi obcego tu nie zniosą.

— A tyż malowany jesteś, czy co?

Dobek nic nie odpowiedział.

Napróżno się nagniewawszy, wyprawiała jejmość Siwińskiego, który poszedł próbować lepszego szczęścia. Ponieważ Eljasz miał nade dworem nadzór, odesłano go do Eljasza. Ten wziął klucze i poprowadził nowego sługę na stary zamek. W ruinach, w samym końcu ich, utrzymała się była izdebka, której sklepienie całe jeszcze wisiało; był w niej piecyk, kamienna ława pokryta deską służąca za łóżko, stół chwiejący się i rodzaj kominka. Do pustki tej po nocy, wśród stosów kamieni i gruzu, trudno było nawet trafić. Eljasz ubolewał, że na całym zamku innego schronienia dać mu nie może. Nie okazywał mu żadnej niechęci, ale z zimną obojętnością się obchodził.

— Mój dobry panie, odezwał się Siwiński: wprawdzie człek nie z jednego pieca chleb jadł i do wszystkiego nawykł, i niczego się nie lęka... lecz toć już ostatnia chyba bieda zmusi w takiej budzie siedzieć.

— I dla czego! rzekł Eljasz spokojnie: my tu wszyscy nielepsze mamy mieszkania... To stare zamczysko widzi pan. Trzeba tylko chodząc pod nogi patrzeć, z powodu tych dziur do lochów... bo tu lochy wszędzie.

— Puste znać! rzekł Siwiński.

— W części puste, a tu zaraz oto są stare groby panów Dobków, to się ciągną wskroś i pod tą basztą, rzekł Eljasz.

Żołnierzowi, który tylko z żywymi zwykł był wojować, to sąsiedztwo umarłych wcale się nie podobało. Siennik i inne sprząty stary przysłać mu przyobiegał.

— A co do jadła, dodał gładząc się po głowie: pono najdogodniej będzie, że tu chłopak panu przyniesie. Nasi ludzie nawykli do swoich, obcemu z nimi niełatwo. Cóż na to począć? u nas takie odwieczne zaprowadzenie.

Siwiński rachując na to, że cierpliwością ich zmoże, pozostał w przeznaczonych mu ciupie. Nadeszła noc... zamknął się i położył. Lecz ze snem było trudno... Jak tylko się na zamku uciszyło... w lochach, niewiadomo czy kuny, czy szczury, czy duchy rozpoczęły harce, stukanie i szabas, który nie ucichał na chwilę; kilka razy palnęło coś w okno... Siwiński zrywał się, pocił, i ledwie żyw rana doczekał... Drugiej nocy wiatr czy nie wiatr wyrwał mu drzwi, tak, że o brzasku dopiero zasnął i rozchorował się. Wstydział się skarżyć, a na trzecią noc poszedł do miasteczka... Tu, potajemnie naradzili się z rotmistrzem, który był oburzony wielce. Doniosło się to do jejmości, poszły skargi do Dobka; powiedział, że nie umie na to radzić. Następnego dnia równie jak pierwszego, nikt do przybycia gadać nie chciał. Błądził z nudy po miasteczku...

Spróbował umieścić Siwińskiego, Parawęsowskiego już nawet do dworu nie prowadzono i osadzono w miasteczku u Żyda.

Tymczasem pani Lassy, zapewne za wiedzą macochy, namawiała na przechadzki, w których się towarzyszyć ofiarowała... Laura dawniej bardzo lubiąca je, teraz odmawiała... Chodziła tylko z rana do Muni, najczęściej w towarzystwie Eljasza, i rozpamiętywała dni, gdy razem z Honorym ją karmili.

Lassy siadywała po całych dniach usiłując rozbawić elewkę, nakłonić ją do muzyki, odciągnąć od Biblii, zwyczajem owoczesnym uważała za książkę — niebardzo przyzwoitą. Wszystko to było próżne, im ona była trzpiotowatszą i weselszą, tem Lorka stawała się bardziej milczącą... a w nocy... przez dziurkę od klucza, wyszpiewowała ją zajmując się w swoim pokoju bardzo czynnie... Nie mogła tylko odkryć czem... Donosiła tem gorliwej pani Dobkowej o Lorce, iż urażona była nieco, że wszystkie jej usiłowania przygłaskania jej na niczem speszły. Pierwszych dni uśmiechała się jej dziewczyna, potem tylko ziewała... Jejmość postrzegła, że ta guwernantka i jej, i pasierbicy nie na wiele się przyda... Rotmistrz jeden znajdował ją bardzo rozumną i dowcipną.

— To kobieta z głową! powtarzał ciągle. Oprócz innych wielu przymiotów, pani Lassy próżną była i mściwą, choć tego po sobie poznać nie dawała. Z każdym dniem obojętność Laury dolegała ją mocniej, stawała się też ze swej strony zimniejszą i wymagającą. Do sporów nie przychodziło — Lorce już jednak ciążyła. Biedne dziewczę nie miało od niej spokoju, siedziała cały dzień na karku, nie dawała czytać, myśleć, tchnąć, spocząć. Grała godzinami dopominając się pochwał, opowiadała niestworzone rzeczy, wymagając, by jej słuchano... sama pozostać nie umiała na chwilę. Laura ze swą milczącą powagą była dla niej zagadką niecierpliwą. Lecz i dla Laury owa towarzysząca niestrudzona ciężarem się stała nie do zniesienia, nawet grzeczność jej była mordująca.

Zaszły też okoliczności, które nieszczęśliwe położenie Laury pogorszyły jeszcze. Nieustanne wmawianie ojcu, iż córka winą jego wychowania była krnąbrną i nieposłuszną... opór Laury niechcącej się zbliżyć ani przemówić do macochy, która, mimo chwilowych buntów Dobka, coraz większą nad nim uzyskiwała władzę, były powodem, że Salomon zimniejszym coraz począł się stawać dla córki. Kilka razy najprzód prosił, potem nakazywać zaczął, aby się zwyciężyła i z Sabiną starała być przyjaźniej. Umiejętnie bardzo wszelkiego rodzaju pieśzcotami i pochlebstwami starała się sprawę swą popierać pani Dobkowa i serce ojca dziecku odebrać. Codziennie prawie opowiadała rys jakiś pochwycony przez Lassy, dowodzący chłodu, uporu i niechęci Laury, a często nawet winy nieposłuszeństwa przeciw tak kochającemu ją rodzicowi.

Dobek powoli rzadziej zaczął bywać u niej, obchodzić się też obojętniej, i choć nie czynił wymówek, znać było, że coś miał na sercu. Laura patrzyła nań jakby śledziła postępy

przewidywanej choroby, nie czyniąc nic dla zapobieżenia jej skutkom. Z litością poglądała na biednego starca, słabnącego z każdym dniem i niedołężniejszego, który zaledwie miał dość siły, by klucz od kochanego skarba obronić. Dobkowi przychodziły jeszcze porywy czułości dla córki i dawnej miłości wspomnienia, ale te trwały krótko, a nazajutrz starano się go za nie jakąś gorzką plotką ukarać.

Słowem, położenie Laury z każdym dniem stawało się nieznośniejszem.

Pierwszych dni maja nadchodziła rocznica urodzin Sabiny, która wcześniej o niej podała do publicznej wiadomości, wymagając, ażeby uroczyscie była obchodzona. Na parę dni przed tem Dobek przyszedł do córki; pani Lassy nie było lub chyba słuchała pode drzwiami.

— Moja Lorciu, rzekł cicho: od tak dawna cię proszę... zbliż się do jejmości... Czyż to podobna żyć pod jednym dachem i nie gadać do siebie? Jeśli ona nie jest dla ciebie jakby być mogła, czyż nie twoja wina, żeś pierwszego kroku uczynić nie chciała?..

— Nie mogłam! nie mogłam, mój drogi tatku, uciskając rękami serce odparła Laura. Alboż ja nie mogę tak pozostać spokojnie na uboczu?..

— Moja Lorko... trzeba z tego wyjść! przezwycięż się... ja proszę, ja wymagam, ja rozkazuję.

Ten ostatni wyraz wymówił Dobek jakby wyuczony, popatrzał na córkę, która smutnie poglądała nań także...

— Czegoż ojcie kochany chcesz więcej odemnie? rzekła spokojnie: schodzę z oczu, milczę, siedzę w moim kątku... a Bóg widzi, unikam spotkania, sporu, i ustępuję we wszystkim.

— Bo ty jesteś dobre, kochane dziecko, odezwał się Dobek, i ty wreszcie zrobisz to dla mnie, dla twego ojca, że na jej urodziny pójdziesz do niej, przyniesiesz bukiet, czy co tam chcesz, przemówisz...

Nie dokończył jeszcze, gdy Laura zawołała:

— Nigdy w świecie! tego nie zrobię... za nic! nie mogę! Skalałabym usta kłamstwem... Ojczel! nie wymagaj tego!..

— Ja proszę, ja chcę, ja każę! powtórzył Dobek. Krok ten z twojej strony przyniesie nam spokój, pogodzi was... i wszystkie domowe smutki precz pójdą... Ona dobra jest w gruncie.

Laura z politowaniem się uśmiechnęła...

— Zróbże to dla mnie! mówił Salomon...

— Nie mogę, nawet dla ciebie, surowo odezwała się córka...

— Chcesz, bym w końcu... przerwał Dobek: chcesz bym ja...

Lorka rzuciła mu się na szyję z płaczem prawie i cała drżąca.

— Nie domawiaj straszego słowa! zawołała. Kochałeś mnie niegdyś jak jedyne dziecko, dziś stałam ci się ciężarem i zawadą... biedny ojczel. Ale serce twe jeszcze ma trochę miłości dla mnie; ja wiem; ja czuję. Tobie kazano to powiedzieć, a tyś słaby i posłuszny... a ja ci tego nawet za złe mieć nie mogę...

Laura rzuciła mu się do nóg.

— Przebac mi, daruj, jeśli krwawię serce i pokój ci zatrąwam... nie mogę siebie zwyciężyć, to nad siły... mój drogi ojczel... lecz... lecz — dodała podnosząc się z łkaniem i całując go po ramionach, znajdując sposób, by ciebie od nieustannej troski uwolnić i pokój przywrócić domowi...

Daj mi tylko słowo, że bądź co bądź, nie potępisz biednego twójgo dziecięcia...

— Ale cóż to znaczy? co mówisz? począł Salomon.

— Nic — nic! bądź spokojny! wszystko się stanie wedle życzeń twoich... wrócę ci spokój... i ona... ona będzie zadowolona... biedny ojczel! biedny ojczel! Gdybym twe szczęście okupić mogła! niestety!...

Zamilkła nagle. Ojciec sam nie wiedząc jak ma sobie tłómaczyć jej słowa, stał zadumany i niespokojny. Ze jednak przyrzekł był żonie, iż córce nakaże się upokorzyć, jeszcze raz to powtórzył:

— Więc Lorko moja, zrozumiałaś mnie, uczynisz krok... przejednasz się z nią...

— Ustąpię! ustąpię jej! — przerwała Laura, jakby pomieszana... cobykolwiek mnie to kosztować miało... stanie się...

Zdawało się już panu Salomonowi, że nareszcie przełamał upór córki, i nie wchodząc w tłumaczenie tego co powiedziała, poczał ją ścisnąć i dziękować. Laura płakała i milczała.

Gdy Dobek wyszedł, jeszcze ochłonąć nie miała czasu Laura, a już wcisnęła się pani Lassy, aby coś z niej wy badać; znalazła jednak usta zamknięte i twarz już wypogadzającą się. Napróżno chciała zwrócić rozmowę ku bytności ojca, aby się o czemś dowiedzieć. Laura zbyła ją milczeniem; spostrzegła tylko niezwykle namysły w jej oczach i czole, gorączkowe jakieś ruchy, zajęcie... znamionujące wielką walkę wewnętrzną. Gdy po godzinie próżnego zabiegania ze stron wszystkich nie dopytała ani słowa, wymknęła się zdać sprawę pani... iż Lorka bardzo uczyła rozmowę z ojcem i zdaje się mocno poruszona.

Wieczorem w tej godzinie, gdy pani Lassy zwykle odchodziła do swojego pokoju, aby przez szparę i otwór od klucza śledzić czynności Laury, znalazła nadspodziewanie owe szpary pozatykane i klucz tak umieszczony, iż oka nie dopuszczał. Słyszała tylko bacznie nastawiając ucho, iż się tam za drzwiami krzątano...

Z rana zdawało się, iż ślad nie pozostał po wczorajszym z ojcem spotkaniu; pobięła do ojca dać mu dzień dobry, potem do swojej Muni, do ogródka, na zamek...

Bywały dni dawniej, w których Dobek, córka i część domowników przypuszczona do rodzinnych tajemnic, zwiedzali groby stare w podziemiu. Drugie do nich wnijsie do ruin zamkowych wiodło wprost do pierwszej izby, gdzie były złożone trumny ostatnich zmarłych z rodziny. Klucz od tych drzwi znajdował się zawsze pod strażą pana Salomona, który go tylko jednemu czasem Eliazowi powierzał. Tego dnia Laura wychodząc od ojca szepnęła staremu, iż chce koniecznie odwiedzić groby...

Eliaz się jakoś zaturbował.

— A jegomościę wie o tem? spytał.

— Wie, tylko życzy sobie, ażeby o tem po zamku nie rozgłaszać; pójdiesz ty sam ze mną... nikogo więcej nie potrzeba... chciałam pomodlić się u trumny matki.

Eliaz gładził włosy... niespokojny był trochę o tę nową trumnę pokutnika, która stanęła pod murem, bo Laura musiała ją dostrzedz... a pamiętała nadto dobrze jak stały dawne, żeby nie rozpoznała, iż jej tam wprzód nie było. Nie mógł się jednak oprzeć usilnemu naleganiu Laury, której wszystkim życzeniom zwykł był ulegać; poszedł po klucz, i w chwili, gdy ona niby ogródkiem zajęta była, od którego o kilka kroków znajdowało się wnijsie do podziemia, poszedł je dla niej otworzyć.

Narwawszy pierwszych wiosennych kwiatów ile ich unieść mogła, Lorka obejrzała się tylko czy jej kto nie szpieguje, i nim pani Lassy ukryta za węglem nadbiedz mogła, spuściła się do podziemia. Ostrożny Eliaz natychmiast je za sobą zatrzasnął.

Dziewczę z jakimś uczuciem niezwykle śpieszyło tu z temi kwiatami... z oczyma we łzach, a marszczkami na czole... W południe trochę światła z góry wpadało przez wązkie okienka, i cały szereg trumien widać było w pół mroku... Najbliżej wnijsia stała matczyna... przy której Laura przyklękła, objęła ją milcząca rękami... oparła o nią głowę... i tak przez chwilę nieruchoma zdawała się modlić... Wszystkie kwiaty któreniosła, posypały się pod zwłoki matki.

Gdy wstała z zarumienionem czolem, aby po gałązce rzucić na inne trumny i podniosła oczy ku nim, uderzył ją najprzód odarty aksamit na tej, w której złożona była babka... a oglądając się... dostrzegła po za nią przy murze... nową nieznaną trumnę dziada... Przybite słabo wieko jej odstało było i zsunęło się; z przerażeniem Eliaz i ona ujrzeli ciało starca z jego siwą brodą i nagą czaszką, jakby zwiędłe i zaschłe, nieokryte niczem; jedna jego ręka wysunęła się i w ściśniętych palcach trzymała jeszcze ów odarty płat z wieka obnażonego babczynej trumny. Laura stanęła jak wryta nad tym przerażającym obrazem, nie zrozumiała dramatu śmierci.

— Co to jest? spytała słabym głosem Eljasza... Kto to jest? Co znaczy ta ręka? o mój Boże!...

— Na Boga! panienko! cicho! chodźmy! Nic, nie ma nic... z trumny wieko opadło...

— Ale w ręku... ten odarty aksamit, którego brak tutaj! wskazała z przerażeniem...

Eljasz ujął ją za rękę:

— Panienko! nie trwoż się... w tem cudu nie ma... ale jest tajemnica... ja ci jej wyjawić nie mogę, posłyszysz ją kiedyś z ust ojca... Lecz nie zdradź mnie... chodźmy... chodźmy...

— A któż jest ten starzec jakby wczoraj uśpiony? spytała.

— Dziad twój — szepnął Eljasz..

— Kiedyż umarł? gdzie?

Eljasz wskazał na usta, że mu je zamknęła przysięga, i pośpiesznie ciągnął ją do wyjścia... Obląkanym trwogą wzrokiem obejrzała się do koła Laura... przyklękła jeszcze raz u trumny matki... zapłakała i wyszła.

Stary jej przewodnik obejrzał wprzód czy ich wysuwających się z lochów nie dostrzeże kto... ale pani Lassy pobiegła była dalej. Lorka mogła bez niebezpieczeństwa wyjść niewidziana. Wyszła upojona widokiem, zadumana o tem co widziała, i ani się postrzegła, gdy ją napędziła nieunikniona towarzysza. Co gorsza znalazł się zaraz natrętny rotmistrz, który z każdego wyjścia Laury korzystał, aby ją witać nieznośnymi komplementami swojemi. Unikając obojga, pobiegła jak mogła najprędzej ukryć się w swoim pokoju.

Za dwa dni nadchodziły urodziny pani Sabiny. Dobek chciał je w istocie obchodzić tak świetnie, jak tylko na tej pustyni było można. Zaproszono zawczasu wikarego, proboszcza, jednego czy dwu sąsiadów Smołochowa... mimo to nie obiecywało się wcale liczne towarzystwo. Z obiadem miano wystąpić wspaniale... a pan Salomon nagotował kosztowny od siebie podarek... Oprócz tego gromady z wiosek miały przyjść młodej pani składać życzenia i powinszowania... Rotmistrz krzątał się także około uświetnienia dnia tego, pani Lassy miała wiersze francuzkie przepisane ręką własną, a po nad niemi tuszem narysowała misternie ołtarz przyjaźni i potężną cyfrę solenizantki.

To arcydzieło kaligraficzne pokazała Laurze, wielce zdziwiona, że ona go tak pięknem nie znajdowała, jak się artystce zdawało.

Ruch we dworze był wielki.

Rotmistrz też korzystając z zamętu, pono swoją komendę także chciał mieć w gotowości do — czynu... Rachował na to, że panna Laura zechce się może wymknąć, aby niekoniecznie być przytomną całej uroczystości. Parawęrowski miał oczekiwać z końmi niedaleko ode dworu na drodze, Siwiński zaś i on korzystając z zajęcia sług i zabawy... spodziewali się móżdż porwać i unieść Laurę... do powozu.

Poreba nie był całkiem pewien czy mu się to uda, na wszelki jednak wypadek, przysposabiał się. Nie jesteśmy pewni, czy pani Lassy wtajemniczona była w ten spisek, lub nieświadoma go, pomocą doń być miała; to pewna, iż zalecono jej wieczorem namawiać na przechadzkę...

Rotmistrz mimo wszelkich ku temu przedsięwziętych środków, niespokojny był trochę. Siwiński mu odwagi nie dodawał, bo ją sam bliżej się przypatrzywszy dworowi utracił. Parawęrowski tylko, po wódce szczególnie, zaklinał się, że wszystko pójdzie jak z płatka...

W wigilję dnia wieczorem, wszyscy niemal znużeni wcześniej się porzochodzili. Rotmistrz brząkał na gitarze siedząc u jejmości, pani Lassy związywała wstążeczką różową jutrzejsze powinszowanie... Dobek naradzał się z Eljaszem... Siwiński zawczasu poszedł się położyć i wyspać, przewidując, że jutro pewnie oka nie zmrzy... W całym dworze panowała cisza przedwczesna, jakby dachy jego osłaniały pokój i szczęście, których tu już nie było...

Śliczna majowa noc z tysiącem gwiazd na niebie, z zapachem czeremch rozkwitłych, ze śpiewem słowików w zaroślach zamkowych... weszła po nad usypiające Borowce...

X

Była godzina siódma rano... i rosa jeszcze nie oschła, perlila się na liściach i trawie, gdy na pół rozebrana i bez jednego trzewika na nodze, z włosami rozpuszczonemi, które straszliwą zdradzały w pośrodku głowy łysinę, pani Lassy wbiegła do pokoju Dobkowej zaledwie przebudzonej i jeszcze w łóżku leżącej, i padła rozkrzyżowana na podłodze krzycząc:

— Nie ma jej! Uciekła! znikła!

— Kogo? zrywając się podchwyciła Dobkowa...

— Laury!

— Cicho! milcz! krzyknęła natychmiast Sabina, w najmocniejszym przekonaniu, iż rotmistrzowi z jego akolitami udało się porwać dziewczynę.

— Cicho, milcz, nie wrzeszcz... idź do łóżka i nie miesza się do niczego...

— Ale cały dwór już wie! Wszyscy na nogach, sądny dzień!.. Nieszczęście.

Dobkowa co najprędzej odziewać się zaczęła dosyć niespokojna, lecz zawsze pewna tego, iż zniknięcie musiało być sprawą rotmistrza...

— Ojciec wie?

— A! wie! wie! na wszystkie strony rozbiegli się ludzie konni... ze stajni pozabierano do ostatniego... od kanonika, od Żydów... Z miasteczka kto tylko mógł siadł także... polecieł w pogoń.

— Nieszczęście! szepnęła w duchu Sabina; jeszcze ich napędzić i złapać gotowi...

— Ale kiedyż się to stało? odezwała się głośno...

— Któż to może wiedzieć! Ani jak, ani kiedy! Ale ja, zaklinam się pani na co mam najświętszego... żem niewinna...

— Dajże mi jejmość pokój! ja cię nie obwiniam! Gdzie stary?

— Stoi tam lamentując przed domem, jak trup... straszny! okropny...

Dobkowa zawsze najpewniejsza, że rotmistrz tak się dzielnie spisał, wypadła przyodziana jako tako na schody, a z nich na dół, i z największym podziwieniem swem ujrzała pana Porębę w kożuszkę narzuconym na ramiona, w butach rannych, zaspanego, z rozczochraną czupryną, stojącego nieopodal jak słup z usty otwartymi. Obok niego Siwiński, a dalej snuł się Parawęsowski. Cały dwór był przy jegomości.

Dobkowa zobaczywszy ich, osłupiała. Zdało jej się naprzód, że złapani zostali, lecz mieli miny niewinnych baranków, ręce pozakładane w tył i miny skwaszone...

— Gdzież więc i z kim mogła uciec Laura?

Dobkowa przypadła do męża i uderzyła go po ramieniu.

— Co to jest? co się z dziewczyną stało zapytała.

Chmurny jak noc odwrócił się stary, popatrzał na nią i mruknął:

— To wasza sprawa.

— Moja sprawa! moja! a cożem ja winna?...

— Winnaś, żeś się na próg tego domu dostała, do którego wniosłaś niepokój, walkę... wszystkie nieszczęścia z sobą. — rzekł zrozpaczony ojciec ręce łamiąc nad głową: winnaś ty, winienem ja! ona jedna niewinna a zgubiona... Biedna Lorka moja! córka moja! moje dziecko!

I ryczał tak z bólu i trwogi, odpychając żonę, która z gniewu i strachu pobladła... Czuli, że do niego przystąpić nawet nie było bezpiecznie. Człowiek ten tak zwykle powolny, był roznamiętniony i dziki. Poznać w nim nie było można owego pana Salomona dni powszednich, z którego słowo było dobyć trudno i wejrzenie.

Obok niego stał płaczący Eljasz, a po za nimi co żyło we dworze, a co w pogoń pojechać nie mogło, zasmucone, zrozpaczone... z jękiem i żalnością.

Stary Aron z synem przybiegł też na pół ubrany z miasteczka, i całując po rękach Dobka, niezrozumiałymi wyrazy go pocieszał. On już ze swojego domu wysłał wszystkie konie na gościniec, w las... na ścieżynki najmniejsze...

Gwaro opowiadali ludzie co kto wiedział, ale więcej się domyślano niżeli wiedziano. Nikt z dworskich nie zniknął, uszła więc sama jedna. W pokoju jej sypialnym łóżko było nietknięte... nie brakło sukni, oprócz jednego męskiego ubrania skromnego, które sobie potajemnie niedawno zrobić kazała. Parę pamiątek po matce snadź zabrała z sobą... W stajni nie było Muni, siodła i troków; jawnem więc się zdawało, że musiała ujechać na swej ulubionej klaczy... sama jedna... Szukano śladów po rosie i piaszczystym gruncie, ale te w miasteczku nikły. Z wieczoru jeszcze pani Lassy słyszała ją chodzącą po pokoju... uderzyła nawet parę razy po klawiszach fortepianiku. Wielka jej Biblia leżała otwarta na księdze Hioba... ani kartki, ani pisma, ani znaku żadnego nie zostawiła po sobie.

W stajni śpiący furmani opowiadali, że słyszeli wprawdzie około północy tupanie kopyt końskich, ale przekonani, iż zmora konie dusiła, nie śmieli wyjść zobaczyć. Stary Paweł powiedział, iż jakby skrzypnięciem wrót został przebudzony, i że wkrótce potem, usnąć już nie mogąc, słyszał pianie pierwszych kogutów na folwarku, a niebawem i dnieć w okienku masztarni zaczęło...

Eljasz przypomniał sobie teraz, że mu w wigilję Laura dała znaczny podarek pieniędzy (który on wziął w przekonaniu, iż mu chciała otwarcie grobów nagrodzić), i że powierzyła mu zamkniętą szkatułkę, prosząc, aby jej w żadnym razie nikomu nie oddawał, nic niej nie wspominał, dopóki ona sama się o nią lub przez pismo nie zgłosiła. Eljasz nie dobrze

zrozumiawszy o co chodziło, przyjął ten depozyt; teraz wyjaśniło mu się jego znaczenie, lecz zmilczał o nim nawet przed ojcem...

Pani Dobkowa stała w pośród tego gwaru i zamętu zapomniana przez wszystkich, prawie odepchnięta przez męża, rozgniewana do najwyższego stopnia. Splunęła wreszcie pogardliwie, i skinąwszy na rotmistrza poszła nazad na schody. Poręba jak stał w rannym stroju, powłókł się za nią.

— Niedołęgo! bałamucie jakiś! tupiąc nogą zakrzyczała Sabina: a cóż? co? ślicznie ci się udało?

— Djabliż ją mogli posądzić o to, że sama jedna ztąd szmirnie...

— Gdzie? co? sama jedna! pewno nie sama, musiał kuzynek Honory podjechać i pomódz, albo nie wiem tam już kto, a pewno nie sama uciekła, bo by się bała. I asan tu siedziałeś, chodziłeś, bałamucieś, durzyłeś siebie i mnie... a byłeś jak w rogu! Otóż mi śliczny człek do roboty! Do półmiska i kieliszka...

Rotmistrz się na serjo rozjątrzył.

— E! milczałabyś też... sekutnico! zawołał nogą tupiąc... jeszcze mi będziesz oczy wykalać swoją własną winą. Niech cię tam z twoją pasierbicą razem...

Machnął ręką i zszedł ze schodów na prost do stajni.

Grześ! zawołał: konie zaprzęgaj, bryczkę ładuj i zajeżdżaj duchem. Pał ich djabli, nie ma tu co robić...

Wśród zgiełku nikt nawet ani zważał na wybieranie się Poręby, które zresztą mogło się za pogoń uważać, Pani Lassy dostała w swoim pokoju okrutnych spazmów, na które tak dalece nikt nie uważał, iż sama się z nich wyleczyć musiała, nikogo do pomocy znaleźć nie mogąc. Odłożyła je na tę chwilę, w której zwrócić będą mogły uwagę i dowieść jej uczucia...

Szkoda było tak umiejętnie odegrywaną komedię przedstawiać przed próżnemi ławkami... Wzruszona była też istotnie, bo wypadek ten zdawał się zapowiadać odprawę z Borowiec, w których jej było doskonale. Nawet gdyby się tę nieszczęsną Laurę udało pochwycić, nader wątpliwem było, czy się pani Lassy obwiniona o taki niedozór utrzymać przy niej potrafi...

Dobkowa chodziła wzburzona i nie obeszło ją nawet, gdy Rózia przyszła oznajmić, że rotmistrz wyjechał...

— Niech sobie jedzie na złamanie karku! odpowiedziała: a co mi po nim? Niezdara!

O Laurę wcale jej nie szło, rada była nawet, że się pozbyła z domu, bo tego sobie życzyła; sposób wszakże w jaki uszła, opór stawiony przez nią, i gniew Dobka poruszały ją niezmiernie. Znalazła pana Salomona tak zmienionym, że się go przelekkła. Był to inny a straszny człowiek. A nuż tym drugim miał nadal pozostać, on, którego jejmość nigdy o tyle energii i uczucia nie posiadała?

Tak tedy ów dzień urodzin, który miano obchodzić uroczyście, dzień tryumfu i radości, zmienił się w najokropniejszą chwilę z przeżytych dotąd w Borowcach... A że parę osób obcych zaproszono... wstyd, zawód, rozgłos wypadku nieunikniony, miał się jeszcze powiększyć.

Nikt w tej chwili w całym domu o urodzinach jejmości, a bodaj i o niej samej nie myślał; wszyscy zajęci byli losem biednej dziewczyny, zmuszonej prześladowaniem i złem obejściem macochy do ucieczki z rodzicielskiego domu. Szemranie przeciw niezręcznemu jej od początku postępowaniu było powszechne, jej przypisywano winę całą. Musiała to czuć pewnie, a osamotnienie zupełne, bo Rózia i służąca strwożone obie zostały same przy niej, dawało jej poznać co się dziać musiało.

Ubrała się pośpiesznie, i nie myśląc o stroju, zbiegła jeszcze raz ze schodów próbując czy się nie uda przystąpić do Dobka; ten jej nie odpowiedział nic i wskazał tylko schody, aby wróciła zkąd przyszła. Służba, którą mijala, nie okazywała już żadnego uszanowania...

Dla kobiety tak gwałtownego i energicznego charakteru... dość było tych oznak, by ją do łez ze złości bezsilnej pobudzić. Nie wiedziała co począć, zrywała się biegała do okien, siadała, wstawała, chciała odjeżdżać do Smołochowa, i dopiero po pewnym przeciągu czasu, lepiej się namyśliwszy, uspokojona nieco pozostała w nadziei, iż gdy pierwsze wrażenie minie, potrafi się i pomścić za to, i skorzystać z nieszczęścia.

Okolo południa, nic nie wiedzący o wypadku panowie sąsiedzi: Ignacy Radwan i Jeremiasz Buczyński, w paradnych strojach *propter solemnitatem* stawili się w Borowcach.

Już w miasteczku, gdzie się oba przebiegali z podróżnych kubraków w paradne kontusze, powiedziano im co we dworze zastaną. Niemniej jednak musieli przybyć choćby z kondolencją, a Buczyński, który był straszliwie głodny, utrzymywał, że bądź co bądź, choć kieliszek wódki i kawał wędzonej kiełbasy dostanie. Oba jednak zapomnieli o wódce i zakąsce, zobaczywszy biednego splakanego Dobka, łamiącego ręce, chodzącego po podwórzu i powtarzającego z wyrazem bóleści:

— Dziecko moje! nieszczęśliwe dziecko moje!

— Mój mości dobrodzieju, oderwał się Radwan, który był człek otyły, poważny i szanowany dla nader pięknej prezencji i pysznej łysiny: niech pan się nie oddaje rozpacz, nie pomoże to nic... Wszystko się to, da Bóg, naprawi.

— Ale tak, dodał Buczyński... Opatrzność boska... tak! jakoś to będzie! trzeba mieć nadzieję...

Najrzawszy ich obu, pani Dobkowa korzystać chciała z przybycia i posłała Rózię prosić na górę...

Buczyński utwierdził się w przekonaniu, iż wódki i zakąski dostaną; pożegnawszy tedy Dobka, którego do domu wprowadzić nie było można, posunęli się do gospodyni, by jej złożyć swe *vota* razem i uzalenie nad smutną rzeczą konjunkturą. Przyjęła ich jejmość nie ubrana, zapłakana a gniewna...

— Otóż mi śliczne urodziny! zawołała sadzając pana pisarza i mostowniczego; ale ja przewidywałam zawsze, iż rozpieszczona jedynaczka źle skończy. Nie podobało się jejmościance, że nie sama tu królowała. Przecież jej ustępowałam z drogi... a wszyscy poświadczą, że żadnej krzywdy nie miała. Co się tyczy ojca, ten pieścił a zapieszczał. Otóż to ma skutki...

— Mnie się zdaje, dodał poważny pisarz! iż *scrutinium* ściślejsze okaże jako nie konno przecie i nie w męzkim habicie uszła... To być nie może...

— Ja się domyślam, że pewny kuzynek, młody chłopak, który tu był niedawno w odwiedzinach, nie jest temu obcy, cicho dodała gospodyni.

— A pan rotmistrz kędy się obraca? zapytał mostowniczy, który na niego *ex re* przekąski rachował.

— Wyjechał, myślę, że w pogoń! rzekła jejmość.

— Tośmy tedy wpadli nie w porę, istotnie jak Piłat w Credo, westchnął Radwan.

— Radziłyśmy choć słowem pociechy służyć, ale...

— Ale w gębie zasycha i w żołądku wierci! sam do siebie wzdychając także rzekł Buczyński, a jejmość ani myśli o podtrzymaniu naszych sił zwątlonych... Prawda, żeśmy trafili ślicznie.

Nie tak jednak nieopatrna była gospodyni jak sądził Buczyński, po chwili bowiem wysłała Rózię, ażeby coś podano gościom, którzy dobry kawał drogi zrobiwszy, po polskiej trzęsawicy, mogli rekonfortacji potrzebować. Stało się, iż Różia obiegła dom, kredens, kuchnię, apteczkę i wszystko znalazła pozamykane, a wszelkie ucho ogłuchłe na głos swój. Nikt nie zważał na jej domagania się i upominania. Nadzwyczaj zmieszana przybiegła na ucho dać pani znać, iż nic dostać, niczego się doprosić nie było można. Doniesienie to acz ciche, doszło słuchu i wewnętrznosci pana mostowniczego, tak, że całkowicie zwątpił o tem, by tu co dziś ludzie jeść mogli, myśląc już o rybie i jajeczniczy u Arona...

Gdy tak smutnie opuszczona, gospodyni bez dworu, przyjmuje swych gości, na dole wszyscy zajęci jeszcze to pogonią, to opowiadaniem i domysłami o ucieczce. Dobek nie tracił nadziei, iż Laura wrócić będzie zmuszona... lękał się tylko, by obłąkawszy się w lesie, nie ucierpiała od głodu, lub od zwierza nie była w niebezpieczeństwie.

Mówiliśmy już o położeniu Borowiec, ze wszech stron okrążonych szerokim pasem lasów i trzęsawisk. Granicy tej nie wszędzie z łatwością, gdzie niegdzie całkiem przejechać nie było można. Laura nie udała się wielkim, jedynym traktem, jaki ztąd na świat prowadził, gdyż tu by łatwo dościgniona być mogła, a pogoni musiała się lękać i spodziewać...

Wedle wszelkiego podobieństwa, dosyć dobrze znając lasy okoliczne, skierowała się jedną z drożyn w bór, mając nadzieję w Muni, przebrnąć grzędawice tam gdzie były dostępnejsze i hrudami poprzecinane. Takich ścieżek po lasach wijących się w różnych kierunkach było wiele; wyrób klepki, łuczywa, balów pomnożył je, ale razem poplątał tak, iż na nich i najwprawniejszy leśniczy w głębinach puszczy by się zabląkał. Bywały

dawniej przykłady ludzi, którzy nieopatrznie wybrawszy się na jagody lub grzyby, po dni kilka głodem marli i osłabli do domów wracali... Opowiadano o kobiecie, która znikła, a drugiego roku znaleziono po niej kości tylko i reszty odzieży... Wszystko to rozpowiadali sobie ludzie po cichu... a Dobka dopiero z południa potrafił Eljasz skłonić, by poszedł nieco spocząć do izby, albo się nawet położył.

O jejności nie pomyślał nikt, i w kuchni dopiero coś nastawiono, gdy się ludzie sami głodnymi poczuli.

Dobrze z południa już powrócił jeden ze stajennych, któremu koń zakulał i opowiadał, że ludzie w lesie nade dniem widzieli konno jadącego młodego nieznajomego panicza, który ich o drogę rozpytywał, mówiąc, że na polowaniu zbłądził. Wedle opisu konia i ubioru, musiała to być Laura... Ludzie się jednak w opowiadaniach różnili, gdyż młodzi przestraszeni tak niezwykłym widokiem jeźdźca w lesie o tej porze rannej, pouciekali od niego jak od widma, i jeden tylko starszy na pytania mu odpowiadał. W tym kierunku pojechało właśnie dwóch ludzi, i spodziewano się, że mogli doścignąć uciekającą, gdyż mieli najlepsze konie. Mała to była pociecha dla nieszczęśliwego Dobka...

Panowie Radwan i Buczyński, doczekali się flaszki wódki, piernika toruńskiego i suszonych sliwek na rożenkach, po których ani pruszyńki nie pozostało; wynieśli się wreszcie złożywszy uszanowanie pani, do Arona na szczupaka... Dobek leżał i widzieć się z nim już nie mogli.

Ku wieczorowi żalobny dom zaczął przybierać spokojniejszą postać; ludzie się porozchodzili... reszta płakała po kątach. Eljasz siedział przy panu...

Już pod noc, po jednym powracać coraz gęściej zaczęli pogońce. Żaden z nich nie przynosił nic pocieszającego. Niektórzy zapuścili się byli za granicę Borowiec, na różne trakta, wstępowali do wsi i karczem, nigdzie języka nie dostali... Ci, którzy pojechali wskazaną drożyną, gdzie się Laura rozpytywała, śladu najmniejszego nie natrafili. Inni tego dnia nie wrócili wcale, docierając jak mogli najdalej...

Wieczorem przyszła jejność jeszcze raz do pana Salomona. Leżał on na łóżku, błądliwy, z widoczną gorączką, z oddechem krótkim, z oczyma osłupiałymi. Na kilka jej pytań nie odpowiedział nic, odwrócił głowę, i Sabina wyjść musiała przemyśliwając, iż nawet testamentu uczynić nie miał czasu... a nużby broń Boże! poszedł na tamten świat?

Całą noc paliła się lampka w izbie, a że ludzie przybywali i z miasta przychodzili z różnemi bałamutnemi wieściami, Eljasz się nie kładł spać, bo Dobek najmniejszy szmer chwytny, ciągle go wołał, czy nie ma jakiej wiadomości...

Wiadomości pewnej brakło... a nawet pokrzyżowały się one tak, że nie wiedzieć było którą wziąć za prawdziwą. O brzasku bowiem miano ją widzieć na jednej drodze, a o wschodzie słońca z przeciwnej strony żyd w małej karczemce leśnej opowiadał o młodym paniczu na siwym koniu, który zsiadł tu z niego, coś koło siodła poprawiał, wody się napił, siana wiązkę wziął i z dobry kwadrans wypocząwszy, wcale nie pytając o dalszą drogę, pojechał... Koń był trochę zmęczony i bokami robił, a panicz bardzo rumiany ze znużenia snadź i niespokojny. Wódki, którą go chciał arendarz częstować odmówił.

Szczegóły te, które zmyślonemi być nie mogły, wskazywały, że Laura udała się w stronę najbliższego znaczniejszego miasteczka, którego z powodu rzeki i przewozu jedyne na niej w okolicy, pominąćby nie była w możności.

Równie niespokojną noc spędziła i pani Dobkowa, żałując, że niewinnego rotmistrza w gniewie odpędziła i pozbawiła się jedynej opieki, jaką w nim mieć mogła. Spadli jeszcze na nią Siwiński i Parawęsowski pozostawieni bez wynagrodzenia, dokuczliwi, odgrzązający się, których się zbyć trzeba było co najprędzej, ażeby się z czem nie wygadali. Nie mogąc tego zrobić z wieczoru, pani Dobkowa zabierała się nazajutrz rano pozbyć natrętów, gdy Parawęsowski nie doczekawszy się tego, na miód poszedłszy do Arona, wszystko wyśpiewał... Powiedział po co tu ich obu sprowadzono, i że jejność pewnie była w spisku z rotmistrem...

Aron dobywszy z niego zeznania, nazajutrz rano pośpieszył do Dobka, a Parawęsowskiego podchmielonego w alkierzu zamknął i stróża mu dodał.

Pomimo znękania i osłabienia, pan Salomon chciał wiedzieć wszystko... Uderzyło go to, że rotmistrz wkrótce po zniknięciu Laury odjechał... i mógł ją napędzić, a gorzej jeszcze zgryzła ta myśl, iż pani Sabina choć niedoszły ohydny spisek knowała. Jawnem jednak było, że Lorka wyrwała się sama o niczem nie wiedząc... kazano Parawęsowskiego

wypuścić... bo nie było z nim co robić. Nieudane knowanie lzy z powiek wyrwało Dobkowi, bo wszystko teraz sobie przypisywał. Gdy z rana przyszła do męża dowiedzieć się co się z nim dzieje jejmość, stary odezwał się:

— A toż to jejmość Siwińskiego tak koniecznie przyjąć chciała pono, żeby panu rotmistrzowi do napaści pomagał?

— Do jakiej?

— A mieli to nieszczęśliwe dziecko porywać i na wczorajszy wieczór naznaczony był termin... czemuś pani pewnie obcą nie była.

Buchnęła wielkim gniewem Dobkowa,

— Coś ty oszalał czy co, że takie rzeczy pleciesz?

— Przecież siedział uwięziony jeden z tych zbójów... a Siwiński, co z nim miał do tego należeć, był w usługach jejmości.

— Ale ja o bożym świecie nie wiem, ofuknęła Sabina, co ci się śni? Przecież rotmistrza wylajawszy przepędziłam precz... a jeśli sobie jakie łajdactwo wymyślił... pewnie się z niego przedemną nie spowiadał! Za kogoż ty mnie masz? dodała... czy to się godzi kobiecie, która ci młodość swą poświęciła, posądzać tak ohydnie?...

Tu się rozplakała, siadła naprzeciw pana Dobka, i jęczała a szlochała ocierając oczy, dopóki starego w tych łzach gorących nie ugotowała na miękko... Pomiarkował wreszcie, że może do zbytku był ostry dla nieszczęśliwej niewiasty, a sam więcej winien niż ona...

Nastąpiło zbliżenie się małżonków, chociaż dawna czułość pana Dobka nie powróciła jeszcze... Jejmość tylko nie sprzeciwiając mu się i potakując w ubolewaniach, usiłowała z wolna mu wpoić to przekonanie, iż Laura ucieczką swą głównie przeciwko niemu, jego władzy ojcowskiej i sercu rodzicielskiemu zawiniła...

Stary jednak ilekroć wspominał o niej i pomyślał o losach, jakie nieszczęśliwą na tym szerokim świecie spotkać mogły, drżał i płakał a rozpaczał.

Użyto też wszelkich środków, jakie się nastroczyły, by zbiegłą odszukać. Gdzie się podziać i co z sobą uczynić mogła, nie znając świata, nie mając stosunków, nie wiedząc nawet dokąd się udać? Pani Dobkowa poddawała tę myśl, że mogła się schronić do Dobków w Konopnicy mieszkających, gdyż czule bardzo była z Honorym. Wyprawiono z listem zaufanego człowieka, by się o tem przekonać...

Pierwsi posłańcy, którzy byli wyruszyli na prędcę, sądząc, że dognają Laurę niedaleko, wszyscy drugiego i trzeciego dnia popowracali bez skutku. Niektórym z nich zdawało się, że coś potrafili dośledzić, lecz fakta zebrane razem tak były sprzeczne, iż nie wiedzieć którego trzymać się należało. Młodego człowieka na siwym koniu widziano przejeżdżającego tu i tam, a z porównania danych, okazywało się, iż razem w miejscach tych być nie mógł.

Trzeciego poranku po tym wypadku żebrak z odpustu na odpust chodzący po okolicy, przyniósł list, który oddał Eljaszowi. Zapisany on był do samego Dobka i brzmiał dosłownie:

„Kochany ojcze! Walczyłam długo starając się cierpliwością przewyciężyć niechęć macochy ku mnie; z każdym dniem życie się cięższem stawalo... Najdroższy skarb, serce twoje mi odebrano; wymagałeś odemnie, bym dla niej kłamała miłość i uszanowanie, tego uczynić nie mogłam. Dusza się oburzała, w domu własnym stawałam się obcą, bo i ty mi przestałeś być po dawnemu ojcem, i dom stał się szpiegowanem więzieniem. Przyszłość i dla mnie, i dla ciebie gotowała się straszna; lepiej jej było jedną boleścią uniknąć i rozstać się na zawsze... Nie przeklinaj, drogi ojcze, twej dawnej kochanej córki; uszłam, bom musiała, bo dłużej wytrwać było mi niepodobna; chciałam ci oszczędzić zmartwień a sobie męczarni. Idę więc w świat szeroki bez obawy, ufając w opiekę Opatrzności. Między obcymi źle mi być może, ale to będą obcy, do których miłości ja nie mam prawa. Nie lękaj się mnie; nie splamię imienia naszego, nie przestanę być godną imienia córki twojej... Napróznobyście mnie szukać chcieli... nie wróć, skryję się... potrafię osłonić od oczu... Nie byłam tobie potrzebna, ani ja, ani serce moje.... Może kiedyś — Bóg wie, wróć do stóp twoich i do mojego drogiego kątko... pamiętaj o mnie, ja ściskam nogi twe i całuję... pobłogosław sierocie na drogę!

pobłogosław... Niech ci Bóg da szczęście, tatku mój... moje serce nigdy się nie zmieni. Twoja Laura.”

Rzewnemi łzami stary oblał list... kazał przywołać żebraka i sam chciał rozpytać, kto i gdzie mu go oddał. Żebrak znany dobrze po kościołach sąsiednich, pijaczyna stary, włóczący się o kuli, chociaż mówiono, że nosił ją tylko dla obudzenia miłosierdzia u ludzi, przelękły spowiadał się z najmniejszych okoliczności, które wręczeniu karty towarzyszyły.

Trzy dni temu znajdował się on na odpuszcisku o mil kilka odległego kościoła i już po rozejściu się ludzi odpoczywał w gospodzie, gdy nadjechał młody mężczyzna konno, dał mu jałmużnę i począł go rozpytywać z kąd i dokąd idzie. Kazał mu się potem zatrzymać, dowiedziawszy się, że będzie w okolicy Borowiec, napisał list i dał mu go płacąc za fatygę, byle kartę do rąk własnych Dobka oddał.

Rozpytywany żebrak opowiadał, że młody chłopak wyglądał smutnym, ale zdrowym i nie strwożonym, że wybierał się zaraz w dalszą drogę, i nim jeszcze on wyszedł z gospody, odjechał konno w dalszą podróż wielkim traktem, sam jeden. Niewiele zresztą dożyć się dało z włóczęgi, który już od czasu jak list dostał, parę razy sobie podchmielił i w opowiadaniu bałamucił. W miejscu, w którym list ten miał otrzymać, gościniec wielki rozchodził się właśnie jeden ku Litwie, drugi ku Warszawie, tak, że odgadnąć było trudno, którym się udał podróżny, a żebrak sprzecznie opowiadał, że w tę, to że w inną stronę widział go odjeżdżającym. Pan Salomon miał przynajmniej tę pociechę, iż wiedział, że Laura w lasach otaczających Borowce nie zbłąkała się, coby życiem przypłacić mogła.

Jakkolwiek posłanemu do Konopnicy pośpieszać kazano, upłynęło dni dziesięć, nim się go z powrotem doczekano. Z listu pana Honorego, wyrażającego przestroch i boleść niezmierną, łatwo się było przekonać, iż tam nic o Laurze nie wiadano. Chorąży i jego syn pisali z ubolewaniem największym nad tym nieszczęśliwym wypadkiem, żaręczając panu Dobkowi, że gdyby się tam Laura ukazała; najtroskliwszą nad nią mieć będą opiekę.

Posłaniec tam i nazad wywiadywał się wszędzie po drodze, lecz na żaden też ślad trafić nie mógł.

Tak speliły ostatnie nadzieje nieszczęśliwego ojca, który codzień chodził do mieszkania córki, i spędzał tam smutny godzinę, jaką był zwykł dawniej z nią przebywać. Rozkazał też, aby pokoje jej w porządku nienaruszonym nietknięte pozostały, zawsze się jeszcze spodziewając powrotu.

Dla pani Lassy nie pozostawało nic oprócz prośzenia o dymisję lub oczekiwania na nią. Wybrała ostatnie, gdyż szczerze nie chciało jej się opuszczać Borowiec i trzymała się umowy rocznej z Dobkami, którzy ją do tego czasu utrzymywać byli obowiązani. Nie gniewała się też za to znudzona samotnością Sabina, której tęskno było samej jednej z Dobkiem, po wyjeździe rotmistrza. Wolałaby była inne towarzystwo, lecz na mężkiem zbywało zupełnie...

Już o Porębie mowy nawet nie było, i nie zdawało się, ażeby kiedy mógł się znowu na horyzoncie Borowiec pokazać, gdy jednego poranku zjawił się niespodzianie. Szczęściem, właśnie w chwili przyjazdu, jejmość była przed domem, i gdy wysiadł, pośpieszyła uwiadomić, że Parawęsowski i Siwiński go zdradzili, i że się tu już pokazać więcej nie może.

— Ale ja właśnie dla tego przybywam, zawołał mrugając oczyma: ażeby się z potwarzy tych infamisów oczyścić...

To byli złodzieje i łajdaki... ja ich nie znam... a czy mi wolno będzie zostać w Borowcach czy nie, idę do pana Salomona i muszę się z nim rozmówić, ażeby ta potwarz do mnie nie przylgnęła...

Śmiało tedy udał się do gospodarza, i tak przez pół godziny krzyczał, bił się w piersi, dowodził, tupał, odgrażał się, iż pan Dobek dał mu pokój i skończył rozmowę.

— A no, już dość, niech i tak będzie.

— Wyjechałem natychmiast — dodał, bo chciałem być pomocą w odzyskaniu panny Laury i do grosza się na tę pogoń wyekspensowałem. Jeździłem od karczmy do karczmy, po dworach, po wsiach, szukając śladu, i mam to przekonanie, a nawet poszlaki, iż się schroniła do klasztoru...

— Gdzie spytał Dobek.

— Otoż wtem sęk, że jeszcze nie wiem do którego... ale tego z czasem dojdziemy, rzekł niezmiesszany rotmistrz...

Tymczasem muszę tu spocząć, bo już kości nie czuję, takem się potłukł...

W ten sposób wkręcił się znowu do Borowiec, a powracającemu z gitarą na urozmaicenie długich poobiednich godzin i Rózia, i pani Dobkowa były rade. Przez dni kilka okazywała mu wprawdzie trochę żalu i gniewu, ale te chmury przeszły i horyzont się wyjaśnił. On, pani Lassy, która dla niego znowu do nader starannego wróciła stroju, jejmość i Rózia, zbierali się w kółko na wesołe pogadanki, wśród których najmilsza panowała poufałość, a rotmistrz królując między niewiastami sam jeden, bez rywala, czuł się nader szczęśliwym.

— Słuchaj-no Sabku, rzekł w tydzień może po nowej instalacji: prawdę rzekłszy, ja miałem o jejmości daleko lepsze wyobrażenie.

Sabina spojrziała pytająco.

— Myślałem, że jejmość raz zdobywszy ten zamek na nieprzyjaciolach, obejmiesz go w posiadanie, starego ostawisz w kątku poduszkami, żeby sobie spoczywał, a sama będziesz tu gospodarowała. Tymczasem asińdzki rządy są pozorne tylko, rzeczywiście jesteś tu jak na lasce... Kluczyków od skarbca ani powąchać... stary pieniądze swe dusi... a my tu z nudy na tem wygnaniu poumieramy...

Ruszyła ramionami Dobkowa.

— To gorzej, że pono tych pieniędzy i skarbów wcale nie ma! odezwała się.

— Jaktó! nie ma! Są! tylko niedostępne dla nas... klucz kładzie pod poduszkę...

— Bredzisz nic nie wiedząc, to od grobów!

— A Bóg wie, może pod strażą nieboszczyków pieniądze chowa, lecz że je trzyma pod tym kluczem, to pewna... Ile razy ma co wypłacać, kupuje zboże albo smołę, zamyka się, odryglowuje słyszę drzwi żelazne, zapala latarkę i schodzi do skarbca. Ludzie to podpatrzyli i wiedzą o tem dobrze...

Sabinie słuchając oczy się paliły.

— Ale mi się zaklinał, że...

— Bo nie chce grosza puścić z rąk! a wy mu wierzycie...

Och! och! czy jabył go na miejscu jejmości od dawna nie wypatroszył?... a pieniądze wzięwszy pod opiekę, czy jabył tu na tej pustyni siedział? Czy nie moglibyśmy pojechać sobie do miasta i dom prowadzić jak się należy? Jejmość byś jeszcze brylowała i grała taką rolę jakabyś chciała... jabył u niej marszałkował... I kiedyż używać jeśli nie — póki służą lata?... Że pieniądze są to są, tylko jejmość koło starego chodzić nie umiesz.

Szepnął jej coś na ucho i śmiać się zaczęli... Dobkowa cały ten dzień chodziła, rozmyślając i podpatrując dobrze, gdzie jegomość klucze chowa. Trwożyło ją tylko... a nuż się do grobów dostanie?

Przez dni kilka narady były rozmaite z rotmistrzem, chodzenia, konszachty... Powoływano go po razy kilka i odsyłano precz... Sabina zamyślona krążyła po domu. Plan jakiś musiał być osnuty, gdyż panu Dobkowi dla wilgoci doradzono się przenieść do pokojów jejmości, co on spełnił; potem posługując mężowi i oszczędzając mu fatygi, pani obowiązała się po papiery i rachunki sama schodzić na dół i klucz sobie do mieszkania po kilkakroć powierzyć kazała. W tych krótkich wycieczkach zajrzała i do sypialni, gdzie były żelazne drzwi, przy których wisiała zakopcona latarka... Od nich to klucz nigdy pana Salomona nie opuszczał...

Stary tak był zalem po córce przejęty, że mniej niż należało pilnował się i miał na ostrożności. Po kilkunastu dniach, przy wieczery jednej, dziwne jakieś wejrzenia i znaki między rotmistrzem a jejmością dostrzegła pani Lassy lecz była „dyskrecją samą” jak się wyrażała, spuściła oczy... nie chciała szpiegować... Zaraz po wieczery Poręba poszedł do siebie; Dobek, który się czuł ociężałym i sennym, najprzód w fotelu drzemał, potem za radą jejmości, napiwszy się jeszcze ziółek jakichś, spać się położył. W zamku wszyscy zwykle bardzo wczesnie na spoczynek się udawali... Jak tylko Dobek usnął, jejmość wydobyła klucz z pod poduszki, i na palcach, z bijącym sercem wymknęła się z pokoju, zamykając go za sobą. U dołu schodów czekał na nią Poręba... Oboje razem weszli do mieszkania dawnego pana Dobka na dole, bez światła, i tu dopiero pan rotmistrz stoczek zapalił, ognia skrzesałszy.

Jakkolwiek odważna, jejmość trochę drżała i przeżegnała się kilka razy, chociaż nie miała żadnych złych zamiarów i chciała się tylko przekonać, czy w istocie skarby te, o których tyle mówiono, znajdują się w Borowcach... Gdy przyszedli do wielkich drzwi żelaznych, Poręba musiał z kluczem dobrze majstrować, nim je otworzył... Byli przekonani, iż trafią na izbę sklepioną podobną do poprzedzających. Pani Dobkowa zobaczywszy schody prowadzące w głąb zatrwożyła się; Poręba też stał węża kręcąc...

— Niech jejmość... idzie...

— Ciemno, idź-no ty przodem z latarką.

Rotmistrzowi zrobiło się mdło jakoś około serca, lecz nie mógł się wymówić; zwolna począł zstępować po wschodach, a Sabina szła za nim trzymając się ściany... Tak przybyli do drugich drzwi w dole, które choć były zamknięte, klucz sterczał w zamku. Poręba je otworzył z wolna... i przyświecając sobie latarką, dostrzegł mały loszek za stojącymi wokoło kufkami.

Z za ramienia przyglądająca mu się Dobkowa, zawołała z nadzwyczajnym wzruszeniem:

— Otoż jest! to skarbiec!... to skarbiec!

Tak zajęci byli tym widokiem pełnym uroku, że rotmistrz nie zważał wcale, jak otwarte drzwi drugie nagle ciąg powietrza gwałtowny wzbudziły i górne żelazne podwoje z hałasem się wielkim zatrzaśły.

Wchodzili właśnie do tego rozkosznego ustronia, które zamykało w sobie owoc prac wieloletnich i oszczędności, popioły popalonych puszczy, niebotycznych sosen bał, olbrzymich dębów wnętrzości. Wszystko to w postaci maluczkich krążków spoczywało w okutych kufkach, uporządkowanych dokoła, lecz — niestety! szczelnie pozamykanych... Sam jednak widok zewnętrzny tych sepetów zamczystych bardzo miłe sprawiał wrażenie.

Dobek człowiek lubiący porządek polepił na każdym z nich karteczki, zawierające notatki, z którego roku, w jakiej ilości i jaka w skrzyniach znajdowała się moneta. Z ciekawością i gorączkowym zajęciem czytała pani Sabina: „Z roku 1760 złotem hollenderskim...” Dalej talary cesarskie, portugaly, dukaty węgierskie, dublony hiszpańskie i t. p. Rotmistrz z należnym poszanowaniem patrzył na te monumenta i lży rozczulenia stawały mu w oczach. Załamał ręce.

— Mój Boże! zawołał: co ten tu człowiek nazbierał! co nazbierał! Otoż to sprawiedliwość! Jeden opływa, a drugi... drugi...

Kiwał głową, przechodząc tak zwolna od kufra do kufra. Zapomnieli się oboje gdzie są, strach odbiegł ich.

— Ale to summy neapolitańskie! mówił rotmistrz; można kupować dobra, pałace i żyć, żyć... popuściwszy pasa... To magnat... jak mi Pan Bóg miły!...

Dobkowa ognistemi też oczyma mierzyła kufry, i w myśli rachowała ile w nich było. Kilka razy Poręba popróbowował wieka, ciekaw był koloru złotych czerwonymi zwanych, czy też w ciemnościach i wilgoci nie popleśniały: wszystkie były mocno pozamykane. Obeszli tak dokoła skarbczyk raz i drugi... gdy rotmistrz zobaczył drzwi skryte w murze, wiodące do dalszych lochów... Były wprawdzie wewnątrz na klucz zamknięte, ale i ten klucz zostawiony był w zamku... Żelazne dwa pręty, które je zabezpieczały, łatwo też z tej strony odjąć było można...

— Gdzie to one prowadzić mogą? rzekł Poręba. Może on tam ma jeszcze drugi i trzeci loszek taki przyjemny?... Warto by zajrzeć — hę?

Pani Dobkowa ośmielona tą pierwszą próbą, nie sprzeciwiała się wcale, a rotmistrz wziął się do odryglowania... Wązkie przejście to wychodziło na loszek prowadzący do izby, w której dawniej mieszkał pokutnik... drzwi od niej nawet zamknięte nie były...

Niezmierna ciekawość brała dalej jejmość i jej towarzysza... Weszli do pustego podziemia, w którym jeszcze ślady niedawnego życia i zamieszkania były widoczne... Suknie wyszarżane wisały na kołku... garnki wystygłe stały w kominie, stwardniałego chleba kawał myszy ogryzły na stole... Biblia otwarta, pyłem okryta, nietknięta od zgonu starego, spoczywała na rogu stolika...

Było coś strasznego w opuszczonej tej izbie tajemniczej, w której ktoś żył i jakby niedawno z niej uszedł...

Rotmistrz się trwożliwie obejrzał w koło... lecz... trzeba było już dotrzeć do końca i zaspokoić ciekawość. Rozpatrzywszy się, iż nie było nikogo, wsunęli się milczący porządkując głowami... Od miejsca gdzie stała wrosła prawie w podłogę trumna, do drzwi drugich wiodących ku grobom, po posadzce kamiennej widoczny był ślad przesuwania jakiegoś ciężaru... Obudziło to uwagę rotmistrza marzącego o skarbach... i świecąc sobie posunął się z przerażoną już panią Dobkową, napróżno usiłującą go odwieść od dalszego pochodzenia... ku ostatnim drzwiom... Gdy je otwierał i podniósł w górę latarkę... jejmość w promieniu jej ujrzała stos trumien stojących jedna nad drugą i krzyknęła przeraźliwie:
— Groby!

Rotmistrz natychmiast drzwi napowrót zatrzasnął, i sam nieprzyjemnie tem widowskim dotknięty, co najrychlej począł zabierać się do odwrotu... słyszeli tylko świst wiatru, który wciskając się do lochu szumiał w tej pustce, śpiewając dziwnymi głosami... wybiegli coraz szybciej dążąc... do jednego loszku, potem do skarbczyka, i rotmistrz ustawivszy latarkę, dla ogrodzenia się od nieboszczyków, co prędzej jął drzwiczki ryglować i zamykać. Odetchnęli tu dopiero... Jejmość zimny pot otarła z czoła, Poręba sapał, nie mogli oboje ust otworzyć, tak wargi drżały im ze strachu... Popatrzali na kufry z uczuciem... drzwi żelazne uchylono, i zaczęli wstępować na górę. Dobkowa mimo, iż była bardzo szczęśliwa z wykrycia tajemnicy męża, cała jeszcze sąsiedztwem tych grobów była przejęta i rada, że się znowu na powietrze i świat wydobędzie... Doszła właśnie do drzwi żelaznych... popchnęła je... nie ustępowały...

— Co to jest rotmistrzu? drzwi zaciśnięte, nie mogę otworzyć...

— Trzeba mocniej popchnąć — zawołał Poręba... Niech no jejmość mnie puści...

Rotmistrz zaważył całą siłą ramienia... ani drgnęły żelazne wrota... popchnął raz i drugi... Spojrzył czy niema klamki... Nie było z tej strony nic... nawet otwór klucza nie wychodził na zewnątrz... Poręba zbladł i trząść się zaczął, pani Dobkowa upadła na wschody łamiąc ręce...

Byli zamknięci w skarbcu pana Dobka... jeśli nie na wieki i głodną śmierć... to przynajmniej na długą pokutę obok nieboszczyków... A w tej chwili też dopalony w latarce stoczek — zagasnął...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/macocha-tom-pierwszy/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Macocha*. Z podań XVIII wieku, tom pierwszy, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1873.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0447-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).